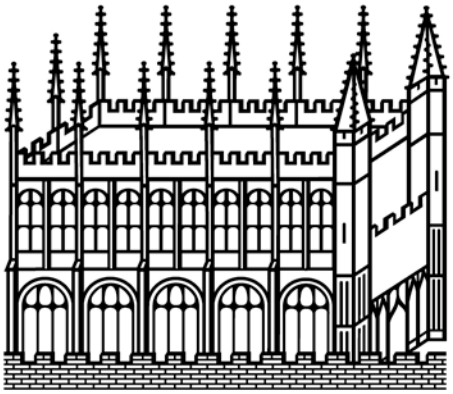

Bodleian Libraries

UNIVERSITY OF OXFORD

This book is part of the collection held by the Bodleian Libraries and scanned by Google, Inc. for the Google Books Library Project.

For more information see:

http://www.bodleian.ox.ac.uk/dbooks

This work is licensed under a Creative Commons Attribution-NonCommercial-ShareAlike 2.0 UK: England & Wales (CC BY-NC-SA 2.0) licence.

~~168.d.16~~

CONFINED TO
THE LIBRARY.

1882.

REP. SLAV. 7667

~~PG7160.M6.A1.1858(1)~~

302820469Y

PISMA

ADAMA MICKIEWICZA.

PISMA

ADAMA MICKIEWICZA.

Adam Mickiewicz

PISMA

ADAMA MICKIEWICZA

WYDANIE NOWE ZNACZNIE POWIĘKSZONE.

Z PORTRETEM AUTORA

I OŚMIĄ RYCINAMI NA STALI.

TOM I.

WARSZAWA.

Nakładem S. H. MERZBACHA Księgarza.

W POZNANIU U LUDWIKA MERZBACHA.

1858.

Wolno drukować, pod warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu prawem przepisanéj liczby exemplarzy.

Warszawa d. 28 Września (10 Października) 1857 r.

Starszy Cenzor, **F. Sobieszczański.**

THE TAYLOR INSTITUTION
UNIVERSITY
20 JAN 1939
OF OXFORD

w Drukarni J. Jaworskiego.

WSPOMNIENIE
O ŻYCIU
ADAMA MICKIEWICZA

SKREŚLIŁ

K. W. Wójcicki

Wolno drukować, pod warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu prawem przepisanéj liczby exemplarzy.

Warszawa d. 28 Września (10 Października) 1857 r.

Starszy Cenzor, **F. Sobieszczański.**

THE TAYLOR INSTITUTION
UNIVERSITY
20 JAN. 1939
OF OXFORD

w Drukarni J. Jaworskiego.

PRZEDMOWA.

Przy ogłoszeniu w kraju naszym nowego i najzupełniejszego o ile być mogło wydania pism Adama Mickiewicza, wskazywała potrzeba, dołączenia dokładnéj wiadomości o życiu wielkiego wieszcza narodu.

Zadanie to, w części tylko spełniamy: bo pomimo usilnych starań, wiele przerw w życiu jego nie potrafiliśmy wypełnić.

Zaraz po zgonie wieszcza, znany chlubnie w naszéj literaturze Lucyan Siemieński, ogłosił *wspomnienie pozgonne:* w którém przebiegł po krótce cały żywot jego. (1856 r.) Korzystaliśmy nieco z tego wspomnienia, uzupełniliśmy zaś wiele: sprostowali mylne daty: znalazły się trzy listy oryginalne Mickiewicza, które tu włączamy: użyliśmy z re-

sztą i zasobów z podań jego przyjaciół i najwięcéj zbliżonych, a na których sumienności polegać mogliśmy. Najwięcéj zawdzięczamy A. E. Odyńcowi, który nam, jako przyjaciel nieodstępny naszego wieszcza, i towarzysz pierwszéj jego podróży za granicę, wiele szczegółów nadesłał. Z całą troskliwością uzbierane wiadomości tu podajemy jako materyał, dla przyszłości: bo czas nie po temu, ażebyśmy zupełny żywot Mickiewicza czytali.

Zgodzą się wszyscy na zdanie Lucyana Siemieńskiego które wyrzekł:

„Co mąż ten dokonał w swoim wieszczym zawodzie, co mógł dokonać, jak sięgnął daleko wpływem, jakie kierunki stworzył, jaki świat wychował? będzie to zapewne przedmiotem szerokich badań i wywodów. Tego rodzaju bogacze, dostarczają zazwyczaj strawy całemu pokoleniu, które ich przed sąd swój na podziw lub potępienie pozywa.“

My spełniamy zadanie nasze — o ile dozwoliły uzbierane po temu zasoby.

Warszawa 3 listopada 1858 r.

K. Wł. Wójcicki.

ADAM MICKIEWICZ.

Urodził się we wsi *Osowcu* powiecie Nowogrodzkim, w samą wigilję Bożego Narodzenia 1798 roku. [1])

Ochrzcił go X. Kanonik Antoni Postlett 12 lutego 1799 r. Trzymali go do chrztu, Bernard Obuchowicz sędzia Nowogrodzki i podkomorzyna Aniela Usłowska.

Rodzice jego, byli dziedzicami szczupłéj zagrody szlacheckiéj w okolicy Nowogródka na Litwie. Dom Mickiewiczów stary i tu rozro-

[1]) „Nasz wieszcz nie w Nowogródku urodził się, jak to powszechnie mniemają, ale we wsi Osowcu, w powiecie Nowogrodzkim. Mam na to miejscowe dowody. Znałem jego rodzonego stryja: postać rzekłbyś żywcem wyskoczyła z *kart pana Tadeusza*. Sejmikowicz, jurysta, tęgi do kielicha i zasłużony w grzmotni 1812 roku: typ jeden, z tych niewielu typów szlachty zaściankowéj starego autoramentu, jakich ja w życiu już nie wielu widziałem!“ (List Władysława Syrokomli do Jana Chęcińskiego z d. 3 (15) listopada 1857 r. z Wilna.)

dzony, jakkolwiek spokrewniony z książęcemi rody, podupadł; „a raczéj zszedł do tego stanu uczciwéj mierności szlacheckiéj, w którym łatwiéj było o cnoty domowe i publiczne, niż o ton górny i fortunę.“ [1])

Miał Adam, trzech braci: najstarszy kaleka siedział przy rodzicach, późniéj opuścił Litwę, i bawił za granicą. Aleksander, biegły prawnik zaszczytne niedawno zajmował miejsce na katedrze Uniwersytetu Charkowskiego, teraz obdarzony emeryturą, osiadł w wiejskim ustroniu na Litwie: trzeci lekarz wojskowy, zginął w kampanii tureckiéj.

Matka, tak ukochana przez Adama, miała być niepospolitą kobiétą; ojciec czytywał rytmy Jana Kochanowskiego, i sam składał wiersze: co wcześnie oddziałać musiało na umysł i serce młode naszego wieszcza, który był najmilszym ich dzieckiem. Po wyjściu z lat dziecinnych, rodzice oddali go do pobliskiéj szkoły powiatowéj XX. Dominikanów w Nowogródku. — Tu obok religijnego wychowania, jakby dalszego ciągu domowego, wdrożył się do pracy, i nabył gruntownych początków nauk.

W szkołach tych okazywał szczególny pociąg do chemii. W domu gdzie mieszkał, była apteka; z niéj dostawał potrzebnych aparatów do swoich doświadczeń, które robił przed jego

[1]) Lucjan Siemieński.

oczyma jeden z ojców Dominikanów, wykładający naukę chemii. Mickiewicz długo zachowywał tę skłonność do nauk fizycznych i przyrodzonych, co się nawet odbiło w niektórych jego poezjach, szczególniéj w wierszu do doktora S.: „podobień w tym Göethemu (mówi L. Siemieński) z tą różnicą, że w momentach kiedy rzecz publiczna wołała na niego o myśl lub współczucie, nie pisał o metampsychozie roślin lub kolorach.“

Ale obok tego, już w tych szkołach pokazał wyraźny kierunek poetyczny. Z polskiéj prozy Kamińskiego, wierszował *Numę Pompiljusza* Florjana: gdy wypadek smutny, natchnął go oryginalnym utworem. Wśród ciemnéj nocy, wybuchnął w Nowogródku wielki pożar. Straszny ten obraz samą okropnością piękny—przy wrzawie, zgiełku ratujących, rozpaczy i płaczu pogorzelców, silnie uderzył młodą wyobraźnią Mickiewicza: i wtedy napisał wiersz malujący tę smutną scenę.—Utwór ten zaginął.

Silniejsze jeszcze wrażenie, o jakiem często rad rozpowiadał, odebrał podczas wkroczenia armii Napoleońskiéj na Litwę 1812 r. We dwadzieścia lat późniéj pisząc *pana Tadeusza* w jedenastéj pieśni, oddał to wrażenie jakiém wrzała rozbudzona podówczas dusza chłopczyny.

„W domu jego rodziców, stał kwaterą jakiś

wiarus, czysto obozowa figura, a napoleonista zagorzały, co gdzie trzeba i nie trzeba we wszystko mieszał ukochanego cesarza i zawsze klął się i przysięgał „na imię wielkiego Napoleona.“ Ta ślepa wiara w jednego człowieka, trzymającego w ręku losy narodów, udzieliła się i chłopięciu; widmo wojennéj sławy zaczęło go trapić na jawie i we śnie, a że w młodym wieku czyn tuż bieży za myślą, więc też z kilkoma szkolnemi kolegami stawił się przed jakimś dowódzcą, z żądaniem przyjęcia go wraz z innemi w szeregi. Trzynastoletni studencik, wzbudził tylko uśmiech na wąsatéj twarzy starego żołnierza; mimo tego przyjęty jak się przyjmuje grosz wdowi, dźwigał karabin, i znalazł się podobnoś w kilku potyczkach. Nie był to jego zawód: Opatrzność inny mu przeznaczyła, w którym nie miał mieć sobie równego. Skończywszy prędzéj kampanią, niż się skończyła, mógł ze spokojnéj ławki szkolnéj patrzeć na niedobitki wielkiéj armii, zagrzebywane i pędzone tumanami sniegu. [1])

Dnia 10 czerwca 1815 r. otrzymał patent szkolny z klassy VI, szkół Nowogrodzkich.

Mając lat siedemnaście udał się do Wilna, dla pobierania nauk w uniwersytecie tamecznym. Powołał go tam i ułatwiał sposób początkowy utrzymania ksiądz Józef Mickiewicz ex jezuita,

[1]) L. Siemieński.

kanonik Zmudzki, pod ten czas dziekan wydziału filozoficzno - matematycznego, a daleki krewny. Przybył do stolicy Litwy; mając zdać examen przygotowawczy, przed zapisaniem się na wydział, w pobocznéj sali oczekiwał na koléj, wraz z wielą innemi uczniami ze szkół rozmaitych. „Przypadek zrządził, że się znalazł na ławce obok nieznanego mu młodzieńca z obliczem wyrazistém i myślącém, z postawą dziwnie ujmującą i szlachetną. Niewytłumaczony pociąg uczuwszy ku sąsiadowi, wszczął z nim rozmowę, zabrał znajomość, i w kilka dni najściślejsza zgodność uczuć i myśli połączyła ich nierozerwanym węzłem. Tylko wiek młody umie odkrywać i robić przyjacioł tak prędko, ale i na zawsze.“ Tym przyjacielem poety był *Tomasz Zan.*

Po złożonym examinie, rzucił się z zapałem do nauk uniwersyteckich: „z razu obrał sobie za przedmiot umiejętności fizyczne i matematyczne, lecz niebawem uczuł się w nieswoim żywiole, śród liczb i figur. Sława owczesnych professorów Godfryda Grodeka i Leona Borowskiego, wykładających literaturę starożytną i nowożytną wsposób świeży i porywający, a nadewszystko z gruntowną erudycyą, pociągnęła go ku sobie, tém łatwiéj, że oczy otworzył na pociąg sobie wrodzony do utworów poezyi. Przeszedł więc w Seminarium nauczy-

cielskim z kursów matematycznych, na kurs filologii i literatury. Borowski, zasłużony krytyk i literat, który umiał sobie otworzyć szerszą i wyższą sferę literatury niż ta, jaką obrabiali koledzy jego nie wychodzący po za obręb Boal'ow i Laharp'ow, wprowadził go w nowy świat pojęć i kształtów jakich dostarczały mu inne literatury: jak włoska, niemiecka, angielska. Łącząc z tém gruntowne poznawanie arcydzieł starożytnych, a przedewszystkiém Grecyi, kształcił się i bogacił temi skarbami, w których miał potém narodowi zajaśnieć całą potęgą twórczego jenjuszu.“ [1])

Tak pisze Lucjan Siemieński; przedmiot ten dokładniéj objaśnia nam A. E. Odyniec, współuczeń Mickiewicza, i towarzysz jego szkolny. Sam bowiem Leon Borowski, w początkowym wykładzie trzymał się wraz z Euzebjuszem Słowackim ściśle przepisów prawodawców Horacjusza, Boileau, i Laharp'a; późniéj dopiero Borowski sam obeznawszy się gruntowniéj z nowszą literaturą Europy, i pokonawszy w sobie dawne uprzedzenia, skarby jéj przed młodzieżą otworzył, i tylko pod względem zdrowéj logiki, smaku i poprawności stylu i języka co naturalnie i w każdéj poezyi głównie na celu miéć należy, surowo zasad klassycyzmu przestrzegał. Pod wpływem pierwiastkowego wy-

[1]) Wspomnienie pozgonne, 1856.

kładu swego professora, Mickiewicz skreslił rozbiór *Jagiellonidy* poematu Dyzmy Bończy Tomaszewskiego, i umieścił go w Dzienniku Wileńskim 1817 r. w zeszycie na miesiąc sierpień. W nim stąpając w ślady mistrzów swoich nie pokazał bynajmniéj ani nowego, ani szerszego poglądu. Po daniu treści i wykazaniu słabych ustępów i wierszy z usterkami językowemi, zakończa swe uwagi tém, że stawia wyżéj *wojnę Chocimską* Krasickiego nad *Jagiellonidę;* co do języka za wzór dając „piękne tłumaczenia *Jerozolimy wyzwolonéj* Piotra Kochanowskiego, Iljady F. Dmochowskiego i poezye Trembeckiego.“ Kończy taką oceną utwór Tomaszewskiego: „Dziś jednak, jako pamiątka znamienitych czynów narodu, z przyjemnością od ziomków czytane będzie.“ Wiadomo, jak małéj wartości i z pomysłu i wykonania jest poemat bohaterski Krasickiego *wojna Chocimska*, że napisał ją na wzór słynnéj w owe czasy *Heryady* Woltera: myślą główną, *Jagiellonida*, górowała nad *wojną Chocimską*, bo ma za treść, połączenie Litwy z Koroną. Ale ani talent autora, ani przepisy ówczesnego kodexu literackiego, nie podniosły samego w sobie poetycznego przedmiotu. To daje miarę i poglądu samego Mickiewicza. Co głównie spowodowało zwrót jego na stronę samodzielności w poezyi, A. E. Odyniec nam wyjaśnia.

Ów młodzieniec, z którym zawiązał przyjaźń, za przybyciem do Wilna, Tomasz Zan: „innemi naukami na *serio* zajęty, a miłujący tylko poezyę jako rozrywkę, który z niéj ani o chwale dla siebie, ani o niéj jako o sztuce nie myślał; uprawiał ją po swojemu i podług natchnień swojego serca, nietroszcząc się o przepisy książkowe, kochając wszystko i wszystkich. Każde miłe wrażenie, które zewsząd wyciągać umiał, pragnął wnet z kolegami podzielić: za środek zaś ku temu obrał poezyą. Opisywał zatém wierszem swoje własne uczucia i myśli, swoje rekracye i przechadzki, swoje wakacyjne zabawy, różne drobne rzeczywiste zdarzenia, i czytaniem ich przed przyjaciołmi, ożywiał ich wieczorne zebrania. W wierszach tych na pozór lekkich, tyle było powabu, tyle wdzięku i uczucia, tyle niekiedy rzewności szczeréj i tkliwéj, że jednę z jego elegii na odjazd panny F. pensionarki, z którą przez rok cały w domu wspólnych przyjacioł, zwykle dnie niedzielne przepędzał, i szczegóły właśnie tych niewinnych zabaw opisał, Adam nosił zawsze aż do zupełnego zniszczenia przy sobie i czytając powtarzał: „Nie sądziłem, aby w potocznych szczegółach rzeczywistości mogło być tyle skarbów poezyi.“ Myśl ta utkwiła w jego duszy, i pojęcie o *prawdzie w poezyi* albo raczéj o *poezyi w prawdzie* z potocznego w du-

chowe życie przeniosła. Zasada więc ta (słowa ciągle A. E. Odyńca) wyrodziła się wprzód w myślach i sercach naszych, niżeli oznajmiać się i zgłębiać zaczęliśmy poezyę niemiecką i angielską, w których właśnie tenże sam pierwiastek znajdował się; a wyrodziła się nie ze szkoły, nie z książek, nie z naśladowania Niemców lub Anglików, ale z życia, z prawdy, z miłości, czyli jedném słowem z natchnienia, które przez jednego, za łaską Bożą, na nas wszystkich spłynęło.“ W gronie téj saméj młodzieży ukazała się po raz pierwszy w literaturze naszéj *ballada*. Narodziny jéj szczegółowo podaje nam autor Felicyty i Barbary.

„Na tym samym korytarzu w murach S-to Jańskich gdzie mieszkali: Mickiewicz, Tomasz Zan, i najbliżsi wówczas ich przyjaciele: *Czeczot*, Jeżowski i Franciszek Malewski, mieszkał też syn professora literatury rossyjskiéj *Czerniawski*, chłopiec młody, żywy, wesoły i lubiony od wszystkich. Ten więc razu jednego, gdy wszyscy byli razem zebrani, wpadł do nich z uniesieniem, i z nowo wyszłą naówczas balladą *Żukowskiego „Ludmiłła“* mistrzowskim tłomaczeniem, a raczéj przetworzeniem ballady *Bürgera* „Lenora“ napisanéj, jak widać przez niego z pieśni gminnéj, tak dalece, że też same główniejsze zwrotki znajdują się w niemieckiéj i w naszéj. Okoliczność ta, równie jak urok sa-

méj poezyi, uczyniły na wszystkich jak największe wrażenie, i Tomasz Zan zaraz nazajutrz napisał swoją *Nerynę*, pierwszą balladę w języku polskim, za którą wkrótce nastąpiły jegoż *Cyganka*, *Pan Twardowski*, a dopiero po nich Mickiewicza *Switezianka*, *Lilje* i t. d. napisane pierwéj, niżeli niemieckie ballady w oryginale tu poznane zostały.“ [1])

Po ukończeniu nauk uniwersyteckich, które odbył na stypendium rządowym, był zmuszonym przyjąć posadę professora literatury polskiéj i łacińskiéj w Kownie.

Zdaje się że będąc uczniem uniwersytetu, uczuł w sercu silne, ogniste przywiązanie do *Maryi Wereszczakównéj*, siostry jednego z przyjacioł szkolnych. Kiedy przybył do Kowna, przebył wszystkie cierpienia młodéj duszy z nieszczęśliwie zakończonéj pierwszéj miłości; ubóstwiana przez poetę Maryla, oddała rękę bogatemu obywatelowi z Lidzkiego *Putkamerowi*.

Mickiewicz, złamany swoją niedolą, pełniąc najsumienniéj obowiązki nauczyciela — żył w Kownie samotnie, mało się udzielając. Najmniejsze wspomnienie przeszłości, głęboko go wzruszało.

„Na wiosnę 1823 r. (pisze w liście do mnie A. E. Odyniec) przyjechałem odwiedzić go do

[1]) Dwie konwersacye z przeszłości przez Ignacego Chodźkę Wilno. 1857. Str. 202—208.

Kowna. Pierwszego zaraz wieczoru, po długiéj przechadzce w dolinie, wróciwszy już prawie o północy do domu, deklamował mi nowo napisane tłumaczenie „*Pożegnanie Child-Harolda*“. Od pierwszych słów, twarz jego przybrała wyraz głębokiego wzruszenia, a deklamując wiersze:

„Czegóż mam płakać, za kim i po kim
Kiedy nikt po mnie nie płacze.“

zbladł nagle jak chusta, i upadł zemglony na ziemię. Łatwo pojmiesz moje przerażenie. Ledwo go mogłem ocucić, oblewając skroń zimną wodą, a pierwsze słowo które wyrzekł przyszedłszy do siebie, ażebym o tém nie powiadał nikomu.“ [1])

Patrząc na te cierpienia przyjaciela Odyniec pod świeżém wrażeniem napisał późniéj o Mickiewiczu

„Wiem jak te ścieszki cierniowe, któremi
Bóg go ku sobie prowadził po ziemi,
Wiem te kielichy goryczy żołciowéj,
Co w koléj musiał wychylać od młodu,
By z dna każdego z nich, blask Prawdy nowéj,
Przez serce jego wszedł dla serce zarodu.

Smutna postać wieszcza, głęboko wyryła się w myśli autora *Barbary*. W liście pomienionym wyżéj pisze:

„ Nie możesz miéć wyobrażenia nie widząc

[1]) List A. E. Odyńca, z r. 1857.

co to był za niepojęty urok jego fizognomii i wzroku:

„Znasz ty duszę, — znasz ten niepojęty
Urok, co k'sobie tajemnemi pęty
Ciągnie jak przepaść? Znasz to smutne oko
Co, gdy się w sobie zaduma głęboko,
Tonie w twej duszy, jak perła śród fali,
Albo się nad nią jak meteor pali,
Aż zadrzeć musisz, abyś wśród jéj ciemnic,
Sam, jakich strasznych nie dojrzał tajemnic,
A w nim, jakobyś czuł ducha przez ciało."

Żyjąc samotnie najulubieńszym miejscem przechadzek jego była cudna dolina Kowieńska która dziś już przybrała nazwę „*Doliny Adama Mickiewicza.*" [1])

[1]) Autor, ukryty pod pseudonymem Bonawentury z Kochanowa, we wspomnieniu o Kownie 1854 r. podaje nam ciekawe szczegóły o przybyciu i pobycie Adama Mickiewicza w Kownie, przywodząc opowieść pana prefekta ówczesnéj szkoły kowieńskiéj Przytaczamy ten ustęp:

„Było to w 1820 r. (rzekł Starzec) kiedy z nauczyciela literatury łacińskiéj i polskiéj, oraz historyi, postąpiłem na prefekta tutejszéj szkoły. Miano przysłać mojego następcę: już się kończyły wakacye, uroczysty obchód otwarcia szkólnego roku się odbył: odbywały się od dni kilku zapisy wracających uczniów od rodziców, a następcy mojego widać nie było. Razu pewnego pod wieczór z całą rodziną siedziałem przy wieczerzy, gdy drzwi się otworzyły i wszedł młody człowiek, bardzo skromnie ubrany, ukłonił się grzecznie, i o prefekta szkół kowieńskich zapytał. „Ja nim jestem" odpowiedziałem wstając od stołu, „ale z kim mam zaszczyt mówić?" dodałem. „Z Adamem Mickiewiczem" odezwał się cichym głosem młodzieniec: naznaczony jestem na nauczyciela do tutejszéj szkoły: poczém oddał mi list i plikę papierów od Rektora Uniwersytetu wileńskiego. Zaprosiłem go na wieczerzę, obok siebie posadziłem, darem bożym z nim się podzieliłem; i odtąd ten dzień, w którym pod tym dachem zasiadł po raz pierwszy do mojego stołu, zapisałem na zawsze w pamięci serca mojego.

W Kownie, w przeciągu dwóch lat, przy pełnieniu obowiązku nauczyciela literatury,

„Po wieczerzy nowego kolegę poczęstowawszy fajeczką, przerzuciłem nadesłane papiery, poczém do późna rozmawialiśmy z sobą i rozpoczęła się znajomość, z czasem zamieniona w przyjaźń niczem nienaruszoną, trwałą aż do grobowéj deski. Nazajutrz pana Adama wprowadziłem do naszéj szkoły, zainstalowałem w nowym obowiązku. Przez czaś niejaki, nie widywałem go tylko podczas godzin szkolnych, gdyż zaraz po lekcyi czém prędzéj, wracał do siebie, zamykał się w swoim pokoju, lub stroniąc od ludzi, szukał samotności w najodleglejszych miejscach, zapuszczał się w najgęstsze bory, krył po urwiskach górzystych brzegów Niemna. Od tego czasu ulubioną jego przechadzką, czy na wiosnę wśród majowych kwiatów, czy w lecie w śród burzy, błyskawic i grzmotu, czy wśród zimowéj zamieci, stała się owa dolina, sławą jego imiemienia uwieczniona.

„Z początku koledzy brali go za dziwaka, ja zaś powiedziałem: albo zakochany albo poeta. Niepokoił mnie jednak ubiór na nim zawsze ten sam, coraz bardziéj wytarty: niepokoiło żem nie wiedział gdzie się stołuje, co jé, a myśl że może niedostatek znosi, boleśnie mnie trapić zaczynała, tém bardziéj, że nowy nasz kolega, akuratnością w pełnieniu obowiązków, obejściem słodkiem i cierpliwém z uczniami, poszanowaniem i poważaniem starszych, wszystkich przyciągał do siebie. Wnet się dowiedziałeem: że *omnia mecum porto* znajdowało się na nim, a para koszul (w szufladzie płaszcz którym, się okrywał i przykrywał, oraz skórzana poduszka, całą jego garderobę i pościel stanowiły. Dowiedziałem się że pieczone w piecu kartofle służyły mu za codzienne pożywienie. a całym jego zbytkiem była herbata i kawa, całą pociechą fajka tytoniu!

„Chciałem go zbliżyć do siebie, chociaż to trudno było: po dwóch miesięcznych staraniach zbliżyliśmy się do siebie, niby niechcący i do tego doszedłem że często bywał u mnie na obiedzie a w końcu stołować się zaczął. Żona moja, kazała mu uszyć tuzin koszul, opatrzyła jego garderobę, a niechcąc skromności obrazić, wydatek na kupione przedmioty wytrącała sobie miesięcznie z jego pensyi.

„Razu pewnego przyszedłszy do pana Adama pod wieczór, zastałem rozebranego, z rozczochranemi włosami, z fajką w gębie, w szerz i w zdłuż po pokoju chodził. Usta stłumione i niewyraźne słowa zdawały się wymawiać, oczy pałały niezwykłym gorączko-

wiele do dawniejszych, przybyło nowych utworów poetycznych. Tu napisał poemat *Dziady*

wym ogniem, lica zazwyczaj blade, siną przybierały barwę. Albo chory, albo rozkochany pomyślałem w duchu. Skoro mnie ujrzał wchodzącego do pokoju, uspokoił się nieco, skłonił uprzejmie, na stołku posadził. Zaczęła się rozmowa, ale szła jakoś niegładnie, on był smutny, mało mówiący, zdawało się jakby co tylko się zbudził, co tylko powracał do rzeczywistości życia z krainy urojeń, snów i marzeń! Ja zaś więcéj z przywiązania niż z ciekawości, chciałem go wybadać, wyrozumieć: wywiedzieć o cierpieniu fizycznem, lub moralnem, abym mógł przyjść z pomocą, alboli-też z pociechą.

— Panie Adamie zapytałem, czy jesteś chory?

— Bydź może odpowiedział, głowa mnie boli.

— Może serce? dodałem.

— Serce? powtórzył:

Serce bije gwałtownie, oddechem nie władnę,
Iskry czuję w źrenicach, a na twarzy bladnę:
Nie jeden z obcych głośno pyta o me zdrowie,
Albo o mym rozumie cóś na ucho powié.
Tak cały dzień przemęczę: gdy na łoże padnę
W nadziei, że snem chwilę cierpieniom ukradnę,
Serce ogniste mary zapala w méj głowie!

— To wacpan podobno poetą, zawołałem: mój młody kawalerze, słuchaj zdrowéj rady na doświadczeniu opartéj: porzuć poezyą, ta ciebie do niczego nie doprowadzi, wróć lepiéj do poczciwéj prozy. Proza umysł naucza, a poezya go przewraca. Poezya rozkołysze twoją wyobraźnię, rozdraźni uczucie, nauczysz się latać po powietrzu, a po ziemi kiedy będzie potrzeba, nie potrafisz chodzić. Zmarnujesz młode lata, żal mi twojéj młodości.

— „Młodości! ty nad poziomy
Wylatuj! a okiem słońca,
Ludzkości całe ogromy
Przeniknij z końca do końca!

Odrzekł jakby w obłąkaniu.

— Biada mi z tobą! zawołałem, zgubiony człowiek niéma co z tobą robić: po kilku chwilach milczenia:

— Panie Adamie, dodałem, masz dużo zdolności, ale jeszcze

część II. i IV, w którém uczucia swoje w postaci Gustawa tak silnie odmalował: tu napisał po-

jesteś bardzo młody, nie masz doświadczenia. Zająłeś miejsce piastowane przezemnie przez lat kilkanaście; chcąc drugich nauczyć trzeba dużo umieć, a starszy wiekiem, naturalnie więcéj od młodszego posiada, bo miał więcéj czasu do nabycia. Z tego powodu chcąc ci dać dowód mojego przywiązania; ofiaruję spisane moje prelekcye, uwagi, spostrzeżenia, przydadzą ci się niezawodnie i pewny jestem że z nich skorzystać nieomieszkasz.

To rzekłszy oddałem sexterna własną ręką zapisane. Przyjął je z wdzięcznością: pocałował w ramię, i kiedym wychodził podziękował i aż na wschody odprowadził.

Szkoda mi go, pomyślałem wracając do domu, dobry chłopiec, zdatny, potulny, usłuchany, ale ta nieszczęsna poezya głowę mu całkiem zawróci.

W kilka dni późniéj, po wieczerzy rozmawiając z nim w tym samym przedmiocie, zbijając o ile mogłem wzrastający poetyczny nałóg, jak go wtedy zwałem.

— Panie prefeckie, zawołał, powstajesz przeciw poczyi, a ręcze że sam wierze piszesz.

Zarumieniłem się nieco, bo mnie jakby na uczynku złapał: przyznałem się do winy i dowieść chciałem, że poezya dla młodego, jest niebezpiecznym szałem, dla starego przyjemną rozrywką. Czym go przekonał, wątpię: ale gdy mnie naglić zaczął abym mu co z utworów moich przeczytał, dopełniłem żądania. Słuchając mojéj ramoty, uśmiechał się czasami, a gdym o zdanie pytał, bo któryż z piszących niéma miłości własnéj, chwalił, niektóre czynił uwagi: on młodszy, mnie starego zachęcał, poprawiał, a ja go wtedy już jak mistrza słuchałem. Byłoż to przeczucie?

Minęła zima, nastąpiła wiosna, a nic się w trybie Adama nie zmieniło, dopełniał obowiązków swoich z najsumienniejszą akuratnością, ale zawsze smutny, zamyślony, odludek: u mnie jednego bywał, zresztą nie uczęszczał do nikogo. Już niektóre ulotne jego wiersze przebiegały z rąk do rąk, już *Warcaby* do brata, odę do *Lelewela* napisał: powiadano, że pracuje nad ważniejszym poematem, jednak tak jak jego długie wycieczki za miasto, były dla wielu zagadką, tak to co pisał, było dla wszystkich tajemnicą Nastąpił roczny examin, a po nim wakacye: młodzież się rozjechała do rodzicielskich domów, prawie wszyscy nauczyciele opuścili miasto: a z rodziną odpoczywałem po całorocznéj pracy pod tą wiejską strzechą, a Mickiewicz pozostał w mieście.

wieść *Grażynę*, któréj pierwotnie dał napis: *Korybut książę Nowogrodka:* a bohaterka gło-

„Dowiedziawszy się, że trzech uniwersyteckich kolegów przyszło z Wilna do Kowna piechotą z odwiedzinami do naszego Adama, chęć mnie wzięła poznania się z nimi. W tym więc celu, razu pewnego pod wieczór udałem się do miasta. Zapukawszy do drzwi „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus", rzekłem, do pokoju wchodząc. „Na wieki wieków amen", odpowiedziano ze środka. Adam zerwał się z miejsca, przywitał ze mną, poczém obróciwszy się do towarzyszy swoich: „przedstawiam panu prefektowi, rzekł do mnie, moich przyjacioł i towarzyszy". Piękna to była młodzież, śliczni kawalerowie, przyzwoici, grzeczni, uprzejmi i skromni. Wnet się znajomość zawarła: zasiedliśmy w około prostego stołu, podano herbatę i fajki. Rozmowa coraz się ożywiała, blade lica krasiły się rumieńcem, ogień błyszczał w oczach, rozpromieniły się czoła myśleniem.

„W tém Mickiewicz powstał, i z pamięci opowiadać nam zaczął pierwszą część *Grażyny*. Słuchaliśmy z zachwyceniem. Kiedy piérwszy każde słowo pożerał, drugi czerwienił się i bladnął na przemiany, trzeci na skrzydłach zachwytu, razem z poetą przenosił się w daleką przeszłość, widział Grażynę jaśniejącą młodością, wdziękiem, urodą: mnie po licach spływały łzy rozrzewnienia. Poeta skończył, nastąpiło milczenie i trwało przez chwil kilka: bo każdy lękał się go przerwać, przerwać urok, pod którym tak mu dobrze.

— Adamie! odezwałem się nakoniec rok temu powitałem ciebie kolegą moim, potem radziłem porzucić poezję, radziłem powrót do poziomej prozy, a teraz witam ciebie pierwszym polskim wieszczem! Krańce ziemi dla ciebie zaciasne, tyś jest orłem, tobie potrzeba przestrzeni z burzą, z błyskawicą, z piorunem; twa sława, dla twojéj ojczyzny puścizną a dla ciebie nieśmiertelność.

Północ wybiła, pożegnałem towarzystwo, a wziąwszy Mickiewicza na stronę: „Mistrzu! rzekłem do niego, oddaj mi moje sexterna, moją ramotę, na nic ci się nie przydadzą. Nie mnie dawać nauki tobie, ale uczyć się od ciebie, podziwiać, uwielbiać twój genjusz wypada". A uścisnąwszy go serdecznie, święty znak krzyża złożyłem na jego czole.

— Sexterna twoje, odpowiedział, zachowam na pamiątkę przyjaźni, rad i nauk starszego zawsze słuchać będę, a znak krzyża

wna nosiła imie *Karyny*. Sądząc z autografu który mamy przed oczyma, wpatrzywszy się

świętego z wdzięcznością przyjmuję, jako błogosławieństwo ojcowskie.

Całe wakacye koledzy Mickiewicza przepędzili z nim w Kownie. Razem zwiedzali piękne okolice miasta, ustronie *Pożejscia*, *Czerwonego dworu mury*, i ową Wielonę pod któréj murami Gedymin śmierć chwalebną znalazł, i brzegi Niemna, najeżone szczątkami znikłéj krzyżackiéj potęgi. Ale ulubioną ich przechadzką, była nasza dolina.

Po rozstaniu się z niemi, czy ożywiony przyjacielskiéj dłoni ściśnieniem, czyli wskutek lepszego umysłowego usposobienia, mniej unikał ludzi, w niektórych towarzystwach uczęszczać zaczął. Wszędzie zapraszany, przyjmowany, chwytany, i płeć piękna za nim szalała, czytała jego wiersze, uczyła się ich na pamięć i Mickiewicz był w ustach wszystkich, w sercu nie jednéj.

Drugi rok szkolny się ukończył. Adama Mickiewicza powoływano do Wilna. W wigilją swojego wyjazdu z Kowna, zaproszony został przez nas na podwieczorek do doliny. Liczne zebrało się towarzystwo płci obojéj, odgłos muzyki rozlegał się echem po poblizkich wzgórzach i gajach; wesołość ogarnęła serca; spacerowano, rozmawiano, bawiono się ochoczo; miła i błoga panowała swoboda. Podano wieczerzę, zasiedliśmy do porozstawianych po łące stołów. Rozjaśniło się zwykle chmurne czoło poety, kiedy na prozby nasze niektóre ulotne wiersze, ustęp z Grażyny opowiadać nam zaczął. Przy końcu wieczerzy, jedna z pięknych obywatelek tutejszych, na ten obchód przez nas na gospodynię wybrana, wziąwszy w rękę kieliszek szampańskiego wina: „Piję rzekła za zdrowie naszego wieszcza, a zarazem wnoszę, aby dolina którą tak polubił, kędy szukał i znajdował natchnienie, kędy każdy oddech wiatru ochładzał czoło rozognione myślami, a śpiew ptaków był jego pieśni wtórem, przezwaną odtąd została: *Doliną Adama Mickiewicza!*" Powstaliśmy z miejsc z zapałem, spełniliśmy drogie nam zdrowie, a jednogłośnie podzielając szczęśliwy pomysł, potwierdziliśmy nazwanie, które w późne wieki zostanie relikwią przeszłości dla Kowna.

Mickiewicz ze łzą wdzięczności w oku dziękował wszystkim, ściskał podane sobie dłonie, poczém w tak blizkiéj chwili rozstania się z nami, oddalenia się od miejsc tak ukochanych, kędy tyle przemyślił, tyle przedumał, tyle przetę schnił, gotując się do téj przyszłéj walki, która się chyba po za grobem skończy: raz

dobrze w pismo, ledwie nie z pewnością twierdzić mogę, uważając jego zmiany, że sześć a najwięcéj siedm razy siadał do kreślenia téj powieści, obejmującéj wierszy 1155. [1]).

Za naleganiem przyjaciół, zbiór jego poezyi wyszedł w Wilnie w 2 tomikach 1822 roku. „Poeta (pisze L. Siemieński), stawając przed publicznością, wiedział że będzie sądzonym, lecz i to przeczuwał, znając ówczesny stan krytyki, że ten sąd wypadnie podług statutów inszéj szkoły, niż téj, do któréj się przyznawał. Chcąc tedy postawić publiczność we właściwym punkcie widzenia, poprzedził swoje poezje krótkim lecz pełnym treści rysem rozwijania się poezyi pod względm dziejowym i estetycznym.“

W téj rozprawie poraz pierwszy publiczność polska tu wyczytała wyrazy: *klassyczność i ro-*

jeszcze spojrzał na swoją dolinę, a w jego spojrzeniu ostatnie było pożegnanie: już jéj więcéj oglądać nie miał.... I zachodzące słońce wyjrzało z chmury, raz jeszcze ozłociło i błonia i wzgórza i lasy, jakby raz jeszcze wieszcza naszego pożegnać chciało. Wracając do miasta całe towarzystwo wstąpiło do mnie, i tu pod moim dachem do późnéj bawiąc nocy, po raz ostatni oglądaliśmy kochanego naszego poetę.

A tam na dolinie, kędy przed chwilą było wesoło, gwar, śmiech odgłos muzyki się rozlegał, głucho i pusto. Nazajutrz Mickiewicz wyjechał do Wilna i odtąd nie powrócił do nas.“

Opowiadanie to dosłownie przywiódł widać tenże sam autor, „w Pamiętnikach Pana Kamertona.“ (Patrz Kronikę Wiadomości Krajowych i Zagranicznych z r. 1858, Nr. 323). Tu się tylko dowiadujemy, że ów sędziwy prefekt nazywał się *Dobrowolski.*

[1]) Patrz Tom IV. str. 255 niniejszego wydania.

mantyczność ich różnicę, oraz określenie *ballady* i *romansu* poetycznego. Wydanie to Mickiewicz przypisał: „Janowi Czeczotowi, Tomaszowi Zanowi, Józefowi Jeżowskiemu i Franciszkowi Malewskiemu, przyjaciołom moim, na pamiątkę szczęśliwych chwil młodości, którą z nimi przeżyłem.“

Dwa te tomiki obejmowały Ballady i Romanse: *Pierwiosnek, Romantyczność, Switeź, Switezianke, Rybkę, powrót Taty, Kurchanek Maryli, To lubię, Rękawiczkę* (z Szyllera), *Pani Twardowska, Tukaj*, (dwie tylko pierwsze części—dwie ostatnie dopisał później za zezwoleniem Mickiewicza A. E. Odyniec). *Dudarz*, (przy nim załączył tryolety Tomasza Zana) z *wierszy: Hymn na dzień Zwiastowania N. P. Maryi, Żeglarz, Warcaby: do Joachima Lelewela. Poemata Grażynę* i *Dziady.*

Trudno opisać wrażenia, jakie wywarły te poezje, na ogół czytelników polskich, a głównie na młode pokolenie, ilu wywołały zwolenników, i naśladowców. Od ich zjawienia, zawrzała zacięta walka dwóch silnych stronnictw literackich; poważnych starych *klassyków* i młodych *romantyków.* Współczesne pisma perjodyczne, są świadectwami wymownemi téj walki.

Pierwsze wydanie, w krótkim czasie roz-

chwytane, wyczerpaném zostało z obiegu handlu księgarskiego.

„Mickiewicz, czy znudzony nauczycielstwem na małém miasteczku, czy wyleczony w samotności z ran zadanych przez miłość, czy ośmielony wrażeniem jakie utwory jego zrobiły w świecie, opuścił Kowno i pojechał do Wilna; najpewniéj, aby się połączyć z przyjaciołmi, do których tęsknił. Jakoż stanąwszy w tém kole, gdzie wszystkie serca biły w jeden takt, gdzie go kochano, gdzie się dzielono każdą myślą, i wszystkiem co kto miał, odpadła mu chęć do professury. Któryś z wielbicieli poety, mający wpływ u księcia kuratora wyrobił to, że go zwolniono z obowiązkowych pięciu lat nauczycielstwa, i pozwolono pozostać w Wilnie. Obecność poety w litewskiéj stolicy, dodała życia i tak już ożywionemu kołu rówieników. Celem tych młodzieńczych skojarzeń, było najczytsze zamiłowanie i uprawa nauki, a oraz obowiązek dawania pomocy pieniężnéj i naukowéj ubogim studentom, pozbawionym funduszów i korrepetycyi. [1])"

W końcu miesiąca sierpnia 1824 roku, Mickiewicz i Jeżowski wraz z ośmiu innymi współtowarzyszami, zostali wezwanemi do Petersburga. Zadecydowano wszystkich poumieszczać na naukowych posadach w różnych ros-

[1]) L. Siemiński.

syjskich guberniach. Opisał tę podróż swoją w te nieznane strony.

Na samym wsiadaniu dnia 24 października, w sam dzień wyjazdu z Litwy, na prośbę Ignacego Chodźki napisał w Albumie jego narzeczonéj Ludwiki M. te słowa:

„Nieznajoméj, dalekiéj, nieznany, daleki,
Kiedy nas jeszcze daléj chcą losy rozegnać,
Posyłam, by cię razem poznać i pożegnać,
Dwa wyrazy „witam cię, bądź zdrowa na wieki"
Tak wędrowiec zbłąkany w alpejskim parowie
Piosnką, chcę nudnéj drodze przyczynić wesela,
A kiedy niéma komu śpiewać serce wdowie,
Śpiewa piosnkę, kochance swego przyjaciela,
Lecz nim piosnkę przypędzą echa ku jéj stronie,
Może już podróżnego wieczny śnieg pochłonie".

Wieszcze to było przeczucie, bo już więcéj Litwy nie zobaczył.

W Petersburgu Minister Narodowego Oświecenia A. S. Szyszkow otrzymał od kandydatów Mickiewicza i Jeżowskiego podania o chęci służenia. Obaj prosili, o umieszczenie w Odessie w liceum Ryszeliego. Przy ich wyprawieniu z Wilna do Petersburga, kurator Wileński N. Nowosilcow wręczył im listę, a w liście przy każdym nazwisku zanotował, co kto może wykładać. Przy nazwisku Mickiewicza napisano że „mógłby wykładać literaturę starożytnych języków i estetykę w niemieckim, francuzkim, łacińskim i rossyjskim języku." Zgodnie też

z tą opinią, polecono z ministerstwa kuratorowi z Liceum Riszeliego, hrabiemu Janowi Józefowi Witte, umieścić w tym naukowym zakładzie Mickiewicza i Jeżowskiego z tytułem tych przedmiotów, w których są uzdolnieni i wyznaczyć im pensje. Pensje te hr. Witte ustanowił od 600 do 750 rubli assygnacyjnych.

W Petersburgu obudwóm ze względu na ich stan ubogi, udzielono prócz kosztów pocztowych do Elizabetgrodu na wydatki podróży każdemu po rs. 300 assygnacyjnych. Udali się więc do Elizabetgrodu, gdzie się znajdowała podówczas główna kwatera hr. Witte, dowodzącego niezależnie od kuratorstwa, wojskami rozlokowanemi w tym kraju, i gdzie obaj kandydaci przedstawili się swéj nowéj zwierzchności. Z akt pokazuje się, że Mickiewicz i towarzysz jego, przybyli do Odessy i przedstawili się w Liceum w lutym r. 1825. Tu z polecenia kuratora udzielono im kwatery wgmachu Liceum, i pozwolono używać stołu na równi z drugiemi nauczycielami. Wielu dawniejszym wychowańcom Liceum, pozostał w pamięci ten pokój w starym gmachu, na ostatniém piętrze na prawo od wejścia po wschodach, w którym mieszkał Mickiewicz. Obaj nie pełnili obowiązków i nic nie wykładali; przyczyną tego był brak wakujących posad, lubo być może że i dla tego, iż wkrótce po ich przybyciu do Odessy

w m. marcu 1825 r. otrzymano Najwyższy rozkaz świadczący o wspaniałomyślności błogosławionéj pamięci Cesarza Aleksandra: w którym powiedziano „niepozostawiając Mickiewicza i Jeżowskiego w służbie liceum Ryszeliego," i w ogóle w południowych guberniach: „umieścić ich w innych rossyjskich guberniach, według własnego ich wyboru, i w takich rodzajach służby, jakich zażądają sami," również: „ze względu na ich stan ubogi udzielić potrzebny ku temu zasiłek." I Mickiewicz i Jeżowski objawili chęć przyjęcia służby w Moskwie: pierwszy w tamtejszem archiwum Ministerstwa Spraw Zewnętrznych, a drugi w Uniwersytecie, do katedry starożytnéj literatury. Zarządzający ówczesnem kollegium Spraw Zewnętrznych tajny radca *Didow* zawiadomił: że „dla wielkiéj liczby osób zostających w biórze wspomnionego archiwum, nie znajduje sposobności umieszczenia przy niém kandydata Mickiewicza, tém więcéj że archiwum nie posiada zbywających funduszów, z którychby można było wyznaczyć Mickiewiczowi najmniejszą płacę. Na nowe z tego względu zapytanie przez Ministerstwo Narodowego Oświecenia, za pośrednictwem hr. Witte i zarządu Liceum, Mickiewicz objawił chęć służenia w kancellaryi moskiewskiego wojennego generał-gubernatora księcia Wł. Golicyna. Korrespondencya co do

jego pomieszczenia długo się ciągnęła. Świadectwo na przyjazd z Odessy do Moskwy, pocztowa ceduła i zapomoga 300 rubli na wydatki w podróży, zostały wydane Mickiewiczowi 12 listopada 1825 r. [1])

Rzeczą jest niezawodną że w jesieni tegoż roku był w Krymie, gdzie napisał swoje „Sonety Krymskie.“ Piąty z jego sonetów, ma za przedmiot „widok gór ze stepów Kozłowa,“ zatém dostał się do Krymu lądem. „Lecz tu (pisze K. Zieleniecki) można zrobić i drugie przypuszczenie; czy nie zwiedził on klassycznéj Taurydy pod koniec listopada 1825 r. i nie skierował dla tego drogi do Moskwy, na Cherson i Perekop? Zaufanie zwierzchności i swoboda jazdy, dawały mu prawo do tego.“ [2])

Mylnie Franciszek Kowalski w swoich pamiętnikach napisał: że w Odessie poznał się nasz poeta z Puszkinem: ten bowiem wyjechał z Odessy 30 sierpnia 1824 r. Mickiewicz w pół roku dopiero późniéj tu przybył. Po sześcioletniéj niebytności, Puszkin w jesieni 1826 r. pokazał się w starożytnym grodzie Rossyi. Z Mickiewiczem poznał się w Petersburgu w 1828 lub 1829 za drugą tegoż bytnością w stolicy Cesarstwa.

Opowiadano, nawet o pierwszym ich spotka-

[1]) Odeski Wiestnik N. 11 z 1858 r.
[2]) Biblioteka Warszawska T. 3 str. 166.

niu. Szli naprzeciw siebie chodnikiem: Puszkin zbliżając się do Mickiewicza którego znał z widzenia, ustępując mu z drogi, rzekł do siebie z jakąś pokorą: *Z dorogi dwojka, tuz idiot,*" a nasz poeta tymże rytmem natychmiast mu odpowiedział: „*Kozyrnaja dwojka tuza biot.*" Ztąd przywitanie, znajomość i przyjaźń. Do Moskwy przybył w grudniu 1825 roku: żył w zaciszy z kilką przyjaciołmi swymi: i kończył *Walenroda*, którego zaczął w Odessie. Ztąd napisał 9 czerwca 1826 r., list do przyjaciela lat młodych Tomasza Zana, który tu w całości z autografu przepisany podaję:

„*Kochany Tomaszu.*

Ledwieby pojąć można, takie w nas niedbalstwo i ociężałość do korrespondencyi. Od lat niewiem wielu, kiedyśmy pożegnali się na stacyi *Poniemeńskiéj*, aż dotąd jeden tylko od ciebie był listek; następnie kilka miesięcy milczenia, pomimo naszych odezw, nabawiał nas niemałéj niespokojności. Chciałem pisać, ale myślałem że miejsce pobytu odmieniłeś, że może w drodze do nas jesteś. Szczęściem Jan [1]) odezwał się, ale o tobie słowa jednego nie napisał. Każe tylko listy pod twój adres wysyłać, skąd wniosek że żyjesz, i co gorsza dotąd jesteś na miejscu. Umyśliłem tedy zostawić na ten raz Jana bez listu; ciebie zaś na nowo wyzwać.

[1]) Czeczot.

Tymczasem pismo moje prześléj Janowi, aby powziął z niego krótką o mnie wiadomość.

Od decembra, jak wiecie w Moskwie, zdrów dosyć, mógłbym powiedzieć: zdrów zupełnie gdyby mię oczy nie dręczyły. Mieszkam razem z *Franciszkiem* i *Jerzym*: mamy swój stół dosyć dobry i nie źle wegetujemy. Książka nie często w ręku: częściéj szachy, prawie zawsze gawęda. Znajomości żadnych i kompanii, oprócz własnéj nie mamy. Wyjmuje się pan Onufry, który jest tutejszym Syndykiem parafii, ztąd często na chrzciny, i zaślubiny i pogrzebiny zaprasza się, z księżmi, akuszerkami i sekretarzami znajomości uprawia, zawsze mocno zajęty, pełen interessów i ciągle się spieszy, jak gdyby miał gdzie iść na *rendezvous*. *Budrys* czyste negative Onufrego; zawsze *impassible*, pali lulkę dzień cały i patrzy na świece wieczorem: do szachów staje zawsze, w matematykę niekiedy zagląda. *Daszkus* [1]) kurjerem pojechał za interessami Banku i wkrótce powróci. Ale skończmy na tém od czego niemiecka filozofia zaczyna, to jest na *ja*. Otóż *ja* żyjąc z nimi, mało się od nich i zewnętrznie i wewnętrznie różnię. Od wyjazdu z Odessy, gdziem żył jak Basza, muza moja zleniwiała, nie mogę skończyć powieści litewskiéj, która

[1]) Daszkiewicz.

ma trzeci tomik kompletować [1]), wszakże mam nadzieję że ją skończę. Trzeci ten tomik mający się urodzić, jak *Tristam* Sterna, różne ojcu robi nadzleję. Niewiem ile sławy zyskam, ale co ważniejsza finanse poprawię. Dotąd i w tej kategoryi dosyć szczęśliwie wychodzę; mogę wam nawet przesłać kilkadziesiąt rubli, jeśli mi pewny adres przyślesz.

Ten list posyła się w kopercie do Żemczeżnikowa, o którym ledwo teraz powzięto wiadomość, nie wiem tedy czy pewnie dojdzie. Daj nam pewny adres i napisz, jakich najwięcéj potrzebujesz książek, ja ci dostarczyć sam przyrzekam.

Donieś o szczegółach, o życiu swojém, i uczyń téż wzmiankę o *Suzinie* [2]) co się z nim dzieje. Bądź zdrów, niech cię Bóg pokrzepia, i rozum utrzymuje, a nadzieja zasila. Zbliżający się obrzęd koronacyi Najjaśniejszego Cesarza, który nam pomyślniejszą wróży może przyszłość, może łaskawy Monarcha i na nas zwróci oczy.

Twój Adam Mickiewicz."

Przyjeżdża tu ktoś z Orenburga znajomy to-

[1]) Pisze tu Mickiewicz o Walenrodzie, który miał trzeci tomik poezyi wileńskiego wydania z 1822 r. wypełnić, późniéj myśl zmienił, wydał oddzielnie i w większym formacie.

[2]) Suzin, uczczony pamięcią w poezyach Mickiewicza, towarzysz jego uniwersytecki, żyje i mieszka pod Białą Radziwiłowską na Starem naszym Podlasiu. Jest to szwagier A. E. Odyńca, w r. 1857, mieliśmy przyjemność poznać go osobiście.

bie, wielką to nam sprawiło pociechę, spodziewaliśmy się o twojém zdrowiu dowiedzieć. Miał być u nas ale dotąd jeszcze się nie pokazuje

9 *Czerwca.*

W Moskwie wydał Sonety, na czele których, jest tłumaczenie perskie Sonetu: „Widok Czatyrdachu ze stepów Kozłowa. przez Muza Dżafar Topczy-Baszy.“ [1])

Tu, uczuł się mocno cierpiącym na piersi. Imie jego było głośne, były i listy polecające, zajęto się więc młodym a tak nieszczęśliwym poetą. Aniołem opiekuńczym była kobieta rossyjska księżna Zenejda Wołkońska. Ona mu wyrobiła wolność pozostania w Moskwie, dom własny otwarła, wprowadziła w najpierwsze towarzystwa, tłumaczyła jego poezye; za jéj wstawieniem otrzymał później nieograniczony paszport do Niemiec, Włoch i Francyi, z zaszczytnym jeszcze dodatkiem przy opisie osoby: „Sławny poeta polski.“

[1]) To pierwsze, rzadkie już wydanie opiszemy bliżéj.
„Sonety Adama Mickiewicza (z godłem):
„Quand'era in parte alt' nom da quel, ch'io sono."
Petrarca.
Moskwa. W drukarni uniwersytetu. Nakładem autora. 1826. w 4ce str. 48. Na czele dwie kart litografowanych z napisem: „Sonet V. Widok Czatyrdahu ze Stepów Kozłowa. Z perskiego na wiersz polski przełożył Muza Dżafar Topczy-Baszy prf. adjunkt w uniwersytecie St. petersburgskim, tłumacz w kolegium azyatyckiém i kawaler orderu Włodzimierza 4-éj klassy".
Exemplarze, jakie pierwsze nadesłano wówczas do Warszawy, były po większéj części bez tego tłumaczenia.

Wtedy w roku 1827 napisał śliczny ów wiersz na „*pokój* grecki w domu księżnéj Zenejdy Wołkońskiéj,“ w którym opisując dzieła sztuki zdobiące go, tak zakończa:

„O! niech te wszystkie bóstwa nad pamiątek ziemią
Wiecznie snem marmurowym i bronzowym drzémią,
Ciebie tylko niech piękna przewodniczko zbudzi,
Najmniejszy z bogów dotąd uczczony od ludzi!
Swawolniku! uciekłszy z Afrodyty łona
Drzémiesz, ssąc rubinowe piersi winogrona.
Wielki grzech bez ofiary minąć bóstwo twoje!
O piękna nimfo! bądźmy nabożni oboje!
Niestety! przewodniczka składnym rzutem oka
Jak laską Merkurego uderza z wysoka,
I duszę mą lecącą w roskoszy kraj błogi,
Wypędza bez litości za nadziei progi.
Cóż opowiem wróciwszy do śmiertelnych kraju?
Ach, opowiem że byłem w pół drogi do raju,
Z duszą na poły tęschną, na poły radosną,
Słyszałem już tę rajską rozmowę półgłośną,
I widziałem to rajskie pół światła, pół cienia,
I doznałem niestety! tylko pół zbawienia.

Wróciwszy do zdrowia, orzeźwiał, wyleczył się z pierwszéj nawet miłości. Bawił tu i w roku 1828, skończył *Walenroda*, zaczętego w Odessie, i wydał w Petersburgu. *Sonety*, nowy rozgłos dały jego imieniowi. Wówczas, pisał znowu do Tomasza Zana, list następny, który najlepiéj objaśnia, jak się stanowisko jego zmieniło.

Moskwa 3 *Kwietnia.* (1828 r. niewątpliwie.)

„Nie mogę przypomnieć, czym na list twój latem pisany odpowiedział. Jest szczególny rodzaj lenistwa, na który musisz nowy wyraz

wynaléźć, jestto odkładanie odednia do dnia; tym sposobem, często pół roku ciągnie się u mnie napisanie listu, a ty największe masz prawo do naszéj częstszéj korrespondencyi, bo nas obdarzasz nowinami szczegółowemi o swojém życiu, myślach i zatrudnieniach, czego od *Janka* [1]) wyprosić niepodobna. Cieszę się bardzo że lubisz czytać (może i pisać weźmie cię ochota), że szukasz uprzyjemnić sobie czas długiego w tamtych stronach pobytu. Szkoda że książek dosyć niémam i większa szkoda, że teraz nie wyuczyłeś się dobrze niemczyzny, a nawet angielskiego języka. W niemieckim łatwiéj i posilniejszą znaleść lekturę. We francuzkim tylko historyczne teraz prace znakomicie występują; i starać się będę, przesłać tobie cokolwiek książek w tym rodzaju. Wyjeżdżając do Petersburga poleciłem kupić trochę, bom wtenczas nie był bardzo bogaty. Donieś czy tę posyłkę przez aptekarza jakiegoś expedjowaną odebrałeś. Musisz wiedzieć, że byliśmy z *Franciszkiem* [2]) w Petersburgu. Moja sława literacka, która w Moskwie znakomicie kwitnie i licznemi tłomaczeniami sonetów rozszerza się, sprawiła mi wszędzie dobre przyjęcie. Rodacy mieszkający w stolicy i przybyli, dali mi wspaniałą *Kucyą* [3]):

[1]) Jan Czeczot.
[2]) Franciszek Malewski.
[3]) *Kucya*: wieczerza, uczta.

improwizacye, śpiewy etc. przypominały zabawy młodzieńczego wieku. Potem nastąpiły zaprosiny codziennie w różne miejsca, i czas zeszedł dosyć przyjemnie, wyjąwszy smutne i bolesne spotkanie się z bratem moim Jérzym, którego złe prowadzenie się wiele mi zdrowia ujęło. Poznałem się w stolicy z literatami rossyjskimi: Żukowskim, Kozłowem [1]) etc, i niektórzy szczeréj przychylności dali mi dowody. Ale najmilsza czekała mnie siurpryza przybyciem do stolicy *Itydatula* i *Sobolewskiego;* wiele oni ucierpieli pracując w odległych guberniach, teraz i miejsca wygodniejsze i rangę wyższą otrzymują. Uwija się też po Petersburgu *Krzywousty, Kudrawy Marjan*, którego historja długa i ustnie chyba dałaby się opowiedzieć. [2]) Służy on teraz, razem jest moim plenipotentem. Oleś Chodźko dopełnił liczby moich znajomych: kochany chłopiec, mieszkał prawie u mnie i nie mogliśmy nacieszyć się sobą. Wytłumaczył on pieśni greckie z Fauriela, i wkrótce wydrukują się; wcale dobre tłumaczenie. Chwała Bogu Oleś wybił się ze swego ciemnego stylu. Mimo tylu Petersburskich przyjemności, wyrywałem się do Moskwy; mieszka-

[1]) Jan Kozłow, temu przypisał Mickiewicz swego „*Farysa*".

[2]) Itydatul, Krzywousty, Kudrawy Marjan: są to nieznane nam postacie, które wyjaśnić mogą bliżsi Mickiewicza PP. Fr. Malewski i A. E. Odyniec.

ła tu familja Zaleskich [1]) chciałem jeszcze ją widzieć przed wyjazdem i spieszyłem się też do naszych znajomych, były i inne okoliczności. Franciszek [2]) został w Petersburgu ale dotąd nic pewnego niéma. Ja w miesiącu kwietniu tam się udam i w służbę wejdę, i spodziewam się i wam wkrótce dopomódz; na lato mam różne projekta, na Kaukaz czy do Krymu ? czasem i Orenburg mię wabi; czasem śnią się Włochy, wszystko to jeszcze w głowie pomieszane i do wykonania trudne, jak się coś wywiąże, doniosę wam,

Życie moje płynie jednostajnie i ledwie nie powiem szczęśliwie, tak dalece szczęśliwie, że lękam się, aby zawistna Nemezys nie gotowała mi już nowych jakich utrapień. Spokojność, swoboda mysli (przynajmniéj indywidualnie), niekiedy przyjemna zabawa, nigdy gwałtownych wzruszeń namiętnych (ma się rozumiéć indywidualnych). Spodziewam się że latem i większa obudzi się chęć do pracy, bo teraz dosyć leniwy jestem, lubo wiele zawsze czytam i myślę. Mój dzień każdy idzie równo: rano czytam, niekiedy rzadko piszę: o drugiéj lub trzeciéj jem obiad, albo się ubieram na obiad;

[1]) Był to dom ulubiony naszego poety: Walenroda przypisał: „Bonawenturze i Joannie Zaleskim na pamiątkę lata tysiąc ośmset dwudziestego siódmego".

[2]) Malewski.

jadę na koncert, wieczór, lub inną zabawę, i powracam najczęściéj późno. Uczę też po polsku niektóre damy. *Inter parenthessin* wielu tu uczy się po polsku, i kurator zamyśla katedrę przy uniwersytecie założyć. Mógłbym ją dawno otrzymać, ale niemyśląc zostać w Moskwie, zaniedbuje ten interes. W ciągu życia, jakie tu opisuje, charakter mój wyrównał się i uspokoił. Oleś Chodźko bardzo się mnie dziwił za teraźniejszem widzeniem się, uwielbiał mój jednostajny humor i łatwość w pożyciu z ludźmi któréj dawniéj nie miałem.

Daszkiewicz, mój *commensalis* i razem mieszkający, chociaż znudzony pracą w kantorze, utrzymuje przecież dobry humor. *Jerzy* (?;) wiele stracił przez wyjazd Zaleskich, jedynych jego znajomych. Bywa tylko czasem u Kozłowskich, niegdyś Wileńskich instytutorów, dziś tu mieszkających. Z niemi siedzi też Dominik Chodźko, tłusty i brudny kapucyn, którego staramy się jak to mówią *rozhłuzdać* i do pracy zmusić. Ale zgadnij gdzie *Nufr* (?) zgadnij? Choćbyś myślał i radził się kabały, nie zgadniesz, i ja nie powiem gdzie jest teraz, powiem tylko, gdzie będzie za parę tygodni. Gdzież? Będzie w *Nowogródku*, będzie w *Bokiennikach* będzie w *Mereczu*, będzie w *Szczuczynie*. Jedzie urządzać interessa jednego z tutejszych urzędników: dano mu pozwolenie na kilka mie-

sięcy. Pierwszy on tedy da przykład powrotu, dobra wróżba, teraz jeszcze będziemy milczéć: ale kiedy on znowu stanie w Moskwie, odwołamy się do tego przykładu, i doniosę tobie jak postąpić należy.

Posyłam tobie tymczasem dwa egzemplarze *Walenroda*: jeden dla ciebie, drugi dla Janka (Czeczota) jeszcze kilka potém odbierzerz. Chciałem pisać do Lebiediewa i na jego ręce posłać, ale słyszałem że Lebiediew wyjechał.

Zmiłuj się daj adres, kędy najlepiéj pisać do ciebie. Ten list idzie do p. Zemuzużnikowa. Odbierzesz tu rubli ass. sto, połowę dla ciebie połowę dla Janka. Może Janek przyjąć bez skrupułu, to są pieniądze uzyskane za Walenroda. Poema nie wiem czy zechce czytać, bo nie w jego myśli drukowane. Chciałem posłać Jankowi fałszywą edycyę sonetow lwowskich: spytaj się czy będzie ją czytać. W Wilnie Walenrod nie mógł być wydany, ani w Warszawie. Bądź zdrów, udziel ten listek Jankowi, bo teraz nie piszę do niego." [1])

[1]) Autograf niema podpisu. Następują przypiski Onufrego i Daszkiewicza.

„Już na dyszlu chwytam za pióro i cóś napiszę jadąc nad Niemen. Tyle zatrudnień, tyle kłopotów, tyle przypomnień, iż się w natłoku myśl gubi. Nie zastrasza zła droga: wszystkie się niewygody zniosą łacno. Adam posyła trzy egzemplarze Wallenroda jeden dla ciebie, drugi dla Janka a trzeci dla Adama. Bywajcie zdrowi. Onufry.

„Zdrowia wam i dobréj myśli, naduralscy bracia życzy. E. Daszkiewicz. Napisz do mnie twój adres kochany Tomaszu, bo mi bardzo często potrzebny!

W 1828 r. Mickiewicz z gubernatorem Moskwy księciem Wołkońskim przybył do Petersburga. Tu, jak mówiliśmy, zapoznał się teraz z Puszkinem: i zacząwszy druk nowego wydania zbioru swych poezyi, pisał do znanego chlubnie na polu dziejowém Mikołaja Malinowskiego.

„*Szanowny panie Mikołaju!*

Nie śmiem zatrzymywać pana Glückberg, który na chwilę przed wsiadaniem zaszedł do mnie, i dla tego krócéj niżbym chciał, piszę do ciebie. Odkładam na inny czas różne anegdotki o naszych znajomych, bo je trudno przypomnieć i systematycznie ułożyć. Zresztą ważnego nic nie zaszło. Ja zdrów jestem i pędzę życie próżniackie, oczekując czegoś stanowczego: w tych dniach spodziewam się że się zdecyduję albo tu zostać, albo na południe ruszyć. Miałem zamiar odwiedzić Moskwę zimą z własnéj ochoty i zatrzymałem się dla interessów, ale zapewne późniéj do skutku ten zamiar przywiodę.

Jeślim z góry *kosmatą ręką* nie witał ciebie, pochodziło stąd, że koniecznie chcę rymami twój mariaż wysławiać. Tylko coś Muza nie staje na zawołanie i podobno odłożę do Genethliacon, staraj się abym nań długo nie oczekiwał. Tymczasem żony twojéj, rączki odemnie

ucałuj i waszych rodziców pozdrów i Ferdynanda [1]) uściśnij. Wiesz jak ich wszystkich poważam i kocham. Moje wydanie poezyi, kończy się lada dzień. Pan Glückberg już jeden tom widział gotowy. Doniesiesz mi co tam o niéj będą gawędzić. Napisz téż i o swoich literackich zamiarach. Niepodobna abyś z nogami, rękami i głową zakopał się w archiwum. NB. W mojéj przedmowie zaczepiłem okrutnie Warszawianów, i rozsypałem sarkazmy, któreśmy nieraz na *Bentkowskiego* i *Potockiego* wynajdowali [2]). Bądź zdrów. Pamiętaj o obietnicy raportów tyczących się Wileńskiéj literackiéj hierarchii.

Adam [3])."

Kiedy bawił w Moskwie, hrabina Klementyna z książąt Sanguszków Ostrowska, mieszkającemu już w Paryżu Leonardowi Chodźce, zleciła, aby się zajął wydaniem poezyi, ofiarowała hojny nakład, a dochód z całéj edycyi ofiarowała znajomemu sobie tylko ze sławy autorowi [4]).

[1]) Ferdynand Gutt dok. Med. szwagier AndrzejaTowiańskiego.

[2]) Jest to owa sławna rozprawa „O krytykach i recenzentach warszawskich". Po raz pierwszy w téj edycyi ogłoszona.

[3]) List ten bez daty, równie jak dwa wyżéj przywiedzione do Tomasza Zana, przepisane z autografu Mickiewicza udzielił mi Alex. hr. Przezdziecki.

[4]) W r. 1828 wyszły w Paryżu dwa tomiki u przedsiębierców Barbezat i Delarue: z popiersiem Mickiewicza w 16ce (Tom 1 str. VII. i 236. T. 2 str. 216) L. Chodźko opuścił rozprawę o romantyczności przy wydaniu pierwszem wileńskim umieszczoną: „albowiem (pisze) tyle ona wówczas była potrzebna ile teraz zbyteczne-

W 1829 r. w Petersburgu wydał uzupełniony zbiór swoich poezyi w dwóch tomach, z przemową na czele „*o krytykach i recenzentach warszawskich*“ W nim, z poezyi ukazał się *Farys* zupeł-

by było usprawiedliwienie dla czego autor obrał romantyczną szkołę, o któréj tyle już pisano, od czasu zjawienia się jego prawdziwie pięknych poezyi". Dwa te tomiki obejmują: Tomik I. Ballady i Romanse: kilka wierszy Warcaby, znane z pierwszego wydania, oraz Grażynę: tomik 2-gi, Dziady część II. i IV. *Sonety*, przedruk edycyi moskiewskiéj 1826 r. wiersz do J. Lelewela, pożegnanie Child-Harolda i wiersz do M. Na czele pierwszego: wydawca w przemowie pisze: „Od kilku lat znajome publiczności pierwiastkowe próby poezyi Mickiewicza, zjednały mu powszechny szacunek ziomków i cudzoziemców: wprawdzie gorliwi sektatorowie niemczyzny, przypuściwszy że romantyk błądzić nie może, przesadzonemi pochwałami błędów nawet tego pięknego poety, dość długo zajmowali czytelników pism peryodycznych polskich, równie jak mniemani stronnicy szkoły klassycznéj, przypuściwszy, że w romantyczności nic być niemoże godnego pochwały, częstokroć potępiali miejsca rzeczywiście godne uwielbienia, niepomni na to że nasz stary Górnicki, słusznie powiedział w swoim *Dworzaninie:* nie życzyłbym tego żadnemu, aby który o ślepotę tak, jak on poeta Stesichorus przyjść miał: albowiem zwykł Bóg wszystkie te tą winą karać, którzy przeciw piękności, przeciwko rzeczy świętéj mówić, a one ganić śmieją." Ale pomimo zdań przeciwnych, poezye pierwiastkowe Mickiewicza, nie przestały należyć do rzędu dzieł, które najchętniéj czytuje publiczność, co było godném pochwały, tego ślepa zawiść zeszpecić nie mogła: co zasługiwało na naganę, nie mogło nabrać blasku, przez niesprawiedliwe okrzyki, równie zaślepionych obrońców. Tymczasem wśród rozdwojonych opinii żarliwych stronników, skromny czytelnik nic niemogąc skorzystać, jednym i drugim niedowierza: a w niedostatku prawideł piękności, któreby się dały zastosować, do wszystkich rodzajów poezyi, a o które się dobijają dzisiejsi teoretycy, uważa ile poeta, zbliżył się do swéj piękności, któréj powab czuje w swém sercu, i podług wzorów tworzy swe zdanie. Nieraz więc zgodzi się z romantykami, że większa część płodów Mickiewicza est godna największych pochwał, nieraz i klassykom pochlebiać musi, ganiąc niektóre części rzeczywiście, zdaniem jego pewnéj naganie uległe.

nie dotąd nieznany. W pełni swojéj sławy, Mickiewicz, doznał jak najchlubniejszego przyjęcia w stolicy Cesarskiéj. W jednym z domów przyjaznych wyprawiono mu wspaniałą ucztę na

Kiedy więc pierwiastkowe poezye Mickiewieza tyle obudziły interessu w publiczności, tylu namiętnościom autorskim otworzyły pole walki, zupełne rozkupienie pierwszéj edycyi, podawało myśl wielu księgarzom przedrukowania tego zbioru: gdy jednak żaden się na to nie zdobył, sądzę że przyjemnie będzie ziomkom, wziąść w rękę edycyę paryzką".

Tom 3-ci przedsiębierca J. Barbezat wydał w r. 1829 aby uzupełnić wydanie paryzkie, i umieścił w nim Wallenroda, oraz drobne wiersze.

Konrada Wallenroda pierwsze wydanie z rycinami Wincentego Smokowskiego, wyszło w Petersburgu w r. 1828, w 8-ce.

Z Antonim Góreckim Mickiewicz zostawał w ścisłych stosunkach przyjaźni.

Na egzemplarzu Wallenroda, Dominika Chodźki, Górecki w r. 1828 taki wiersz napisal:

„Tam gdzie obelisk Sezostrysa świadek,
Co tylu dumnych pamięta upadek,
Wznosi swe czoło, wśród twych gruzów Rzymie,
Dwóch kiedyś Grekow wyryło swe imie.
Wieki mijają, każdy i w téj chwili,
Czyta i wspomni, przyjaciołmi byli,
Tak Mickiewiczu, my nasze imiona,
Piszem na kartach twego Wallenroda,
Jak głaz egipski, on wieki pokona,
On imie nasze potomności poda:
Niech wnuk daleki, kiedyś w lepszéj chwili,
Czyta i wspomni: przyjaciołmi byli."

Przywodzimy ten wiersz na dowód, że Górecki, z rzeczywistym talentem poeta, który w początkach królestwa polskiego zyskał chlubne imie w literaturze naszéj: po wyjściu ocenił zaraz wartość Walenroda.

Syn jego, po śmierci Mickiewicza, ożenił się z najstarszą z córek wielkiego poety, która najpodobniejszą jest do ojca.

imieniny Adama, w wigilją Bożego Narodzenia. Zebrane grono składało się z wyboru znakomitości artystycznych i literackich. Gospodarz niewyczerpanym dowcipem ożywiał swoje towarzystwo, Orłowski rysował jenialne szkice, jakiś wirtuoz grał na fortepianie: w końcu przyszła kolej na Mickiewicza, podano mu temat do improwizacyi: *Samuel Zborowski.* Poeta zakreśla plan na rozmiar Szekspirowskiego dramatu, a wybierając sceny po scenach, najbardziéj przemawiające, improwizuje. Przecudowna była scena, gdy Zborowski pada przed Batorym na kolana i dziękuje mu za przebaczenie mordu popełnionego na Wapowskim: zapał tak daleko uniósł wieszcza, że siły fizyczne nie sprostały sile natchnienia — zemdlał [1]). Z tego dramatu zaledwie kilka wierszy z pamięci zapisano.

Nie wiele znamy improwizacyi Mickiewicza: najpierwsza były *Toasty:*

„Coby było wśród zakresu
Na który ludzie rzuceni,
Bez światła, ciepła, magnesu,
I elektrycznych promieni?“

z 1822 r. w Kownie: druga, którą wypowiedział do Aleksandra Chodźki, dziękując za wiersz do siebie pisany, w klasztorze Bazylianów w Wilnie jest z 1824 r. Trzecia, w parę lat ogłoszo-

[1]) L. Siemieński.

na najprzód w Dzienniku Warszawskim, miała napis: „*Basza*“ później sam Mickiewicz ją cokolwiek zmienił i dał tytuł ballady: *Renegat*. Najobszerniejszą ze wszystkich powiedział w Petersburgu, gdy literaci i zwolennicy jego ofiarowali mu piękny puhar srebrny, na którym wyryli swoje nazwiska. Treścią téj improwizacyi był pielgrzym, który w tułactwie swojém, przyjęty gościnnie, otrzymawszy dar tak drogocenny, idzie w obce kraje — i pod skwarném niebem umiera z pragnienia, głodu i tęsknoty. W fałdach jego płaszcza znaleziono ten puhar.

Doręczono mu ten puhar na wydanéj uczcie pożegnalnéj, kiedy już wybierał się w podróż za granicę [1]). Improwizował nie inaczéj jak przy towarzyszeniu muzyki w towarzystwie serdecznych przyjaciół. Najulubieńszą jego melodyą wprowadzającą go w poetyczne zachwycenie była nóta znanéj piosnki Karpińskiego *o Filonie* i *Laurze*, i menuet z *Don Juana*. Można je było wygrywać po całych godzinach i zawsze mu niedość było jeszcze. Melodje te podtrzymywały natchnienie jego w improwizacyi.

W Szwajcaryi na szczytach alpejskich w Splü-

[1]) Szczegół ten mam od Radcy Tajnego F. Malewskiego, szwagra Mickiewicza, który puhar pomieniony miał w ręku, a treść improwizacyi dobrze zapamiętał.

gen, ostatni raz zatęschnił za Marylę swojéj młodości:

Nigdy, więc nigdy z tobą rozstać się nie mogę!
Morzem płyniesz i lądem idziesz za mną w drogę,
Na lodowiskach widzę błyszczące twe ślady,
I głos twój słyszę w szumie Alpejskiéj kaskady.
I włosy mi się jeżą, kiedy się oglądam,
I postać twoję widzieć lękam się i żądam,
Szukam północnéj gwiazdy na zamgloném niebie
Szukam Litwy i domku twojego i ciebie.

W zaciszy téj świata, wśród uroczych piękności natury zamarzył o szczęściu, jakiegoby doznawał, gdyby dzieliła jego los tułaczy.

„Spoczynekby nas czekał pod góralską chatą,
Tam zwleczoną z mych barków okryłbym cię szatą.
A tybyś przy pasterskim usiadłszy płomieniu
Usnęła i zbudziła na mojém ramieniu."

A. E. Odyniec, mieszkał wówczas w Warszawie, gdy się dowiedział 10 kwietnia 1829 r. że Mickiewicz ma wyjechać za granicę.

„Pojechałem w maju z Warszawy do Petersburga, aby się z nim pożegnać: (pisze w liście do mnie autor Barbary.) Tam dopiéro stanął projekt, wspólnéj podróży. Mickiewicz wyjechał d. $^{13}/_{25}$ maja na statku parowym do Lubeki; ztamtąd przez Hamburg, Berlin, Drezno, do Karlsbadu, gdzie miał oczekiwać na mnie. W Berlinie, przyjmowali go serdecznie ówczesni akademicy polscy, śród których kilka razy improwizował, i najczulszą o nich pamięć zachował. W Karlsbadzie, spotkał także najserdeczniejsze przyjęcie ziomków. Jadąc przez Wilno, złączy-

łem się z nim 10 sierpnia 1829 roku, a 13 sierpnia z Marjenbad, Eger, Hof i t. d. wyjechaliśmy do Wejmaru, gdzie przybyliśmy dnia 17 wieczorem. Adam, miał listy od pani Szymanowskiéj [1]) do Göthego i jego synowéj pani Otilii Göthe. Trzeba o tém wiedzieć, że Göthe był wielkim adoratorem pani Szymanowskiéj, o któréj napisał śliczny wiersz w jéj sztambuchu, i o któréj nam mówił: „Elle est charmante! comme elle est belle, et gracieuse comme elle est charmante!!„ Jéj więc winniśmy byli nadzwyczaj uprzejme przyjęcię. Zaledwie bowiem nazajutrz o godzinie 10 rano Adam oddał w mieście wizytę i listy pani Otilii (sam Göthe mieszkał za miastem) zaprosiła nas tego dnia do siebie na wieczór, na którym Göthego nie było. Ale raniutko nazajutrz przyniesiono nam, dwa jego bilety wizytowe, i od pani Otilii zaproszenie na obiad. O południu zaś przysłała po nas swój powóz, który nas zawiózł do willi Göthego.

Służący staruszek czekał już na nas, przy furtce ogrodowéj i zaprowadził na górę do salonu, gdzieśmy przeszło kwandrans czekali. Po upływie tego czasu usłyszeliśmy stąpania Göthego. Adam zacytował wiersz Kiszki Zgierskiego (najgłupszego jak wiadomo ówczesnego wierszopisa) „*słychać chodzenie i górne stąpa-*

[1]) Sławnéj w owe czasy fortepianistki.

nie“ i podczas gdyśmy się śmieli z téj osobliwszéj w téj chwili cytaty, wszedł Göthe, i z dziwnie miłym, pełnym dobroci wzrokiem i uśmiechem, powitał nas i z kolei uścisnął za rękę. Pierwsza rozmowa o pani Szymanowskiéj, potém o literaturze polskiéj, którą jak sam powiadał, znał mało i żałował, że żadnego słowiańskiego języka nie umiał. „Mais l'homme a tant á faire dans cette vie“ dodał. O Adamie wiedział z dzienników, i znał niektóre wyjątki z Walenroda, tłumaczone na niemieckie przez pannę *Janisz*, przyjaciołkę Adama w Moskwie, a drukowane w *Leipzige Jahrbücher*, gdzie także czytał tłumaczenie mojéj *Branki Litwina*, świeżo wówczas ogłoszonéj w *Meliteli*, i chwalił żywość akcyi i stylu: „autant que j'en puis juger par latraduction!“ Rad był bardzo gdy mu Adam powiedział, że każda prowincya polska, ma swój oddzielny charakter, w pieśniach i sam to potém drugim przy obiedzie powtarzał. Pytał nas potém o projektach podróży dalszéj, i czule wspominał o Włoszech, zazdroszcząc nam że tam jedziemy, zkąd i on za młodu wywiózł najmilsze wspomnienia. Z kolei mówił znowu o pani Szymanowskiéj i wspominał o kilku innych znajomych sobie niegdyś Polakach, a między innemi o Janie Potockim i o księżnie Lubomirskiéj, którym wielkie pochwały oddawał. Żałował, że dla deszczu (który wła-

śnie padał) nie mógł nas oprowadzić po swoim ogródku (petit jardin) „Mais j'aurai le plaisir de jouir de votre societé a diner chez ma belle fille et nous aurons (dodał z uśmiechem obracając się do mnie) quelques jolies dames et demoiselles: j' espere que ça vous fera plaisir.“ Zaśmieliśmy się oba i on śmiejąc się także, podał nam znowu rękę i pożegnał. Gdyśmy już wyszli, uchylił jeszcze drzwi i powtórzył: Au revoir.“ Ten sam ton uprzejméj życzliwości, poważny z Adamem, współżartobliwy ze mną, zachował on przez cały ciąg pobytu naszego w Wejmarze. Pobyt ten podłużył się nadspodziewanie, bo na inwitację pani Otilii, zostaliśmy do dnia 28 sierpnia, ośmdziesiątéj rocznicy urodzin Göthego, który miał być nadzwyczaj świetnie obchodzonym. Przez ten czas byliśmy trzy razy na obiedzie, i pięć czy sześć razy na wieczerzy u pani Otilii wraz z Göthem.

Poznaliśmy rzeźbiarza francuzkiego Dawida z Angers, który zrobił medalion Adama, a przybył do Wejmaru, dla zrobienia biustu Göthego. Sam zaś Göthe przysłał jednego dnia młodego malarza z własnoręcznem listem do Adama prosząc, aby pozwolił zdjąć swój portret, gdyż chciałby „tak interessującego gościa mieć w swojéj kollekcyi, znakomitych, znajomych sobie ludzi.“

Na dzień urodzin Göthego, król bawarski

i wielu innych książąt, przysłali własnoręczne listy: wszystkie uniwersytety i teatra, deputacje z powinszowaniem. Obiad był liczny i świetny, przeplatany deklamaciami, pieśniami i muzyką. Göthe sam nie był, przyjmował tylko u siebie, i wieczorem u pani Otilii. Z cudzoziemców byliśmy tylko my, Dawid i pan Quetelet astronom z Bruxelli. Na każdem krześle była przywiązana kartka z napisem nazwiska gościa, który je miał zająć. Uprzedzony o tém przez gospodarzy, szukałem napróżno nazwisk naszych, pokazało się, że było tylko napisane „der Pole N. 1“ — der Pole N. 2.“ Okoliczność ta wywołała rozmowę o tém i wesołość ogólną [1]). Nazajutrz grano po raz pierwszy w teatrze Fausta, na którym też Göthe sam nie był, a tylko po teatrze u siebie przyjmował, i szczególniéj wypytywał Adama, o wrażenie ogółu i różnych scen pojedynczych. W wigilją naszego wyjazdu, gdyśmy się z nim na wieczorze u pani Otilii żegnali, widząc nas prawdziwie wzruszonych, gdyśmy go o błogosławieństwo prosili, uściskał obu i pocałował w czoło, czego, jak nam pani Otilja mówiła, dla nikogo z Niemcow nie uczynił. Następnie gdy go Adam poprosił, o kilka słów własnéj jego ręki i o pióro, wyszedłszy już z salonu, przysłał nam przez swe-

[1]) Haltey w swych pamiętnikach wspomina o tém.

go wnuka po karteczce z cztero wierszami i po piórze.

Wyjechaliśmy z Wejmaru 1 września (1829 roku) do Frankfurtu; ztamtąd popłynęliśmy statkiem parowym do Moguncyi, ztąd Renem do Kolonii i napowrót. W Bonn, poznaliśmy Wilhelma Schlegla. Z Moguncyi lądem już przez Darmstadt, Heildenberg, etc. do Strasburga, gdzieśmy się zjechali z Dawidem. Ze Strasburga przez Szaffuzę, Frejburg, Zürüh do Chur, a ztamtąd przez Splugen do Włoch, gdzie wjechaliśmy, a raczéj weszliśmy dnia 25 września. W przechodzie przez *Splugen*, gdzie Adam pierwszy wiersz w swojéj podrózy napisał, omal, nie uległ wielkiemu niebezpieczeństwu. Przechodząc nad brzegiem przepaści, w głębi których szumi młody Ren, bawiliśmy się sobie, z prawdziwie studenckim zapałem, spychaniem w dół, ze znajdowanych obok drogi kamieni, których szelest spadania, przez kilka minut słychać było, i które bardzo pięknie skakały. Adam chciał koniecznie widzieć skoki olbrzyma, i upatrzywszy ogromny kamień, na pół wzrosły do ziemi, postanowił go wyrwać z miejsca, i zrzucić do Renu. Zajęliśmy się więc wydobywaniem go za pomocą żelazem okutych kijów, który mają wszyscy podróżni, przy cytacyach z *ostatniéj pieśni Minstrela* Walter Skotta, kiedy Dehornine z mnichem odwalają kamień

grobowy. Na pamiątkę téj właśnie roboty, Adam zalecił mi wtedy wytłumaczyć kiedyś to poema. Gdy już był dobrze podkopany, Adam kazał mi go podważyć kijem, a sam uderzał go nogą. Jednym razem, nad spodziewanie nasze, kamień runął, a Adam który go właśnie nadeptywał, straciwszy równowagę zachwiał się, i upadł z nim. Szczęściem, że spadzistość była nie nazbyt stroma, i że upadając chwycił się rękami za drzewo, inaczéj śmierć, lub kalectwo, byłyby nieochybne. Zawsze jednak tak to nas przeraziło, że ja przynajmniéj, przeszło pół godziny nie byłem wstanie iść daléj, z powodu jakiejś dziwnéj mgłości w nogach, która mnie ogarnęła z przestrachu, gdym ujrzał go padającego w przepaść. Nakoniec, podziękowawszy Bogu, za to cudowne ocalenie, ruszyliśmy daléj, a w rok blisko potém, gdyśmy byli na *morzu lodów* koło *Montblanc* i trzeba nam było przechodzić, przez tak zwany *Pont* to jest wąziutką ścieżkę na skale, nad stromą i ogromną przepaścią; przypominając o tém zdarzeniu i gotując się do owego przejścia, ślubowaliśmy uroczyście, że kto z nas pierwszy powróci do Litwy, wystawi most na jakiéj złéj drodze. Co też wnet po powrocie spełniłem.

Wstęp nasz do Włoch był dość osobliwy. Z powodu wezbrania rzeki *Liro*, która zniszczyła drogę Posse, musieliśmy iść cztery godziny

piechotą do *Chiawenny* i to w największy deszcz po pochyłościach góry, ślizkich skałach, lub usuwających się pod nogami kamieniach, otoczeni mgłą nieprzejrzaną, przeskakując w bród przechodząc szumiące z góry strumienie, i powtarzając ustawicznie ów wiersz Krasickiego:

„A naprzód mości książe, trzeba o tém wiedzieć,
Że jeźli dobrze jeździć, lepiéj w domu siedzieć."

Z tego powodu deklamowaliśmy z kolei wszystkie wiersze, jakieśmy umieli na pamięć, lub rozmawiali o Litwie, co zawsze było najulubieńszym przedmiotem rozmów Adama.

Z Chiawenny przez Como, przyjechaliśmy do Medyolanu, dnia 27 września i bawiliśmy aż do 3 października, zwiedzając galerye, i inne osobliwości miasta i okolic. Opera i balet w teatrze della-scala, bardzo żywo zajmowały Adama. W ogólności muzyka robiła na nim więcéj wrażenia niż malarstwo. Z Medyolanu przez Weronę, Wiczenze, Padwę, stanęliśmy w Wenecyi, dnia 7 października i bawiliśmy do 20 t. m. Wenecya więcéj niż Medyolan, działała na Adama. Z Wenecyi przez Ferrarę, Bolonię, przybyliśmy do Florencyi 27 października i bawiliśmy do 14 listopada. Zastaliśmy tu *Ciampiego*, Ogińskiego, z którym przepędzaliśmy większą część wieczorów na rozmowach o przeszłości. Wyjechawszy z Florencyi dnia 14 listopada przez Siennę, dnia 18 o godzinie

3 i minut 10 po południu obaczyliśmy Rzym, to jest kopułę Ś. Piotra, a o 4téj byliśmy już na placu *del Popolo*. Dojeżdżając, a raczéj dochodząc już do Rzymu (bo wysiadłszy z weltury szliśmy piechotą) i rozmawiając o dawnym Rzymie postrzegliśmy wysterczające z za góry, coś jakby ostrze włóczni. Adam krzyknął: „Legja idzie.“ Tymczasem szło to stado osłów, (których uszy tak wysterczały) pędzone przez obdartych, ale malowniczo udrapowanych pastuchów. To byli pierwsi Rzymianie, którycheśmy postrzegli, i zaraz zacytowałem Adamowi wiersz jego:

„Wilcze Romula plemię, italskie pastuchy:“

Nazajutrz raniuteńko byliśmy już na Kapitolu, gdzie Adam po raz pierwszy widział statutę Marka Aureljusza, którą potém tak wiernie i tak cudnie opisał. O południu modliliśmy się u grobu Ś. Piotra.

W Rzymie bawiliśmy całą zimę, aż do początku maja.

Życie nasze możnaby rozdzielić na trzy kategorye: wojażerskie, towarzyskie i umysłowe wewnętrzne. *Co do pierwszego:* oglądaliśmy po kolei to wszystko, co było do widzenia w mieście i okolicach, ale było jedno miejsce gdzieśmy przynajmniéj raz w tydzień chodzili dla rekracyi serca. Była to za świątynią Minerwy, niewielka przestrzeń pustego pola, przerznięta

drużyną, zupełnie taką samą, jakie widzimy wszędzie, po wsiach na Litwie, utworzone przez wozy jednokonne, to jest ścieżkę wydeptaną przez konia w pośrodku, i dwoma pasami zieloności między nią a kolejami. Tam była najulubieńsza przechadzka Adama; tam położywszy się na trawie, bywał on zwykle najweselszy, najrozmowniejszy. W obec arcydzieł sztuki, albo wielkich pomników przeszłości, był on zawsze milczący, zebrany w sobie, poważny, jak nigdy: a nigdy z ust jego nie słyszałem, żadnego pedantskiego słowa, żadnego sarkazmu, tak też nigdy żaden drobiazgowy krytycyzm, z którym tak zwykli, popisywać się inni, nie mącił w nim onych wrażeń, które albo czuł sam w sobie, albo udzielał innym, zwracając przedewszystkiem uwagę na to, co było piękne, co wzniosłe i wielkie.

Co do życia umysłowego: Adam czytał Liwiusza w oryginale, i często całe mowy deklamował mi po polsku, tłumacząc à livre ouvert: *Niebugra*, którego zaczął był czytać, znieść nie mógł i zarzucił. Nie napisał ani jednego wiersza w Rzymie; dopiéro w Neapolu wytłumaczył wierszyk Göthego: „Znasz li ten kraj?“

Życie towarzyskie. Dwa mieliśmy domy, w których byliśmy jak u siebie. Dom państwa Ankwiczów z Galicyi, gdzie się koncentrowało całe towarzystwo polskie, składające się przeszło

z czterdziestu osób, i dom księżnéj Zenejdy Wołkońskiéj, gdzie się zbierało nie mniéj liczne towarzystwo rossyjskie, które, tak tu jak i wszędzie otaczało Adama osobliwszym szacunkiem i życzliwością. Raz naprzykład gdy zachorował na chrypkę, domy rossyjskie nadesłały nam tyle konfitur, że wystarczyły nam na parę miesięcy. Prócz tego assystowaliśmy wszystkim balom i wieczorom u posłów, na które nam bilety przysyłał zawsze poseł rossyjski książę Gagaryn, i byliśmy na zgromadzeniach wtorkowych u królowéj Hortensyi, która była nader uprzejma dla nas. Dom wszakże pp. Ankwiczów był dla nas najmilszym, i byliśmy w nim prawie codziennemi gośćmi. Córka domu panna Henryeta, i kuzynka jéj panna Maryanna Łępicka, należały niezaprzeczenie do najznakomitszych osób, i Bóg wie tylko, o ile towarzystu ich i modlitwom, winniśmy byli zwłaszcza pod względem religijnym. Panna Henryeta jest dziś hrabiną Kuczkowską w Krakowie, kuzynka zaś jéj umarła we Lwowie, dozorując chorych w szpitalu, jako siostra miłosierdzia, ze wszelkiemi cechami świętości. Do niéj to napisał Adam wiersz po przyjęciu kommunii świętéj, im to ja poświęciłem

„Pożegnanie Rzymu".

Najbliższym nierozdzielnym towarzyszem i przyjacielem naszym, był Stefan Garczyński

w krótce po nas przybyły, którego Adam poznał w Berlinie, i który jedynie dla jego towarzystwa do Rzymu przyjechał. Daléj Adolf Januszkiewicz, kolega mój uniwersytecki, licem i duszą równie piękny jak pierwszy. Szlachetniejszych jak oni, pewno nie było na świecie. Ci byli najbliżsi. Z dalszych był ksiądz Parczewski, który umarł na rękach naszych: Karczewski malarz, Strzelecki dzisiejszy bibliotekarz w Willanowie i Stattler ojciec rzeźbiarza, którego my z Adamem prowadziliśmy do ślubu w 1830 r. Ze znakomitości obcych poznaliśmy *Coopera* romansopisarza, Cammuciniego, Thorwaldsena, i wielu innych artystów. Nikogo jednak nie było takiego, o którymby można było powiedzieć, że miał wpływ na Adama. Rzym jednak i *Łaska* działały, przygotowując w nim zmianę, która zaszła w nim drugiéj zimy, kiedy już był bezemnie (1830—1831 r.) i gdy się w nim jak niegdyś Konrad z Gustawa, tak z Konrada szczery, wierzący, gorliwy chrześcijanin narodził. Była to najważniejsza epoka jego życia. Nie wiem z pewnością o ile przyczynił się wpływ ludzki; ale były przytem rzeczy graniczące z cudem, które świadczyły widocznie że to był wybraniec opatrzności; a ci co go potém obwinili o mistycyzm, ani się mogli domyśleć, ile on sam cudownych, tajemniczych wpływów doznawał.

Dnia 5 maja 1830 roku, wyjechaliśmy z Rzymu do Neapolu, i bawiliśmy tam aż do 19 czerwca. Adam między 15—25 maja zwiedził Sycylję, to jest Messynę, Palermo i kilka innych miast pobrzeżnych. Cały czas w Neapolu poświęcaliśmy używaniu i upajaniu się pięknościami natury. Mieszkaliśmy nad samém morzem, i często calutkie noce przepędzaliśmy, siedząc w oknie i patrząc na niebo i morze. Wszystkie cztery elementa są najpiękniéj reprezentowane w Neapolu. Ogień prezentuje Wezuwiusz któryśmy zwiedzili dnia 30 maja, byliśmy aż na dnie pierwszego krateru, gdzieśmy w rozpadlinach jego zapalili cygara, które właśnie mam ofiarować do Muzeum Wileńskiego na pamiątkę Adama. Gdybym pisał moje wspomnienia, długobym opisywał tę chwilę, bo ją nadewszystko pamiętam, gdy stojąc na szczycie góry, przy zachodzie najpiękniejszego słońca, w obec najpiękniejszego nieba i morza, Adam okrywał mię od wiatru swym płaszczem czerwono-bronzowego koloru, który od słońca połyskiwał ogniście. Płaszcz ten krojem hiszpańskim sprawiony przezeń w Odessie, okrywał go na górach krymskich gdy:

„Lubił poglądać wsparty, na Iudahu skale."

W nim to malował portret jego Wańkowicz, tylko, że płaszcz na burkę zamienił. Pod tym on płaszczem stał kiedyś razem z Puszkinem,

przed pomnikiem Piotra wielkiego, podczas ulewnego deszczu o północy. W tym płaszczu ujrzałem go raz pierwszy po wyjeździe z Wilna, w Petersburgu, gdy mnie uśpionego na jego łóżku, w jego mieszkaniu, do którego wprost zajechałem, za powrotem z miasta w nocy, pocałowaniami rozbudził. Na pamiątkę tego wszystkiego darował mi on ten płaszcz, przy rozstaniu się w Genewie, i ja napisałem o nim wiersz, który chyba dopiéro po mojéj śmierci drukowanym będzie w całości. Płaszcz ten chce także ofiarować do Wileńskiego Muzeum.

Dnia 20 czerwca wróciliśmy z Neapolu do Rzymu i po uroczystości illuminacyi Ś. Piotra dnia 1 lipca wyjechaliśmy do Szwajcaryi przez Florencyę, Pizę, Genuę i Medyolan. W tym ostatnim mieście poznaliśmy się z Manzonim, Grossim, Tortim, trzema najznakomitszemi wówczas poetami i ze wszystkiemi malarzami, a to wszystkie dzięki uprzejmości niejakiego pana *Sogni*, do którego brat jego w Rzymie, malarz, przyjaciel Statlera, dał nam listek rekomendacyjny, na świstku oddartego kawałka papieru.

Po Polakach i Rossyjanach, Włosi są najgościnniejszym ludem w Europie. Z Medyolanu odesławszy rzeczy do Genewy, sami ruszyliśmy piechotą przez Lago-Magiora przepłynąwszy, a potém przez Sinplons, Chamouny, gdzieśmy

zwiedzali owe morzę lodów, i nakoniec dnia 1 sierpnia stanęliśmy w Genewie, gdzieśmy zaraz na pierwszym wstępie dowiedzieli się o rewolucyi lipcowéj w Paryżu, którą Adam przepowiedział Dawidowi, czemu on wierzyć niechciał, a potém sam przedemną, duch proroczy Adamowi przyznawał. W Genewie zastaliśmy Zygmunta Krasińskiego, którego namówiłem do wspólnéj z nami podróży pieszéj do Oberstandu, którą też odbyliśmy od dnia 14 sierpnia do 4 września; zwiedziwszy po kolei wszystkie sławne w Szwajcaryi miejsca i widoki, a między innemi przebywszy trzy dni na Rigi w chmurach, nimeśmy się doczekali nakoniec, pogodnego wschodu słońca, którego wrażenie, spodziewam się, że we wszystkich nas pozostało na zawsze. W krótce przybyli do Genewy pp. Ankwiczowie z Paryża, w towarzystwie których przepędziliśmy tam resztę czasu, aż do 10 października. W dniu tym rozstałem się z Adamem, który znowu pojechał do Rzymu na zimę, a ja do Paryża. Adam całą zimę przepędził w Rzymie, w bliskich stosunkach z X. Chołoniewskim, Henrykiem Rzewuskim [1])

[1]) Mickiewicz, głównie wpłynął na Henryka Rzewuskiego, że zaczął spisywać swoje wspomnienia, które płynnie opowiadał. Ztąd mamy *Pamiątki pana Seweryna Soplicy, Cześnika Parnawskiego* (r. 1839) utwor jeden z najlepszych, jaki z pod pióra tego pisarza wyszedł, który mu dał chlubny i zaszczytny rozgłos w literaturze naszéj.

i X. Lammenais. Garczyński był z nim także, i dopiéro w styczniu przyjechał do Drezna. W roku 1831, Adam przez Drezno, przejechawszy przybył do księstwa Poznańskiego, gdzie aż do lutego 1832 roku bawił. Na początku tego miesiąca przyjechał do Drezna, gdzieśmy znowu w cztery miesiące przybyli razem z Garczyńskim, Potocką, Domejką, i wtedy to, rozpoczęła się prawdziwie nowa poetycka epoka Adama, a było to dla nas wszystkich najwznioślejsza duchowie epoka życia. W czerwcu wyjechałem na ślub mój do Królewca, a Adam w parę dni potém do Paryża. Ostatnia chwila widzenia była, gdy mnie z Garczyńskim i Domejką, przeprowadziwszy, o milę za miasto, błogosławieństwem jak do ślubu pożegnał: odtąd już się z nim nie widziałem!!—"

W Rzymie jakieśmy wspomnieli poznał Stefana Garczyńskiego, rodem z poznańskiego. Młodzieniec ten przesiąkły filozofią Hegla, utopił wniéj resztki wiary ojców wyniesionéj z domu. Mickiewicz rozgrzał w nim wiarę, rozbudził zdolność wrodzoną, dotąd źle skierowaną. Garczyński stał się poetą znamienitym. Wielki wieszcz ukochał odrodzonego w duchu; towarzyszył mu z Genewy do Avinnionu, już dotkniętego nieuleczoną chorobą suchot i tu we wrześniu 1833 r. przyjął ostatnie tchnienie mło-

dzieńca. Zgasł Garczyński w 27-m roku życia. [1]).

Mickiewicz zgryziony jego śmiercią pochowawszy zwłoki w Awinionie, opłakiwał stratę najdotkliwszą dla serca swego. Oburzony na wiele niedorzeczności jakie się w koło niego działy, uczuł niesmak do Europy i na prawdę przemyśliwał już o dalekiéj podróży do południowéj Ameryki. Przyjaciele zapobiegając temu, ściągnęli go do Paryża, a chcąc przykuć do miejsca, podsunęli różne projekta ożenienia. Traf zdarzył że jeden z jego dawnych znajomych przyjechał z Petersburga do Paryża.

„Mickiewicz zaczął go wypytywać o różne osoby, między innemi o rodzinę sławnéj fortepianistki Szymanowskiéj. Od niego się tedy dowiedział, że Celinka, którą małą dziewczynką zostawił w Petersburgu, wyrosła na prześliczną pannę.

— Gotówbym się z nią ożenić, gdyby tu była, rzekł poeta obojętnie, puszczając kłąb dymu.

[1]) Antoni Górecki, towarzyszył Mickiewiczowi w drodze do Paryża, wtedy pisał między Nawy i Châlons wiersz do Adama.

„Ach! czy uważasz Adamie kochany,
Spójrz na te żytem okryte równiny,
Na ten za laskiem domek pochowany,
Jak to do naszéj podobne krainy,
Nie nasz kraj jednak, jak tu żną spokojnie
Nikt ani myśli o wojnie."

„Słowo to widać w dobréj powiedziane chwili, odniosło skutek nadspodziewany. Ów przyjaciel powrócił do kraju—całą rzecz ukartował, i panna Celina niebawem znalazła się w Paryżu. Mickiewicz słowa nie cofnąc, poślubił ją w r. 1834. Powiadają śmierć i żona od Boga przeznaczona — Mickiewicz mogąc tyle świetnych zrobić partyi, ożenił się z osobą, któréj, kiedy jeszcze była dziewczątkiem napisał był w Petersburgu w r. 1829 do album żartobliwy wierszyk:

„Zaczyna się werbunek, widzę zdala, gòni
Ogromna ciżba pieszych ułanów, huzarów,
Niosąc imiona nakształt rozwitych sztandarów,
Chcą w albumie założyć obóz różnéj broni.
Stanie się — będę wtenczas siwym bohaterem
I z żalem rozmyślając o mych lat poranku,
Opowiem towarzyszom, że na prawym flanku,
Jam w téj armii pierwszym był grenadyerem.“

I stało się tak, pierwszy grenadjer utrzymał się przy prawie: lecz to dziwno że i w tym drobnym wierszyku, przebija się dowód jego jasnowidztwa“ [1]).

Zostawszy mężem i ojcem rodziny, lutnia jego zamilkła na zawsze. W tymże roku jak się ożenił wydał *Pana Tadeusza*, dawniéj napisanego, którego teraz ostatecznie tylko przejrzał w druku: w roku następnym, tłumaczenie *Giaura*, wespół z Korsarzem przekładu A. E.

[1]) L. Siemiński.

Odyńca. Cztery lata następne spędził w domowéj zaciszy.

W r. 1839 akademia w Lauzannie ofiarowała mu katedrę literatury starożytnéj. Przyjął ją z wdzięcznością. Nominacya jego wydana przez Radę Stanu Kantonu Waldeńskiego ma dopiéro datę 17 marca 1840 r. Jak odpowiedział zaufaniu Szwajcarów — objaśniają te słowa *Kuryera szwajcarskiego.*

„Długo nie wyjdzie nam z pamięci, ta nauka tak poważna, a oraz tak zajmująca, ożywiona tak szlachetną prostotą: ta krytyka natchnienia, jasnowidząca niejako, w któréj synteza poprzedza analizę, i panowała nad nią nagłém i najdelikatniejszém uczuciem piękności i sztuki, i ten kurs literatury łacińskiéj, w którym spotykały się wszystkie literatury na głos professora, któremu wszystkie były znane i tych postrzeżeń obfitych i tych nowych uwag, tryskających nagle z każdéj części przedmiotu: tych lekcyi dobrego smaku, które były często lekcyami moralności, tego jędrnego i przejrzystego wysłowienia; tego wytrawnego stylu noszącego piętno starożytne: nakoniec tego zdrowego rozsądku tak wzniosłego, że mógł uchodzić za najszczytniejszą wyobraźnię: i téj imaginacyi tak czystéj że się równała z najszczytniejszym rozumem.“

Rok niespełna zostawał Mickiewicz w cichéj

Lauzannie, gdy francuzki minister oświecenia *Cousin* utworzywszy katedrę literatury sławiańskiéj w *Collége de France* wezwał go do zajęcia jéj w r. 1840 [1]).

Tegoż roku dnia 22 grudnia rozpoczął pierwszą swoją prelekcyę.

Na téj katedrze: „przez pierwsze dwa lata (pisze L. Siemieński) rozwijał z nieporównanym talentem wszystko to, co bystry wzrok jego ogarniał na polu utworów literatury Słowian: wnikał w ich ducha, porównywał między sobą i odnosił do starszéj cywilizacyi na zachodzie. Były to rzeczy całkiem z nowéj ukazane strony, drgające świeżem życiem. Professor nieprzestając być poetą, umiał wszystko ożywić, a tém samém wzbudzić interes Francyi, przekonanéj że po za jéj granicami, świat niedaleko się kończy. Najbardziéj zaś to uderzało w jego poglądach, że natrafiał na takie miejsca w kronikach lub pieśniach, co podniesione przez niego, wylatywały w górę jak race i rozświecały cały horyzont zamierzłych wieków—w bliższych zaś, zawsze palcem namacał najsilniéj bijące tętno. Zgoła wcielał zamarłe słowo.“

[1]) List ministra tego zachowany w papierach Mickiewicza, donoszący mu iż nominacya jego na professora literatury słowiańskiéj w kollegium francuzkim przedstawiona królowi do zatwierdzenia jest z daty 10 sierpnia 1840 r.

Równocześnie z wezwaniem na pomienioną katedrę, odebrał Mickiewicz pod d. 8 września 1840 polecenie ministra oświecenia, ażeby się zajął spisaniem rękopismów znajdujących się w bibliotece królewskiéj. Czy wykonał tę pracę i jak dalece ją posunął niewiemy. W roku następnym otrzymał dyplom na członka towarzystwa etnologicznego paryzkiego, 11 listopada 1841 r.

Po dwóch latach wykład się zmienił, z podziwieniem wszystkich.

Powód tego wyjaśnić musiemy.

W r. 1841 kiedy Ludwik-Filip sprowadził zwłoki Napoleona z wyspy S-téj Heleny; gdy na ten ceremoniał garnęli się ludzie do Paryża z różnych stron świata: w lecie przybył wraz z żoną i małym synem, Andrzéj Towiański obywatel z Litwy, właściciel małego ziemskiego majątku, niegdyś uczeń wileński, późniéj przy jednym z sądów powiatowych regent, liczący około lat pięćdziesięciu. Ci co go znali z ławek szkolnych, jednozgodnie poświadczają że nieodznaczał się bynajmniéj wyższemi zdolnościami, poprzednio bawił czas niejaki w Poznaniu, gdzie się zbliżyć usiłował do arcybiskupa Dunina, następnie w Bruxelli, gdzie napisał sławną swoją *Biesiadę*.

Cokolwiek znany Mickiewiczowi w Wilnie, przybył do niego, i zastawszy samego w domu,

oświadczył mu, że on, Andrzéj Towiański, jest posłannik Boży, i do niego, Mickiewicza, jak i innych braci, ma missyę z nieba.

Mickiewicz właśnie dotknięty był jak największém nieszczęściem domowém: przywiedziony niemal do rozpaczy z przyczyny choroby żony, którą musiał oddać do domu obłąkanych. Towiański przyrzeka mu przedewszystkiém uzdrowienie żony. Mickiewicz uwierzył: jadą razem do szpitala — uzdrowiona cudownym sposobem, nieledwo potęgą słowa: wraca do domu, na łono rodziny.

Wszyscy, którzy pisali czy życiorysy Mickiewicza, czy o wpływie na niego Towiańskiego, przyznają temu wyłącznie zdarzeniu, ślepą wiarę, jakie powziął, dla zjawionego proroka. Tymczasem, obecnie inne powody wpłynęły potężniéj na naszego wieszcza, oprócz wyzdrowienia niespodziewanego małżonki. Sam Mickiewicz przyznał się Franciszkowi Szemiott, że w Towiańskiego musiał uwierzyć, albowiem przy pierwszém widzeniu opowiadał mu takie tajemnice jego życia, o których, jako sam wyrażał: „jeden tylko Bóg i ja wiedziałem.“

To prorocze wpatrywanie się w przeszłość dawną Mickiewicza, i czytanie w niéj najtajemniejszych myśli jego i życzeń, wkrótce się wyjaśniło. Uwiadomiony o tym najsilniejszym powodzie zaślepienia wieszcza dla Towiańskie-

go A. E. Odyniec przez R. T. Malewskiego, przypomniał sobie, że gdy razem za granicą byli z Mickiewiczem w Niemczech i we Włoszech, ten spowiadał się z życia swojego autorowi Barbary. Odyniec przybywszy do Wilna, przy zdarzoném widzeniu się z Towiańskim, opowiedział mu wiele z tych szczegółów. Mickiewicz, zapomniał po kilku latach, że je opowiadał Odyńcowi: w ustach obcego człowieka, jakim był dla niego Towiański, zdziwiły go, a po uzdrowieniu żony, schołdowały zupełnie [1]).

Nie będziem kreślili znanych a smutnych szczegółów dalszego rozrostu *Towiańszczyzny:* którą do pewnego tylko znaczenia podniósł sam Mickiewicz. Znalazła ona garstkę zwolenników, albo ludzi słabego umysłu — albo wielkiego uczucia, — którzy chwilowo ulegli obłędowi. Pomiędzy pierwszymi uczniami nowego mistrza, byli, oprócz wielkiego poety, Antoni Górecki i Sobański. Towiański chciał ogłosić pismo, przez ktoreby się dał lepiéj poznać wszystkim, i wytłomaczył jasno o co chodzi. Jakoż ułożył rękopism i pokazał trzem uczniom swoim, oświadczając, że tak kazał mu Pan Bóg napisać: ale gdy wkrótce potém przyniósł im drugą, całkiem inną redakcyę, mówiąc znów, że tak kazał napisać mu Pan Bóg: Górecki poeta i stary żołnierz zaraz się spostrzegł, oświad-

[1]) Ten szczegół wiarogodny mam z ust R.T. Malewskiego.

czył, że Pan Bóg nie potrzebuje się poprawiać, gdyż od razu potrafi bez myłki i tak jak trzeba podyktować: natychmiast Towiańskiego odstąpił— i głośno rozpowiadał, że to wszystko albo komedya, albo waryacya. Za jego przykładem wkrótce i Sobański odstał od mistrza. Z trzech tedy pozostał sam Mickiewicz.

Katedra literatury sławiańskiéj, przeszła odtąd na posługę obłędu, do messyanicznych wykładów. Dnia 28 maja 1844 r. Mickiewicz dał się słyszéć z niéj po raz ostatni. Postanowieniem ministra odjęto mu tę katedrę, a w jéj miejsce otrzymał posadę kustosza przy bibliotece arsenalskiéj. Prelekcye te mówił z pamięci, stenografowano je, a następnie Feliks Wrotnowski tłomaczył na polski język. Posłuchajmy co pisze o nich sam Mickiewicz, w przemowie po polsku w wydaném przekładzie niemieckim Gustawa Siegfried.

„Szczególny sposób, jakim powstało niniejsze dzieło, którego nie jestem pisarzem, lubo jestem autorem, wkłada na mię obowiązek wytłomaczenia się przed publicznością. Kiedy rząd francuzki wezwał mię na katedrę literatur i języków słowiańskich, opuściłem Lozanę, gdzie mnie zatrzymywało wszystko, co może wygnańca do obcéj ziemi przywiązać, i udałem się do Paryża, uznając obowiązek mój professorski w téj stolicy za służbę w sprawie Polski, Fran-

cyi i słowiańszczyzny. Środków i pomocy do mego kursu musiałem szukać tylko w samym sobie. Com uczuł i uważył w czasie pobytu mego w krajach Sławiańskich, com spamiętał z dawnych prac moich nad dziejami i literaturami tych ludów, a szczególniéj to, co teraz z ducha poruszającego te narody, do mego ducha przeszło, tém dzieliłem się ze słuchaczami.

Szkoła *Collége de France*, ma na celu raczéj wykład ogółu nauk niż zgłębianie ich szczegółów, słuchacze jéj nie są, właściwie mówiąc, uczniami, publiczność moja w znacznéj części składała się ze Sławian. Wszystko to wpływało na zewnętrzny kształt wykładu. Mówiłem zawsze z pamięci, a bardzo często bez żadnych notat. Słuchacze z swoich doręcznych spisów, a potém ze stenografii redagowali lekcye i drukowali je w tłomaczeniu polskiém. Przyjaciel mój Siegfried tekst polski na język niemiecki przełożył.“

W końcu téj przemowy, którą podpisał w Paryżu, dnia 5 kwietnia 1843 r. z upodobaniem, zwraca uwagę czytelników, *szczególniéj* na ideę *Messyanizmu*, którą w ostatnich swoich lekcyach rozwinął. Rok 1846 otrzeźwił nieco umysł Mickiewicza: rok 1848, który tak silnie wstrząsł całą Europą, zerwał ostatnie nitki słabéj tkaniny, jaka jeszcze go wiązała z uwielbianym niegdyś mistrzem. Towiański wygnany z Francyi

osiadł w Szwajcaryi. Choć stanowcze nastąpiło zerwanie, Mickiewicz nie miał odwagi ogłosić tego publicznie, i zaprzeczyć wykładowi swemu z katedry. To milczenie wielkiego poety, tłómaczono niekorzystnie na jego stronę.

„Na nieszczęście (mówi L. Siemieński) rzucono się na wieszcza, i wleczono go jak obdarte ciało Hektora za wozem — z tą odmianą, że nie stał w nim żaden Achilles, lecz powoziły proste tylko Automedony.“

W 1852 r. otrzymał nominacyą na bibliotekarza arsenału. Utrzymując się ze szczupłych funduszów, przy licznéj rodzinie, niedostatek wielu potrzeb dawał się uczuwać ciągle. Na początku 1855 r. nowy cios go uderzył: zmarła mu żona, zostawiając sześcioro sierot. Drobniejsze znalazły opiekę i macierzyńskie serce kilku zacnych polek [1]). Przybyła także z pomocą dla sierot siostra przyrodnia zmarłéj, znana artystka, młoda Zofia Szymanowska.

W tymże roku, Mickiewicz wyjechał do Konstantynopola, gdzie przybył w miesiącu październiku, w towarzystwie pomiędzy innemi Armanda Levy i Henryka Służalskiego, którego szczególniéj lubił za jego dykteryjki, zmyślenia, co go bawiły lepiéj niż uczone rozprawy

[1]) Najmłodszy syn Mickiewicza Józef odbiera wychowanie i jest na opiece u państwa Falkenhagen Zaleskich. Sama, jest to córka znanego w naszéj literaturze Józefa Korzeniowskiego.

innych. Wybrał się on z namiotem i wszelkiemi przyborami obozowego życia. Podróż do Turcyi zajmowała Mickiewicza wielce w Paryżu—marzył ciągle o niéj. W Stambule był przedmiotem szczególnych względów i starań. Ambasady ustępowały mu mieszkanie w swych pałacach, lecz nie przyjął żadnych ofiar, i z hotelu gdzie się zatrzymał, przeniósł się nawet do prywatnego domu na *Jeni-Szeri*. „Zwiedziłem ten dom smutny (pisze w swoich listach Zenon Fisz) samotny, opuszczony, przy ulicy *Kalendzi-Kuluk* i widziałem tę dużą izbę o jedném kwadratowem oknie w któréj był zamieszkał. Przedsień prowadziła do niéj, a umeblowanie składało się ze stołu, kilku krzeseł prostych i łóżka, co jeszcze prostsze, pokryte siennikiem i dywanem tureckim, stało w kącie. Pokój trącił pustkowiem, był ciemny i nawet wilgotny, przypomniał mi nasze karczemne izby, jakie czasem w jesiennéj podróży zostajemy po szlakach ukraińskich.

„Wkrótce potém wyjechał do Burgas, i tam pod namiotem przepędził parę tygodni. Podobał sobie nad wyraz w obozowém życiu, jeździł konno na polowanie, jadł proste żołnierskie potrawy, lecz zmiana taka życia paryzkiego, pokojowego na polowe była za gwałtowną i nieostrożną. Nie umiano go przestrzedz a nawet nastręczano mu rozmaite obozowe rozrywki,

widząc że w tém podoba sobie. Zdało mu się, że on młody i czerstwy, jakim był na skale Ajudahu, i że to swobodne powietrze, ten pokarm przyrządzony przy obozowem ognisku, przywrócą mu siły, które sterał nad książkami i na paryzkim bruku. W Burgas zachorował, był nie zdrów dni kilka, lecz potém znowu poczuł się zdrowszym i w tym stanie powrócił do Konstantynopola. Osoby co go tu odwiedzały często, mówiły mi (pisze ciągle Zenon Fisz) że nie zachowywał ani dyety, ani się okrywał starannie, i jakby na przekor, chciał przywykać do twardego życia. Stan przecież jego zdrowia nie był zatrważającém aż do 26 listopada. Kuczyński Hipolit tak mi opowiedział resztę: „W poniedziałek z rana, około 10téj, przyszedłem do Mickiewicza. Opowiadał on właśnie o nowinach odebranych z Burgas. Levy powiedział mi o nim, że zeszłéj nocy był cierpiącym, lecz ja go zastałem dość spokojnym, potém zaczął rozmowę o swych dzieciach i zakończył uwagą, że w najmłodszym Józiu postrzega umysł uderzający nad wiek jego dziecinny.— „Kuczyński, rzekł wreszcie, wiesz żem się zaczął uczyć po turecku. Lękam się tylko żeby się ze mną nie stało podobnie jak jednym z królów naszych, który już nie źle sylabizował, gdy go śmierć zaskoczyła.“ O wpół do dwunastéj uczuł mgłości i lekką dyaryę i położył się

do łóżka, lecz symptomata cierpień były tak słabe, iż ani jego ani nas nie zatrwożyły.“ Mickiewicz około godziny trzeciéj poczuł się lepiéj, i zapragnął spoczynku. Wyszedł Levy i Kuczyński a pozostał Służalski. Zaledwie upłynęła godzina, gdy ponowiły się boleści gwałtowniéj, i Służalski wezwał lekarza Gębińskiego. Dał on Mickiewiczowi natychmiast *laudanum*, i kazał ogrzewać ciało, ale na zapytanie Służalskiego odpowiedział, że chory jest w stanie bardzo niebezpiecznym, Mickiewicz wyczytał to niebezpieczeństwo z zafrasowanéj twarzy Służalskiego i zapytał go: „Powiedz mi prawdę Służalski, co lekarze mówią o mnie?“ a byli już oprócz Gębińskiego dwaj inni, Szostakowski i Bednawski. Służalski ze łzami w oczach odpowiedział: „Mówią że możesz umrzeć.“ Wtedy on rzekł: „Każ mi zawołać księdza Ławrynowicza.“ Potém kazał sobie podać pióro i chciał pisać, lecz gdy mu Służalski przyniósł papier, rzekł: „Nie mam siły,“ i upadł na łoże. Była już piąta gdy powrócił Levy i wkrótce po nim przyszedł lekarz Drozdowski. Powiadano mi potém, iż oprócz Gębińskiego, który był lekarzem z professyi, trzéj inni na sposób turecki nie uczyli się medycyny ale praktykowali: posłano więc po księdza, a tymczasem doktorowie rozścierali mu ciało, i przepisali powtórnie *Laudanum* którego przyjąć nie chciał.

Po chwili boleści znowu uspokoiły się. Myślano że Mickiewicz zaśnie, i wszyscy powychodzili z izby, na żądanie chorego pozostał Levy i Służalski. „Nie wiedzą co mi jest, rzekł Mickiewicz do nich. Chcą mnie ogrzać, a ja cały w ogniu.“ To rzekłszy, pochylił głowę i zasnął, lecz na chwilę – wtém ksiądz przybył. Wszedł po nim Drozdowski, i powtórzył nacierania, gdyż zdjęły go kolki. „Oni mi skórę zedrą, jak biednemu pułkownikowi Idzikowskiemu, a ona mi już znowu nieodrośnie.“ Zawołał Mickiewicz w boleściach. Dano mu *Laudanum* ale boleści się powiększały, i po chwili chory leżał niewydając najmniejszéj skargi. Gdy się zbliżył Służalski rzekł mu: „powiedz moim dzieciom, niech się kochają między sobą.“ Gdy go zapytano, gdzieby życzył być pochowanym, oświadczył że na cmentarzu w Montemorency obok swéj żony. Postrzegłszy wchodzącego Kuczyńskiego o szóstéj, poznał go, potém leżał spokojnie, a ksiądz Ławrynowicz namaścił go olejem świętym. O dziewiątéj godzinie konać zaczął...

„Łzy rzewne polały się nam z oczu, mówił mi Kuczyński, gdyśmy spojrzeli po sobie, a potém na trupa. Uczucie sieroctwa i pewnéj próżni życia owiało nas... Podaliśmy sobie wzajem dłonie i łkając przyrzekliśmy spełnić godnie i z niezachwianem męztwem pielgrzymkę

naszą. Patrzeliśmy na tę głowę szlachetną, po któréj w nieładzie białe i długie rozrzucały się włosy, i na te usta wpół otwarte lecz sine, jakby gotowe do odezwania się, i milczeliśmy grobowem milczeniem.“ [1])

Był to dzień 28 listopada 1855 r.

„Okoliczności poprzedzające zgon Mickiewicza, pisze jeden z rodaków naszych [2]) były tego rodzaju, że śmiało powiedzieć można, iż nie przyczyniły się, ale sprowadziły śmierć jego. Zbiegły się one tak, że i moralnie i fizycznie wpłynęły, jak trucizna na silny organizm jego. Moralnemi powodami śmierci, był zupełny zawód na rzeczach i ludziach; to co zdaleka, z Paryża wydawało mu się świetnem, pełnem nadziei, przedstawiło się na gruncie tureckim, jako antrepryza spekulacyjna, drobna co do rozmiarów, nacechowana konkurencyą, pod względem wykonywania jéj. Zabolało go, że on to podnosił zdaleka, że okrywał powagą swojéj osobistości, że nakoniec omylił się. Nie rad był mówić o tém, a kiedy jeden ze znajomych, zapytał go wręcz, odpowiedział ogólnikiem: „tam jest grzech, wielki grzech“ Usunął się przeto od wszystkiego, a powróciwszy do Konstantynopola z wycieczki do *Burgas*, stanął na

[1]) Listy z podróży Tadeusza Padalicy 1858 r.
[2]) Dziennik Literacki (Lwowski) N. 129 z d. 4 listop. 1858

uboczy, że nawet nie chciał mieszkać z tymi, z którymi przyjechał z Paryża. Prosił, żeby mu znaleziono osobne, skromne pomieszkanie. Najęto więc dla niego pokój w jednym domu na *Jeni-Szeri*, i przesadzono warunek skromności, nie we względzie pokoju, bo ten był znośnym, ale pod względem wyboru domu, położonego w jednéj z najbrudniejszych i najniezdrowszych części miasta, w dole, gdzie zbiegają się wszystkie rynsztoki, gdzie gnoje leżą na ulicach i obok ulic, napełniając powietrze zgniłemi wyziewami. Tuż przy pomieszkaniu Mickiewicza, leżała ogromna, niby mogiła jaka, kupa śmieci i gnojów. Jemu się to podobało; powiadał, że mu to przypomina miasteczka polskie, że on to woli jak wymuskane i wymiecione ulice miast zachodnich. Do tak przesadzonéj skromności pomieszkania, dołączył on jeszcze skromność życia, zastosowując się do sposobu, w jaki się żyje na Wschodzie. Na jego fizyczność musiały zgubnie wpłynąć: rzodkiew, śledzie, surowa cebula i kapusta. Zrozumieć nie mogę, jak ci, co go otaczali, którzy nie opuszczali go od rana do wieczora, nie wydzierali z ust jego takich jadł, które trucizną są dla człowieka, nieklimatyzowanego na Wschodzie, który życie całe w odmiennych spędził warunkach i nie był młodym, aby mógł bezkarnie przenieść raptowną zmianę sposobu życia. Nie

obwiniam nikogo o złą wolę, ale o nadzwyczajną nierozwagę, skutkiem któréj zadawano mu truciznę, w szczérem przekonaniu oddawania mu usług; bo już też sam Mickiewicz nie przyrządzał sobie śniadań, sam nie kupował śledzi, i rzodkwi i ktoś go w tém wyręczał, ktoś znosił, ktoś jadł z nim i zachęcał go do jedzenia. A byli to wszyscy jego wielbiciele, którzy go nazywali *mistrzem*, *nauczycielem*, którzy usługowali mu z pokorą niewolników, i którzy tak nieodstępnie byli przy nim, że nie można było nigdy zastać go samego. Gdy Karol Brzozowski i Kozłowski odwiedzili Mickiewicza, to on wyszedł za niemi do sieni i tam ich zatrzymał, dla pomówienia z niemi swobodnie."

Ciało nabalsamowano i we dwie zawarto trumny. Pierwsza była ołowiana, druga z drzewa. Chciano koniecznie pochować go w *Czyfliku* (folwarku) o cztery godzin drogi od Konstantynopola leżącym w lasach Anatolii, i za powód powód dawano trudność przewiezienia ciała do Francyi, a gdy ten powód został usuniony, znalazła się nowa przeszkoda, tajemniczém jakimeś nasuniona sposobem, a mianowicie: że ciało nie może być wpuszczonem do Francyi, dla tego, że nieboszczyk umarł na zaraźliwą chorobę. Gdyby nawet i niepodobnem się stało, zastósować się do przedśmiertnéj woli Mickiewicza, to daleko właściwszem było pogrzebać go

w Konstantynopolu, lub w którymeś z kościołów katolickich, nie zaś w lesie. Toczył się o to spór przez cały miesiąc; dłużéj jak przez miesiąc pilnowano ciała, które w podwójnéj trumnie, opatrzonéj pieczęcią konsulatu francuzkiego, oczekiwało na rezolucyę władz francuzkich, złożone w tym samym domu, w którym wieszcz zakończył życie. Nakoniec za staraniem P. Levi izraelity i przyjaciela nieboszczyka, przyszło pozwolenie odwiezienia ciała do Francyi.

Dzień exportacyi zwłok Mickiewicza był posępny, jesienny, prawdziwie grudniowy. Drobniuchny deszczyk mżył, niby mgła, ustając chwilami. Na ulicach pełno było błota. Exportacya odbyła się z przyzwoitością i z taką wystawą, na jaką w Konstantynopolu zdobyć się było można. Woły ciągnęły wóz pogrzebowy: orszak był liczny, bo w nim nie sami tylko znajdowali się Polacy, ale także Sławianie, Bułgarzy, Serbowie (reprezentantem których był podówczas Mikołajewicz), Włosi, Francuzi, Niemcy, Ormjanie, Izraelici i inne narodowości. Oddział piechoty eskortował trumnę, przed którą szli księża Polacy, celebrował ksiądz Ławrynowicz. I żałobne hymny łączyli z ponuremi akordami marsza pogrzebowego, który niby dalekie echo łkań, rozlegał się od czasu do czasu w powietrzu. Nie było to pysznie; bo ani dygnitarze kościelni przewodni-

czyli, ani trumna okryta była bogatym całunem, bo ją osłaniało tylko czarne sukno, ani chorągwie szły bokami, ani orkiestra nawet odznaczała się doborem i wytwornością. Przechodnie przyłączyli się po drodze do orszaku pogrzebowego, który gdy z pobocznych uliczek wyruszył się na Perę, za nim dociągnął do kościoła Panny Maryi, do którego wniesiono trumnę dla poświęcenia, już tłum tłoczył się w ulicy. Tłum ten, odprowadził zwłoki do saméj przystani, zwiększając się w miarę zbliżania ku niéj. „Miłym był dla nas ten hołd improwizowany, oddawany największemu człowiekowi, jakiego ojczyzna nasza w dziewiętnastym wieku wydała; a był on improwizowanym, bo nie przygotowało go żadne publiczne obwieszczenie, nie urządził żaden program; a wywołała go prosta wiadomość: że wielki poeta polski i całego słowiańskiego świata, zakończył życie doczesne. Miło nam było także gdyśmy się przekonali, że mało komu w Konstantynopolu nie było znaném imię Mickiewicza. To głaskało naszą miłość własną, czuliśmy się podniesionymi przez niego przed światem.“ [1])

Odprowadzono zwłoki aż do portu Top-hana, w którym Mickiewicz w październiku t.r. wysiadł na ziemię turecką; zkąd zaambarkowano na wyznaczony przez rząd francuzki paropływ

[1]) Dziennik Literacki 1858 r.

Eufrat. Mowy przy exportacyi nikt nie miał, gdyż tego wyraźnie żądał nieboszczyk. Zarządzali exportacyą Służalski i Levy.

Było to dnia 30 grudnia 1855 r.

Zenon Fisz we trzy lata opowiedziawszy ostatnie chwile wielkiego wieszcza, w tém samém miejscu stojąc na pokładzie statku z oczami zwróconemi ku Polsce: „Myślałem o téj śmierci (mówi) wyobrażałem sobie tę trumnę, co się zmieściła w kącie opuszczonéj izby na Jeni-Szeri, gdy duch wielki co ożywiał to ciało, napełnić był mocen całą Polskę i echem sławy rozległ się po świecie. Gdy tak dumałem, właśnie w tę chwilę zarysowały się przedemną na horyzoncie Akermańskie stepy, te same, na których wieszcz nasz przed trzydziestą laty dosłuchiwał się głosu Litwy i uronił owe pamiętne słowa:

„Jedźmy—nikt nie woła"

Dziennik katolicki L'Univers z dnia 13 grudnia 1855 r. ogłosił list pisany z Pera, w którym czytamy:

„Adam Mickiewicz sławny poeta polski, czując zbliżający się kres życia, kazał przyzwać polskiego kapłana, który mu udzielił świętych Sakramentów i wszelkich pociech, jakie tylko religia chrześcijańska dać jest wstanie. Umierał jak najgorliwszy chrześcijanin."

Zwłoki Mickiewicza przewiezione ze Stambułu do Paryża, pochowane zostały obok żony na cmentarzu w Montmorency.

Żałobne nabożeństwo za duszę jego, uroczyście odprawioném zostało w Poznaniu w kościele S-go Marcina, dnia 15 stycznia 1856 r. na którym miał mowę żałobną ksiądz A. Prusinowski, którą do najpiękniejszych pomników wymowy kaznodziejskiéj naszych czasów policzyć możemy.

Jeden z bliższych znajomych wielkiego poety, tak nam maluje jego postać.

„Niełatwo się zdarza napotkać twarz tak ruchomą, tak wyraźnie odbijającą wszystkie myśli, wszystkie wrażenia i wzruszenia, wszystkie obawy i wątpliwości, gniew i wzgardę, podniesienie duszy i chłopską prostotę, pokorę i zapał, zachwycenie i rozrzewnienie prawdziwe, a niekiedy pewną martwość w chwilach znużenia, w których jednak pozostały ślady wszystkich tych uczuć, tak, że na tém milczącém narzędziu zewnętrznéj duszy, można było policzyć, i oznaczyć wszystkie strony i klawisze będące w spoczynku, przebiedz myślą wszystkie tony, które co chwila mogły się odezwać na nowo. Był to ograny instrument, posłuszny sztukmistrzowi, jak jego głos i intonacya w mówieniu, jak ten dar wewnętrzny oddania wszystkiego właściwem słowem, jak jego wszędzie

dojrzały i pełny styl w prozie i w wierszu, rysujący wszystko silnie i trzeźwo. Twarz ta, daleką była jednakże od tych, jakie powszechnie nawykliśmy w życiu nazywać niepospolitemi: czoło nie wysokie, ze zmarszczeniem, ściągające naprzód długie, gęstę i w tył zaczesane włosy, które z przesądu, czy też z przeczucia niechętnie kazał obcinać, utrzymując iż to mu szkodziło na oczy: nos kształtny ale pochylony. Część czoła po obu stronach nad brwiami, najciekawszą byłyby kartą dla freneloga: doskonale można się im przypatrzéć na wybornem popiersiu Władysława Oleszczyńskiego.

„Wejrzenie Mickiewicza było przeciągłe, długie; więcéj rozważne niż przenikające, kiedy kogo słuchał, raptem dziwną błyskało iskrą; kiedy zabierał się do odpowiedzi, zdawało się że wszystko wtedy co widział lub słyszał, w jedno zbierało się ognisko, a ile razy w rozmowie z kimś obcym, myślą jaką był uderzony, czynił nagle zwrot sam do siebie, podnosił głowę, oko się mgłą okrywało, i przez czas jakiś nieruchome, pokazywało się po chwili, jakby całym ogniem i życiem do własnego wnętrza było zwrócone. Na ustach z młodości jeszcze, zostało niemało Bajrońskiéj trucizny, dla tego w złych chwilach człowieka, przeciągnięte wargi, umiały dziwnie wyrażać niechęć, lub obrażające lekce ważenie: podbródek wystają-

cy, a podniesiony do góry, odkreślał silnie te wargi od dołu, a dwie zmarszczki pochyłe oddzielające je od policzków, czyniły te usta z wiekiem wystającemi. W chwilach zamyślenia się, czoło zdawało się spłaszczać i nachylać ku tyłowi głowy, w całéj twarzy przy wyciągniętych ustach i wzniesionym podbródku, nadawało fizjonomją orła. Lecz któż jest wstanie opisać twarz tę, kiedy ją serdeczna rozpromieniła uprzejmość, kiedy pokorna modlitwa w kościele budziła najwyższą cześć i uszanowanie, lub kiedy wzniosła myśl rozpłomieniła na katedrze te lica, podnosiła brew, dawała rysom jakąś moc i potęgę, brzmiała donośnym i dźwięcznym organem głosu, i rozlewała jak słońce dobroczynne ciepło. Na jednę z jego lekcyi do kollegium francuzkiego, zaprowadziłem był młodego oficera duńskiego bawiącego w Paryżu, który ani słowa nie umiał po francuzku, a słysząc niegdyś Oelenschlegera mówiącego kiedyś z wielkim zapałem o Mickiewiczu, chciał oglądać naszego wieszcza chociaż na katedrze, nieśmiejąc mu się w domu narzucać ze swą znajomością. Zdziwiła mnie mocno jego natężona uwaga przez blisko $1\frac{1}{2}$ godziny z jaką zdawał się słuchać profesora, i kiedym mu w kilku słowach treść lekcyi powiedział, z wielką trafnością rozwinął mi wiele idei, a szczegolniéj przebiegł wszystkie uczucia które

jak powiadał, z wymownéj téj twarzy wyczytał.“ [1])

Z lat młodych Mickiewicza wizerunek, robiony przez Wańkowicza, przedstawiający poetę opartego w burce o skałę, jest najpodobniéjszy. Wiele przypomina go medaljon robiony w Wejmarze przez rzeźbiarza Dawida d'Angers, podług którego wykonał swój sztych Antoni Oleszczyński. Z lat ostatnich zaś, jest najpodobniejszy, w posągu wykonanym przez znamienitego rzeźbiarza naszego Władysława Oleszczyńskiego, który ma być wzniesionym w Poznaniu [2]).

Do ciągłéj pracy Mickiewicz nie był ochotny, więcéj zawsze czytywał i rozmyślał niż pisał. Lubił grę w szachy i warcaby: ostatniéj poświęcił nawet mały poemat, który w najpierwszym zbiorze swoich poezyi umieścił [3]). Lubił przyjacielską pogawędkę, i fajkę: książki przeczytanéj nie szanował. Kiedy mu do Paryża jeden z pisarzy angielskich nadesłał w pysznéj oprawie drukowane swoje poezye: Mickiewicz nałożywszy fajkę, a niemając czém zapalić, chciał wydrzéć z niéj karty: żona dopiéro po-

[1]) Korespondencya z Paryża. K. Gazeta Warszawska w 37 z r. 1858.

[2]) Córka najstarsza poety zamężna p. Górecka, mówiła mi, że najpodobniejszy jéj ojciec jest w tym właśnie posągu.

[3]) „*Warcaby* do Franciszka M.”

wstrzymała jego rękę. Odyniec w opisie pierwszéj podróży wspólnéj z Mickiewiczem piszę: „Napędzałem Adama ciągle, aby notował swoje wspomnienia i wrażenia. Obiecywał zawsze że to uczyni, i nakoniec na ostatnim noclegu w Niemczech, woła mnie i powiada, że to już uczynił. Patrzę, aż napisał w swoim pugilaresie: „Niemcy. Hamburg — Bifsztyk. Wejmar — Göthe. Bonnakartofle.“ W istocie mieliśmy w Bonn doskonale smażone kartofle.“

Co do charakterystyki znakomitego męża, podamy tu wyjątek z listu do nas pisanego przez A. E. Odyńca.

„Dobroć, tkliwość, prostota, cechowały tego wielkiego człowieka, większego stokroć w sobie niż nawet w pismach swoich: który sam powiedział:

„Ile krwi tylko ludzie widzą w mojéj twarzy,
Tyle tylko z mych uczuć dostrzegą w mych pieśniach.“

Jak niegdyś w Krymie, tak potém we Włoszech i wszędzie i zawsze, wszystko on co widział, czuł, myślał, wszystko ostatecznie odnosił do kraju, do Litwy. W téj idei on żył, pracował, służył Bogu i zapominał o sobie, a to zapomnienie o sobie, było jedną z najwybitniejszych cech jego osobistości, charakteru, serca i ducha. Przez wiele lat znano go tylko jako poetę, późniéj dopiéro uznano w nim natchnio-

nego, proroczym duchem, wieszcza. Ale przyjdzie czas, że i ogół podzieli zdanie tych, którzy go znali bliżéj, że był to jeden z najświętszych ludzi, przez jakich tylko Bóg, zawsze łaski swe i natchnienia zsyłał dla narodu naszego. Klaudyna Potocka, pisała mi kiedyś o nim, gdy umierającemu już Stefanowi Garczyńskiemu towarzyszył do Włoch w r. 1833, ażeby czuwać nad nim i ostatnie mu chwilę osłodzić. „Z podziwieniem, ze łzami, na niego patrzę. Wyższy jest od nas wszystkim, sercem, cnotą, duszą, jak jest geniuszem wyższym od wybranych. Duszę jego w geniuszu przeczułam.“

Liczne były wydania pism Mickiewicza zacząwszy od pierwszego w Wilnie 1822 r. we 2 małych tomikach. Odtąd drukowano je w Paryżu, Petersburgu, Poznaniu, Lwowie, Wilnie, Moskwie, w Lipsku, Berlinie. W Warszawie po dwa kroć: taż sama księgarnia S. H. Merzbacha, która w r. 1833 ogłosiła zbiór jego poezyi w trzech tomach: podjęła i niniejsze wydanie. Najzupełniejsze wydanie pism Mickiewicza ogłosił w Paryżu 1844 r. Aleksander Chodźko w 4 tomach.

Pisma Mickiewicza tłumaczono na wszystkie niemal europejskie języki: przekłady te wyliczamy szczegółowo:

I. Francuzkie: *Konrad Wallenrod*, le Faris et les Sonets de Crimée: trad. par Miaskowski et Fulgence. Paris. 1830 w 8ce.

Konrad Wallenrod, par un anonyme: nouvelle traduction. Paris 1830.

Les Ayeux: trad. par Burgaud de Marets. Paris. 1834.

Konrad Wallenrod trad. par Louison. Paris. 1836.

W zbiorze poezyi Krystyna Ostrowskiego: Nuits d'Exil 1836. umieszczono tłumaczenie: *Grażyny*, Farysa i Dudarza.

Oeuvres d'Adam Mickiewicz: traduction nouvelle parle C-te Ostrowski. Paris. 1842.

II. Niemieckie: Nordlichter, Farys, Conrad Wallenrod, Grażyna v. L. Nabielak und J. B. Werner. Stuttgard 1834.

Der Polnische parnass. A. Mickiewicz, von Julius Mendelson, Heidelberg. 1834.

Konrad Wallenrod. uebersetzt v. K. L. Kannegiesser. Lipsk. 1834.

Mickiewicz Adam, Kurze Gedichte. Lipsk 1835.

Herr Taddeus, oder der letzte sajasd in Lithauen, v. R. N. Spacier. 2 tomy. Lipsk 1836.

Sonety tłumaczył na język niemiecki *Schwab* Dwa pierwsze tomy prelekcyi przełożył Gustaw Siegfried, przemowę do tego tłumaczenia napisał Mickiewicz. Drukowane w Lipsku w 2 tomach w 12ce.

III. Angielskie: Konrada Wallenroda tłumaczył Leon Jabłoński i wydał w Edinburgu 1841. W Londynie przekład tegoż poematu przez *Catleja* wyszedł w 1842. P. *Rive* pomiędzy poezyami swymi ogłosił 1842 r. tłumaczenie Farysa. Polak, *Tochman* w jednym z dzienników bostońskich w Ameryce, umieścił przekład ballady Pani *Twardowska.*

IV. Rossyjskie: *Aleks. Puszkin* tłumaczył wstęp do Wallenroda, ballady *Czaty* i *trzech Budrysów. Kozłów:* przełożył *Sonety krymskie. Wroczeńko* drugą część *Dziadów*, powieść *Wajdeloty. Bułharyn* i *Szczastny:* Farysa. *Szewyrew*, Konrada Wallenroda prozą, a *Szpigocki* wierszem. Wkrótce w przekładzie rossyjskim wyjdzie *Pan Tadeusz.*

V. Czeskie: Konrada Wallenroda przełożył *Świątopełk Stulze* wydał w Pradze 1837.

VI. Wyjątki z prozy Mickiewicza, umieszczone były w tłumaczeniu illyryjskim Danica Ilirska 1838 r.

VII. Na język perski przełożył Sonet *Czatyrdah* w 1826 Mużza Dafar Topczy—Basza. *Farys* przełożonym został na język arabski.

Tłumaczenie kursu literatury sławiańskiéj na język włoski, już przygotowaném było w roku 1844. Czy wydane, nie wiemy.

PRZEMOWA.

Jestto dawna i bardzo zbawienna dla artystów przestroga, ażeby wystawiając dzieła sztuk pięknych na widok publiczny, spokojnie, w milczeniu oczekiwali sądu doskonałych znawców, według któregoby miarkować mogli o wartości pracy dokonanéj, a dla przyszłych brać pożyteczne upomnienia i naukę. Lecz jeśliby który, doświadczeniem cudzém nauczony, przewidywał, że dzieło jego z góry potępione być może za to, że te a nie inne wybrał do naśladowania wzory, do téj a nie innéj przyłączył się szkoły; wtedy powinienby usprawie-

dliwić się, dla czego w wyborze przedmiotu dla sztuki swojéj, odważył się pójść przeciwko mniemaniu pewnéj liczby widzów, słuchaczów lub też czytelników. Przetoż ogłaszając zbiorek niniejszy ballad i pieśni gminnych, uważanych zwyczajnie za gatunek poezyi romantycznéj, zostającéj pod klątwą, rzucaną dziś przez wielu poezyi arbitrów, teoretyków, a nawet samychże mistrzów; uczułem potrzebę wstępnie przemówić, wprawdzie nie jako artysta, lecz imieniem tych artystów, których rodzaj pracy był też i mojego ćwiczenia się przedmiotem. Mniemam zaś, że uczynię zadosyć powinności lub potrzebie, gdy zamiast zbijania zarzutów strony przeciwnéj, wystawię rzecz moję we właściwéj czystości; gdy zamiast bronienia poezyi romantycznéj, wywiodę jéj początek, oznaczę charakter, tudzież wymienię wzory celniejsze. Aby zaś pokazać dowodnie, jak rodzaj poezyi, romantycznym zwany, powstał, doskonalił się i na udzielny, w sobie skończony ukształcił się nareszcie, potrzeba wyłącznych okoliczności, wpływających nań, czyli tworzących go, szukać i odróżniać między

mnóstwem innych okoliczności, tworzących inne poezyi rodzaje. Należy poszukiwać zwyczajnéj zawisłości i następstwa zdarzeń; jak za odmianą uczuć, charakteru, opinij narodowych, zachodzi odmiana w saméj poezyi, która najpewniejszém bywa znamieniem wiekowego usposobienia ludów. Tym sposobem zamiar opisania saméj poezyi romantycznéj, wciąga mimowolnie do uwag nad innemi jéj rodzajami; albo raczéj .zniewala przebiegać historyą powszechną poezyi, przynajmniéj ile rzecz przedsięwzięta wymaga, a granice przemowy dozwalają.

Nie wszystkie wszakże narody zastanawiać nas mogą; ze starożytnych, grecki naprzód i najmocniéj zwracać powinien uwagę. Naród ten, co do płodów imaginacyi, ich początku i rozwijania się, musi miéć, jako naród, podobieństwo z innemi narodami. Lecz jeżeli Grecy podobni są w téj mierze do innych, są tylko naturą rzeczy wszystkim pospolitéj; ta zaś sama rzecz, uważana co do kształtu i przeznaczenia, jakie przyjmowała u Greków, odznacza ich i wynosi nad wszystkie inne narody. Wszystkie

w dzieciństwie, mają podostatek baśni rozmaitych. Fenomena przyrodzenia zadziwiające, lecz słabemu jeszcze pojęciu niedostępne, tłómaczone więc potwornie; na tłómaczenie ich wymyślane siły tajemne, duchy, mianowicie pod ludzką i zwierzęcą postacią, uczucia takoż i namiętności uosobiane i częstokroć w akcyi wystawiane; zdarzenia nawet prawdziwe zmyśleniem zdobione, oto jest poczęści, co stanowi świat bajeczny, wszystkim może narodom spólny. Tworzy go młoda, ognista, lecz nieukształcona imaginacya; pomaga w tém język zwyczajnie z początku gruby, zmysłowy, wyobrażenia oderwane pod postacią rzeczy zmysłom malujący. Ale ten świat bajeczny u Greków rozleglejszy, bogatszy, rozmaitszy był niż u innych narodów; bo téż imaginacya grecka żywsza i płodniejsza była, niż gdziekolwiek i język grecki giętkością, obfitością, zmysłowością, przewyższał inne. Wszakże nie dosyć na tém. Świat ten bajeczny niezadługo stał się przedmiotem rozmaitym, nieprzebranym i bardzo stosownym do sztuk pięknych, w całém wysokiém wziętych znaczeniu. Albowiem zbieg szczęśliwy okolicz-

ności sprawił, że w Grecyi więcéj niż gdzieindziéj pozjawiało się razem talentów twórczych, które samą powodowane naturą, ich ziemi właściwą, zwracały uczucie i imaginacyą ku poszukiwaniu tego, coby było delikatne, foremne, piękne, równie w poezyi jak muzyce, tańcu, malowidle i innych sztukach. Nadto, Grecy długo swobodni, weseli, życie publiczne wiodący, czystą narodowością w całéj mocy przejęci, największych cnót liczne przykłady mający, niemogli nie kształcić się moralnie w wysokim stopniu; kształcili więc drugi oddział władz, które łączą się w charakter moralny. Naostatek, umysły greckie, podniesione, ciekawe, wytrwałe, wcześnie poszukiwać zaczęły prawdy; ćwiczyły się nieustannie rozumowaniem, rozmaitą w niém a najczęściéj oryginalną postępując drogą; tym sposobem obudzał się duch filozoficzny, nawykano myśléć porządnie i głęboko, czyli tym sposobem kształcił się, wzmacniał i ustalał rozsądek. Gdy więc wszystkie władze umysłowe, w ścisłéj harmonii doskonalone były; gdy żywa imaginacya miarkowaną była przez delikatność uczucia i dojrzałość rozsąd-

ku, mogła więc w dziele sztuki wydawać wielkość przy prostocie, foremność przy rozmaitości, piękność przy łatwości. Tak sposobiony talent twórczy sztukmistrza greckiego, zwracał się ku staremu światowi bajecznemu i umiał go wkrótce na nowy przetworzyć. Odrzucił wszystko co było grube, potworne, rażące; wyobrażenia różnorodne i pomieszane uszykował, powiązał i w porządną ułożył całość. Te zaś wyobrażenia w całość układane, jakkolwiek oderwane czyli umysłowe, zawsze wyrażane były pod postacią rzeczy zmysłowych, ale rzeczy tak doskonałych i skończonych w sobie, jakie przymioty umysłem tylko, czyli idealnie pojęte i wystawione być mogą. Tym sposobem, ze świata bajecznego powstał ideał świata zmysłowego, czyli świat mitologiczny. Stworzył go, jak uważaliśmy dotąd, talent sztukmistrza, rozwinięty pośród harmonijnego kształcenia się wszystkich sił umysłowych, już z saméj natury niepospolitych. Świat ten nie był bez celu i przeznaczenia. Mistrze albowiem greccy, wystawując w dziełach sztuk pięknych przedmioty ze świata mitologicznego brane, starali się

wpływać na podnoszenie i doskonalenie w całym narodzie tych wszystkich sił umysłowych i zdolności, jakie jużto świat rzeczony tworzyły, już na utworzenie jego wpływały. Gdy zaś talent twórczy sztukmistrza greckiego był wypadkiem równowagi pomiędzy imaginacyą, uczuciem i rozsądkiem, ztąd dzieła sztuk pięknych u Greków miały pewną wymiarkowaną foremność, równie w układzie jak zewnętrznem wydaniu, który przymiot i charakter sztuk pięknych zowie się stylem greckim, albo klassycznym. Styl ten panował za wieku *Peryklesa* i dotknął się jeszcze czasów *Alexandra W.* Cośmy powiedzieli ogólnie o talencie sztukmistrza i charakterze sztuk pięknych u Greków, to wszystko oczywiście stosuje się do talentu poetyckiego i poezyi w szczególności; dodajmy tylko, że poeta był zawsze w sztuce swojéj swobodniejszy niż inni sztukmistrze, i mógł rozmaitszym sposobem, tudzież do większéj massy narodu skutecznie przemawiać. Jakoż poeci greccy, w najświetniejszym okresie swojéj sztuki, zawsze śpiewali dla gminu; pienia ich były składem uczuć, mniemań, pamiątek

narodowych, ozdobionych zmyśleniem i wydaniem przyjemném; wpływały więc silnie na utrzymanie, wzmacnianie, owszem kształcenie charakteru narodowego. Następnie, ze zmianą okoliczności, gdy uczucia, charakter i energia narodu słabnąć poczęły, jużto koleją czasu, już wpływem cudzoziemców, już przez klęski publiczne, utratę znaczenia i swobód krajowych; wtedy i talent poetycki przestawał być wielkim, i poezya traciła dawny swój charakter i wysokie przeznaczenie. Poeci rozstawali się z ludem, nic już w polityce nieznaczącym i gardzonym, i przenosili się na dwory samowładzców, gdzie składali pochlebstwa, lub też słabo, niesmacznie, więcéj uczenie niż poetycko, naśladowali dawniejsze wzory klassyczne, jak przykłady poświadczają z wieków *Ptolomeuszów*. Tym sposobem poezya, która była niegdyś potrzebą narodową, przeszła w zabawę erudytów lub próżniaków.

Po Grekach, Rzymianie są drugim sławnym w starożytności narodem, którego i w dziejach poezyi pominąć nie należy. Naród ten wszakże nie wiele nas pod tym względem zastanawiać

może, bo jego obyczaje pierwiastkowe i życie, mniéj pomyślną dla poezyi miały postać i kierunek. Ludy latyńskie, jako z natury dzikie i surowe, przez długi czas wojenne i zaborcze, jeżeli miały poezyą narodową, ta w grubéj zostawać musiała prostocie, z małym, lub bez żadnego wpływu na cywilizacyą tych ludów. Nie rychło, za otworzeniem się związków z Grekami, poezya grecka przemawiać zaczęła do uczucia rzymskiego; byłoto mianowicie w czasie poniżenia ludu a ustalenia się przewagi możnych, u których artykułem głównym poloru wyższego stała się też znajomość języka greckiego i literatury. Zjawiły się wkrótce liczne talenta poetyckie w Rzymie, lecz które tłómaczyły tylko lub naśladowały wzory greckie, zachowując całkiem duch i nawet formy poezyi greckiéj. Same wyobrażenia mitologiczne całkiem były przenoszone, albo mieszane tylko z mitami krajowemi. Czytano więc poezyą po łacinie, ale poezyą grecką, w słowa łacińskie przybraną. Nadto, czytała ją sama tylko klassa możniejszych, nader szczupła cząstka narodu. Tym sposobem, w narodzie rzymskim nie było wła-

ściwie poezyi: bo nie było poezyi narodowéj, któraby wpływając na charakter i kulturę całego narodu, dopełniać mogła była właściwego jéj przeznaczenia. Tak więc u Rzymian kultura obca, od Greków pożyczona, przerwała bieg naturalny kultury narodowéj i poezya grecka położyła tamę właściwéj poezyi rzymskiéj, która, może być, iżby się jeszcze była rozwinęła.

Na ruinach państwa rzymskiego usadowione hordy północne i z ludem miejscowym zmieszane, miały kiedyś obudzić uśpioną długi czas imaginacyą i zdobyć się na wcale nowy rodzaj poezyi. Hordy te, ile ich być mogło, miały zapewne właściwe sobie uczucia, opinie, wyobrażenia mityczne i podania, lecz pośród nich nie powstawały talenta poetyckie, któreby tak świetnie, jak niegdyś u Greków, mogły świata bajecznego użyć, wpłynąć na uobyczajenie ludów, charakter narodowy oczyszczać i wzmacniać. Rozwinieniu się w tym sposobie talentu poetyckiego liczne stawały przeszkody. Dzikie lub tułackie życie ludów północnych, mieszanie się jednych z drugiemi, udzielanie sobie nawzajem wyobrażeń, mniemań, obycza-

jów i wyrazów języka, sprawiły, że mitologia północna, jakkolwiek, po niektórych stronach, w poczyą bogatszych, kształcona, nigdy nie ustaliła się jednak; wyobrażenia mityczne nie złożyły foremnéj, pięknéj i harmonijnéj jedności, czyli systematu świata mitycznego; zawsze tam przebijała się nieforemność, potworność, brak porządku, związku i całości. Dla téjże saméj przyczyny język tych ludów długo był nieokrzesany; mógł być śmiały w wyrażeniach, ale mniéj dobitnych i ścisłych. Lecz ponieważ stan rzeczonych ludów nagle i szybko zmieniał się, zawsze dla poezyi pomyślnie, aż się nareszcie nieco ustalić musiał; ztąd i poezya, idąc statecznie za zmianami, przyjmowała zawsze coraz pewniejszą postać i charakter. Nowe uczucia i wyobrażenia, samym barbarzyńcom właściwe; tak nazwany duch rycerski i z nim połączony szacunek i miłość ku płci pięknéj, Grecyi i Rzymianom obcy; ścisłe przestrzeganie praw honoru; uniesienia religijne, podania mityczne i wyobrażenia ludów barbarzyńskich, dawniejszych pogan i nowoczesnych chrześcian pomieszane razem, oto jest, co stanowi w wie-

kach średnich *świat romantyczny*, którego poezya zowie się też romantyczną. Poezya ta miała swój stały charakter, miarkowany tylko miejscowym wpływem ponurych i uniesionych Normandów, wesołych Minnesängerów, czułych Trubadurów. Zewnętrzne wydanie czyli język, zlewkiem będąc języków północnych i rzymskiego, nazwany został *romanckim*; zkąd poszło, że późniejsi i ową poezyą i duch czasu, romantycznemi mianowali.

Zlanie się ostateczne ludów germańskich i skandynawskich z dawném plemieniem Rzymian, starcie się wyobrażeń i uczuć nowego świata z wyobrażeniami i uczuciami dawnych, musiało znowu wywrzéć wpływ na charakter ludzkości, a ztąd i na charakter poezyi. Skoro poznano lepiéj wzory klassyczne Greków i Rzymian, poeci uczeni nie mogli być na nie obojętni, a korzystając z nich rozmaitym sposobem, utworzyli różne szkoły, różne poezyi gatunki. Jedni, biorąc przedmioty z dziejów dawniejszych, chcieli je zupełnie, tak co do istoty jak i co do formy, sposobem Greków traktować (Trissino), a niedosyć jeszcze z klassyczną lite-

raturą oswojeni i nie dosyć przejęci duchem starożytności, naśladować tylko umieli układ, podziały czyli wewnętrzne formy starożytne; drudzy, stosując się do usposobienia wieku w którym żyli, woleli brać przedmioty ze świata romantycznego, szykować w stosowny układ, starając się wszakże szczególne części, tudzież mowę wykształcać podług wzorów starożytnych *(Ariosto)*; inni nakoniec średnią niejako udali się drogą, rzecz i treść, czyli materyą w istocie romantyczną, podciągając ściśle pod formy klassyczne, szczególniéj co się tycze proporcyi w układzie i ozdób w zewnętrznem wydaniu *(Tasso)*.

Śród takiéj rozmaitości, każdy z poetów, oceniając ich pod względem sztuki, tyle celu swojego dopiął, ile mu talent i potrzebne usposobienie wystarczało. Ale jeśli zwrócimy uwagę na lud, dla którego pisali, okaże się oczywiście: że dzieła, w których starano się duch i postać grecką zachować, nie mogły być powszechnie smakowane, przy mało upowszechnionéj znajomości literatury starożytnéj; że poeci, opiewający zmyślenia narodowe sposobem

przyjemnym, byli najupodobańsi i torowali drogę tym, którzy do świata romantycznego zaprowadzali coraz większy porządek, harmonią i okrasę.

Rodzaje poezyi teraz wyliczone, jako powstałe w nowym stanie rzeczy ówczesnéj Europy, musiały być nowe i od starożytnych cale różne. Naprzód rozwinęły się one u Włochów, gdzie, obok narodowéj poezyi, nauki starożytne wcześniéj i pomyślniéj uprawiano.

W sąsiedniéj Włochom Francyi już podówczas zniknęła narodowa romantyczna poezya. Trubadurowie prowanccy przenieśli się na dwory panujących i niedługo tam utrzymali znaczenie, pomiędzy ludem nabyte. We Francyi, książęta i możni, szybko przyjmując polor towarzyskiego życia, niewiele znajdowali powabu w pieniach wiejskich i prostaczych, do dworskiego tonu źle przypadających. Wkrótce, za ugruntowaniem władzy królewskiéj i nadwerężeniem feudalnego systematu, cały interes narodowy przeniósł się na dwór królów. Wszystko tam musiało stosować się do etykiety, łagodzonéj nieco francuzką lekkością: *kotterye*

prywatne przyjęły ton dworu, którego cechą było przestrzeganie form etykietalnych, dyssymulacya prawie dyplomatyczna, grzeczność ujmująca wprawdzie, ale ceremonialna, ściśle podług miejsca i osób wyrachowana. Obok towarzyskiego poloru, z postępem nauk wzrastało oświecenie. Zapał do starożytności, ożywiający Włochy, udzielał się przy częstych związkach Francuzom. Coraz mocniéj zajmowało uczonych, a za nimi całą oświeceńszą klassę, wszystko, co było greckiém i rzymskiém; nie żeby zgłębiano historyą tych narodów i z niéj wyciągano ważne w polityce i moralności prawdy, ale starano się naśladować Greków i Rzymian; naśladowanie zaś, według rozumienia Francuzów owoczesnych, polegało na przybraniu powierzchowności i tonu starożytnego.

W takim stanie rzeczy, kto chciał podobać się Francyi, to jest Paryżowi, powinien był ostrość swojego indywidualnego charakteru stósować do mody panującéj, ażeby się nie wydać pedantem i dziwakiem; musiał trzymać w karbach swój talent, miarkować imaginacyą

i uczucie, gdyż wszelki zapęd, wszelkie gwałtowne uniesienie, obrażało przyzwoitość dworską, poszukującą raczéj dowcipu i rozsądku; potrzeba mu było nareszcie w dziełach sztuki, podług mody i zwyczaju, naśladować Greków i Rzymian, tyle przynajmniéj, ile dworacy *Henryków* i *Ludwika*, naśladowali *Katonów* i *Flaminiuszów*.

Poeci więc, idąc za popędem wiekowym, zwrócili uwagę, nie tak na naturę i na charakter ludzi, jak raczéj na charakter społeczeństw paryzkich; wyśmiewali trafnie i zręcznie uchybienia przeciwko przyzwoitości, obyczajowi i modzie; etykietę, panującą na pięknym świecie, wprowadzając do świata imaginacyi, podciągali wszystko pod prawidła rozsądnie ułożone i wydane ozdobnie; bawili nareszcie widowiskami dwór i Paryż. Powstały tym sposobem i kształciły się satyry, tudzież rodzaj dydaktyczny. A jako kultura ówczesna francuzka, nosząca cechę poloru, przy podniesieniu i wyćwiczeniu władz wyższych, rozsądku i dowcipu, była zupełnie różną od kultury greckiéj i wieków średnich, tak i świat poetycki fran-

cuzki, utworzony zbiegiem innych okoliczności, działaniem umysłów inaczéj kształconych, okazał się w nowéj cale postaci, od świata mitologicznego i romantycznego nieskończenie różny. W pierwszym widzieliśmy skojarzoną harmonią i równoważące się niejako uczucie, imaginacyą i rozsądek; w drugim przemagały władze niższe; a ostatni, to jest francuzki, któryby światem stosunków towarzyskich, światem konwencyonalnym nazwać można, jest pod panowaniem rozsądku, dowcipu i formalności.

Nie mogły więc znaleść tam miejsca żadne zmyślenia śmiałe i wznoszące się nad zakres rzeczywistości wszelkie podania, nazbyt z baśniami powikłane. Szukano raczéj przedmiotów historycznych; a czyli je brano ze starożytności, czyli z wieków średnich, naginano zawsze do trybu francuzkiego. Kiedy w takiéj sferze ćwiczyły się sztukmistrzów talenta, rozwijanie się ich, co do mocy i kierunku, postępowało drogą nową, sobie tylko właściwą. W poezyi, na którą tu szczególniéj zwracamy baczność, zdaje się, iż imaginacya francuzka nie ważyła się sama przez się żadnego uczynić

kroku i pośpiesza tylko na usługi innym władzom umysłu. Powołana od rozumu, okrasza ile możności prawidła dydaktyczne i fakta historyi; w rodzaju opisowym trzyma się gościńca wytkniętego od rozwagi systematycznéj i zawsze krążąc blizko ziemi, maluje nasuwane sobie przedmioty z natury rzeczywistéj, albo właściwiéj mówiąc, zdejmuje z tych przedmiotów portrety, wykończone wprawdzie co do kolorytu, ale co do układu zbyt architektoniczne, zbyt wzorom swoim podobne i przez to obumarłe; jeżeli czasem podlatuje wyżéj, szuka tylko w krainie zmyślenia materyałów, z których dowcip tworzy zimne, coraz upodobańsze budowy lub emblemata allegoryczne. Równie skrępowana była druga władza, to jest uczucie. W materyach, tyczących się moralności i obywatelstwa, usta poetów francuzkich powtarzają tylko to wszystko, co rzetelnie czuły serca poetów greckich, jak retorowie alexandryjscy powtarzali *Peryklesa* i *Demostenesa*; gdzie szło o wydanie delikatniejszych uczuć serca, pisarze z wieku *Ludwika XIV* tchną zawsze duchem romantycznéj sentymentalności, ale zbyt

wyrafinowanéj, zbyt wykwintnéj; w
zaś razach, ton namiętny miesza się z
waniem i dowcipem w maxymach i ant
Utworzone tym sposobem dzieła sztuk
istoty francuzkie, miały formę grecką
sztukmistrzów wszakże, ale od teoretyk
rożytnych przejętą [1]) i częstokroć zm
W tragedyi naprzykład, interes zasadza
u Greków na mocném wystawieniu cl
rów, patetyczności lirycznéj i klassyczn
daniu, w dramatyce francuzkiéj zależy
wnego uszykowania i wikłania akcyi;
więc układ grecki zastąpiła tak nazwan
ga dramatyczna. Nakoniec, pod wzglę
wnętrznéj okrasy, to jest stylu, jeśli s
obok siebie rodzaje: klassyczny, roma
i francuzki, a materyą, treść i układ
uważać będziemy za duch i ciało poez

---

[1]) *Kornel* w walkach ze *Scuderim* i w roz
z tego powodu, nigdy nie cytuje *Sofokla* i
desa, ale poetyka tak często jest na placu,
cierpliwiony *Wolter* woła w komentarzach
jakże mnie nudzicie swoim *Arystotelesem.*

da się porównać do ubioru i okażą się znowu różnice odpowiednie charakterowi wieków i ludów.

Szata grecka, poważna a razem lekka i powiewna, naginała się i układała rozmaicie do najmniejszych ciała poruszeń; ztąd w sztukach obrazowych tak ważną jest częścią dzieła draperya grecka, od wszystkich artystów przyjęta, tyle przydaje posągom lub obrazom wydatności i powabu. Mowa Greków, podobne mająca przymioty, stanowi ważną część ich poezyi, czyli tak nazwany styl klassyczny, odrębnie nawet od saméj rzeczy uważany. Wieki średnie, nie tak gustowne, uderzały przecież swoim charakterystycznym ubiorem. Wielkie płaszcze góralów szkockich, stalowa odzież rycerska, pióra i barwy familijne, ze znakiem krzyża albo wstęgą, odróżniają bohatera czasów krucyaty.—W stylu poetyckim romantycznym równie panuje śmiałość w składniach mniéj giętkich, obok prostoty jakiś hart i tęgość, w wyrażeniach blask i częstokroć nastrzępienie. Wreszcie, strój francuzki zbyt jest prosty i jednostajny; zarówno służy bohaty-

rom, radcom stanu i tancerzom, drobnemi tylko rozróżniony ozdóbkami; do zatrudnień życia towarzyskiego najstósowniejszy i dla tego powszechnie przyjęty, sztukmistrzom wszakże okazał się niewygodnym. Artyści dramatyczni i mówcy, w ubiorze francuzkim muszą swoje poruszenia i akcyą zewnętrzną bardzo miarkować, gdyż każdy gest gwałtowniejszy, draperyą nie złagodzony, wyda się zbyt ostrym i rażącym. Rzeźbiarz i malarz nie śmie posągu lub obrazu po francuzku ustroić; wszelka albowiem piękność składu i proporcyi ciała pod tym ubiorem zakryć się i zniknąć musi. Też same są właśnie przymioty i niedostatki mowy francuzkiéj; można w niéj wydać każdą myśl i uczucie, byleby niezbyt śmiałe i gwałtowne; gdyż dla niedostatku odmian w składni i wyrażeniach, wszelkie niepospolitości nadto uderzają; poprawna i jasna w wykładzie umiejętności ścisłych, w rozmowie potocznéj łatwa i wygodna, a ztąd upowszechniona, jest znowu, dla zbytniéj regularności, nadto niewolniczą i zawsze jednostajną, czyli się nią rozum, czy serce tłumaczy.

Jaką zatém widzieliśmy różnicę między światem mitologicznym, wieków średnich i konwencyonalnym, pod tylu względami poezya francuzka różni się od klassycznéj i romantycznéj. Pienia Greków ożywiał duch publiczny, romantyków rycerski, poetów *Ludwika XIV*, dworactwo. Piérwsi przemawiali do całego oświeconego narodu, drudzy do wojowników i do gminu, ostatni mieli na celu zabawę klassy oświeceńszéj tylko. Grecy wykształcili mowę poetyczną do najwyższego stopnia doskonałości; poeci romantyczni język nieokrzesany zdobili śmiałą imaginacyą i gorącém uczuciem; francuzka poezya, w zewnętrznych ozdobach wynękana, nie miała właściwego stylu; była zawsze prozaiczną.

W historyi poezyi europejskiéj z kolei nastąpić powinien naród Wielkiéj Brytanii, z charakteru swojego od innych bardzo różny, odcięty morzem, a ztąd na obce wrażenia mniéj wystawiony. Żywe uczucia i imaginacya wojennych Szkotów i Saxonów, nie mogły nie zajmować się poezyą silnym sposobem. Mitologia tego narodu, przez druidów i bardów

więcéj niż gdzieindziéj była wyrobiona. Lubo zaś wprowadzenie nauki chrześcijańskiéj zniszczyło ludu tego mniemania religijne, z religią wszakże na ziemi greckiéj i rzymskiéj rozkrzewioną i do Anglii szczepem przeniesioną, nie przeszła tak łatwo Greków i Rzymian poezya. W Anglii, w stanie jéj feudalnym, dawne zwyczaje i dawny dla poetów narodowych szacunek, dochowały się czyściéj i dłużéj, niż gdzieindziéj. Lud, mający udział już w życiu politycznem, już w wyprawach wojennych niemal ciągłych, lubił pienia rycerskie, ożywiane uczuciem narodowém i do miejscowych okoliczności stosowane. Dukowie możni i panujący feudataryusze, w poezyi bardów dzieje przodków swoich znajdowali. Dla tego w Anglii, dłużéj niż u innych narodów, kształcona była poezya gminna, a Szkocya zachowała ją do ostatnich czasów. W takim stanie i usposobieniu ludu Wielkiéj Brytanii, poeci owoczesni, stosując się do opinii i potrzeby powszechnéj, pienia narodowe powtarzali i kształcili. Na ten sposób utworzyła się szkoła *Szosera* (Chaucer) i nie innym duchem tchną ta-

koż dzieła dramatyczne, wpływające następnie na charakter narodowy. *Szekspir* wielki, słusznie nazwany dzieckiem uczucia i wyobraźni, kształcony jedynie na wzorach narodowych, zostawił w dziełach swoich dobitną cechę geniuszu indywidualnego i wiekowego usposobienia. Znawca głęboki serca ludzkiego, malował w śmiałych i prawdziwych rysach naturę człowieka, w nowo utworzonym rodzaju poezyi dramatycznéj, którego głównym jest charakterem walka namiętności z powinnością — jedno z wyobrażeń świata romantycznego. Mniéj szczęśliwy był *Szekspir* w traktowaniu przedmiotów z dziejów greckich i rzymskich, bo dla mało upowszechnionéj wtedy znajomości historyi i literatury, niepodobna było trafić doskonale w charakter i w ducha dwóch starożytnych narodów. *Szekspir*, znając człowieka, nie znał Greka, Rzymianina, ani Anglika. Tymczasem zaprowadzał się w Anglii polor towarzyski. Na dwór Saint James przeniosła się etykieta wersalska, a z nią smak francuzki. Szkoła więc *Szosera* i *Szekspira* ustępować musiała przed rozumującym *Pope*, wymuskanym

Adissonem i dowcipnym *Swiftem*. Naśladowcy tych znamienitych pisarzy, coraz liczniejsi i coraz gorsi, zrządzili upadek poezyi angielskiéj, z którego ledwo dźwignęła się w wieku dzisiejszym, za zjawieniem się dwóch geniuszów: *Waltera Skotta* i *Bajrona*. Piérwszy poświęcił swój talent dziejom narodowym, wydając powieści gminne świata romantycznego, klassycznie wyrobione, potworzył poemata narodowe i został dla Anglików *Ariostem*. *Bajron*, ożywiając obrazy uczuciem, stworzył nowy gatunek poezyi, gdzie duch namiętny przebija się w zmysłowych rysach imaginacyi. *Bajron* w rodzaju powieściowym i opisowym jest tém, czém *Szekspir* w dramatycznym.

Te rozmaite charaktery poezyi, któreśmy przebiegali, zdaje się, że wszystkie rozwinęły się w szkole niemieckiéj, jako najpóźniejszéj.— Od połowy przeszłego wieku, poczęły wielkie geniusze spółcześnie jaśnieć po Niemczech. Rozległe przed niemi otworzyło się pole, liczne przybywały ułatwienia za postępem niewymownie szybkim nauk i całéj kultury w krajach niemieckich, mianowicie północnych. Przez

upowszechnienie znajomości gruntownéj języków starożytnych i oraz nowożytnych, można było korzystać zarówno ze wzorów greckich, włoskich, francuzkich i angielskich. Poeci więc niemieccy, biorąc przedmioty już ze świata klassycznego, już romantycznego, częstokroć od jednych duch i istotę, od drugich formy i wydanie, i miarkując to wszystko podług indywidualnych usposobień, nie dziw, że w płodach swoich ukazali się rozmaici i do siebie niepodobni. Ma jednak szkoła niemiecka pewny stały charakter, u różnych poetów mniéj lub więcéj wydatny. Niemcy bowiem, od czasów mianowicie Reformy, skłonni będąc do uniesień i sentymentalności; dumając nad ulepszeniem bytu moralnego ludzi i społeczeństw; filozofując przez głębsze pojęcia umysłowe, usposobili się do dawania uczuciom i wyobrażeniom formy coraz bardziéj oderwanéj i ogólnéj. Nadto, duch ożywiający Niemców jest kosmopolityczny, nie tak skierowany ku jednemu krajowi lub narodowi, jako raczéj zajmujący się całą ludzkością; w malowaniu delikatniejszych uczuć serca, sentymentalność rycerska do czy-

stości prawie umysłowéj podniesiona. Świat więc poetycki Niemców, nazwać można światem idealnym umysłowym, od świata mitologicznego różnym; jego cechy najdobitniéj wydają się w płodach wielkiego *Szyllera*.

Z tych dziejów poezyi, jakkolwiek zbyt krótko i ogólnie przebieżonych, widzieć można, iż rodzaj romantyczny nie jest zgoła nowym wymysłem, za jaki niektórzy chcą go uważać, ale powstał równie jak inne ze szczególnego usposobienia ludów; że dzieł właściwie romantycznych, w całém znaczeniu tego wyrazu, szukać należy u poetów wieku średniego; wszystkie zaś twory późniejsze, romantycznemi nazywane, z istoty lub z układu, z formy lub stylu, należą częstokroć do innych, bardzo od siebie różnych poezyi rodzajów. Jeśli, nie dając względu na takową rozmaitość, ustanowimy podział ogólniejszy, ten okaże się absolutnym i niewłaściwym. Niektórzy pisarze, w całéj literaturze poetycznéj, widzą tylko klassyczność i romantyczność, i dzieła wszystkich poetów, od *Orfeusza* do *Bajrona*, uważając za klassyczne lub romantyczne, po prawicy lub po lewicy

kładą. Wtenczas z jednéj strony Iliada staje obok Henryady, hymny na cześć bohatyrów olimpijskich, przy odach Francuzów do potomności, do czasu i t. p.: na drugiéj zaś stronie *Heldenbuch* i *Niebelungen*, spotkają się z Boską Komedyą *Danta* i pieśniami *Szyllera*. Wiele dzieł nareszcie, jako Messyadę, sonety *Petrarka*, Jerozolimę wyzwoloną, Hermana i Doroteę *Göthego*, i całą poezyę francuzką, niepodobna zgadnąć, gdzieby na tym strasznym sądzie odesłano. Taką korzyść przynoszą dla poetyki podziały ogólne i nieoznaczone. Wszakże i w szczegółach podobne można wprowadzić zawichrzenie, jeśli klassyfikując poetów, krytyk, jak Nestor homeryczny, cały tłum na narody podzieli. [1]) Wszystkich pisarzów jednego plemienia, np. Niemców, obwoła za romantyków, równie *Lessynga* jak *Szyllera*, *Wielanda* i *Göthego*, *Hagedorna* i *Bürgera*. Tros Italusve fuat; albo też jednemu pisarzowi każe być koniecznie romantykiem, np. *Göthemu*, chociaż jego Ifigenia w Aulidzie, sądem znawców, ze

[1]) Dzieł tłumy na narody.—Iliada.

wszystkich dzieł nowoczesnych, najbliżéj do rodzaju klassycznego Greków przystępuje; chociaż jego Tasso łączy duch romantyczny ze stylem klassycznym; chociaż tenże Göthe, we wszystkich prawie dziełach swoich, ukazuje się coraz innym i nieskończenie rozmaitym. Cała niestosowność podziałów i nagłych wniosków ztąd pochodzi, że piszący o poezyi, pochwyciwszy od teoretyków niemieckich wyrazy *klassyczność* i *romantyczność*, podszywają pod nie własne swoje wyobrażenia; póty więc twierdzenia ich zrozumiałemi dostatecznie nie będą, póki pomienieni pisarze nie zaczną używać wyrazów technicznych, w znaczeniu powszechnie przyjętém, albo nie wytłómaczą się z tego, jakie im nadają. Bo jeśli klassyczność i romantyczność weźmiemy w znaczeniu *Szlegela*, *Buterweka*, *Eberharda*, którzy piérwsi te wyrazy do teoryi wprowadzili i oznaczyli; jeśli za charakter poezyi romantycznéj uznamy przebijające się w niéj cechy ducha czasu, sposobu myślenia i czucia ludów w wiekach średnich; natenczas powstać przeciwko romantyczności, nie jest to powstać przeciwko poetom, ale wy-

powiadać wojnę uczoną narodom rycerskim, których obyczaje i dzieła opiewali poeci. Nadto, jako w teraźniejszym Europy stanie, wiele zatrzymało się opinii, wiele odzywa się uczuć z czasów rycerskich; tak i w wielu dziełach nowożytnych różnego rodzaju widać mniéj lub więcéj cechę romantyczności. Chcąc w poezyi cechę tę zupełnie zniszczyć, potrzeba wprzódy zmienić charakter narodów, co nie jest w mocy teoretyków, albo dowieść, iż przedmioty z wyobrażeń i uczuć świata romantycznego, nie dają się szczęśliwie poetyckim sposobem traktować, przeciwko czemu mówią przykłady tylu wzorowych romantycznych sztukmistrzów. [1]) Jeżeli zaś odrzucamy definicye teoretyków niemieckich i do romantyczności przywięzujemy inne jakieś wyobrażenie; jeśli np. zasadzamy jéj istotę na łamaniu prawideł i wprowadzaniu

---

[1]) Nietylko w poezyi, ale i w sztukach obrazowych, krytyka odróżnia rodzaj romantyczny. W malarstwie naprzykład szkoły włoskiéj, madonna i wyobrażenia aniołów, są wzięte ze świata romantycznego i do ideału podniesione.

diabłów, wtenczas zarzuty przeciwników takiéj romantyczności będą słuszne i niezbite.

Dla uniknienia podobnych dwuznacznych twierdzeń, lepiéjby było w pochwałach albo naganach jakiego rodzaju, wymienić zaraz pisarzów i dzieła, tudzież ich zalety lub uchybienia. Wszakże ocenianie krytyczne niedosyć jest opierać na saméj części prawidłowéj krytyki. Chcący albowiem podług ułamku poetyki *Arystotelesa* wyrokować o *Homerze*, *Arioście*, *Klopsztoku*, *Szekspirze*, podobnym będzie do sędziego, któryby podług praw *Solona*, albo XII tablic, stanowił w sprawie Greka, Włocha, Niemca i Anglika. Nie idzie za tém, aby krytyka sztuk pięknych nie miała pewnych i stałych zasad; ale jako w świecie moralnym są jedne prawa, wrodzone sumieniu każdego poczciwego człowieka, w każdym czasie i narodzie; drugie od prawodawców, stosownie do okoliczności stanowione, za zmianą ducha czasu i obyczajów zmieniać się mogące; tak i w świecie imaginacyi są istotne i przyrodzone sztuki prawidła, które instynkt poetycki we wzorowych dziełach, jakiegokolwiek bądź rodzaju, zachować

umie i powinien, kiedy dalsze przepisy krytyczne, z uwag nad dziełami wyciągnione, albo wyciągnąć się jeszcze mające, za zmianą usposobień umysłowych, a ztąd i za zmianą charakteru dzieł sztuki, zmieniać się i miarkować muszą. To wszystko jeśli ma na oku estetyczna krytyka, odnosząc zawsze dzieła do czasu i ludzi, uniknie stronniczéj natarczywości w wytykaniu błędów sztuki jednego rodzaju; dla krytyków zaś, rozważających sztukę nietylko estetycznie, ale téż historycznie, filozoficznie i moralnie, wszystkie rodzaje zarówno uwagi godne będą, wszystkie są tworem ludzi; ze wszystkich wyczytujemy charakter rozmaicie wykształconego umysłu ludzkiego, a najwyraźniéj z tych, które jedynie mają na celu człowieka, malują jego obyczaje i uczucia. Ważnym więc i mocno zajmującym w każdym względzie okaże się, tak cały rodzaj romantyczny, jak i szczególny jego gatunek, poezya gminna; o niéj zostaje nam jeszcze kilka słów powiedzieć, obszerniejszą bowiem wiadomość o poezyi gminnéj, a mianowicie o poezyi gminnéj narodowéj, na inny raz zostawiamy.

Wspomnieliśmy wyżéj, iż w wiekach średnich krążyły między ludem powieści i śpiewy; charakter ich być musiał mniéj lub więcéj jednostajny, całemu rodzajowi właściwy; przedmioty brane z dziejów rycerskich, ozdobione zmyśleniami; uczucia dla płci pięknéj w wyrazach czułości, albo wesołych żartach; mowa naturalna i prosta, strofami do śpiewania stosowana. Pod tym ogólniejszym rodzajem zawierało się mnóstwo szczególnych gatunków różnego nazwania. Śpiewki, sagi, lais, virelais, sarvantois i t. p. najliczniejsze i najbardziéj upowszechnione były ballady i romanse. U Włochów naprzód podobno zjawiło się imie ballady (canzone a ballo), nadawane bez różnicy wszelkim piosenkom, pospolicie wesołym, co sam wyraz *ballare* (tańczyć) oznacza. U Hiszpanów, gdzie poezya gminna bardzo kwitnęła, znano ją tylko pod imieniem *romansów* (romances). Francuzi odróżniali wprawdzie balladę od innych gatunków, ale nie tak z istoty i charakteru, jako raczéj pod względem budowy strof i wiersza. Ztąd wiele piosnek *Marota*, które do madrygałów i romansów liczyćby należało, nazywano

balladami; ztąd *Boalo* powiada, iż często ucinek dowcipny albo rym osobliwszy, stanowi całą zaletę tego gatunku poezyi. Inny wcale charakter, wyraźny i stały, ma ballada brytańska; jest to powiastka, osnowana z wypadków życia pospolitego, albo z dziejów rycerskich, ożywiona zwyczajnie dziwnością ze świata romantycznego, opiewana tonem melancholicznym, w stylu poważna, w wyrażeniach prosta i naturalna. Od gór szkockich i irlandzkich roznieśli bardowie i minstrele ten gatunek na płaszczyzny Anglii, a poeci narodowi lubili ballady gminne zbierać, poprawiać, albo na ich wzór podobne tworzyć. Literatura angielska liczy więcéj dwóchset zbiorów tego rodzaju. Wszakże z czasem, kiedy duch poezyi londyńskiéj zmieniać się i na inny sposób kształcić począł, zjawiły się ballady od gminnych wcale różne, wesołe i dowcipne, *(Cowleja, Prayora)*, a często dawną balladę trawestujące *(Swifta)*. Smak ten przecież trwał niedługo; wprzódy nieco *Rowe*, a następnie *Gay*, *Dawid Mallet*, szczególniéj zaś *Persy* i *WalterScott*, dawny rodzaj poważnych ballad szkockich do świetności przywrócili. Podobna

jest historya ballad u Niemców, gdzie ten gatunek, wielu liczący poetów, nie był jednak, tak jak w Anglii, upowszechnionym, i różnym co do charakteru i stylu podpadał zmianom. W drugiéj dopiéro połowie przeszłego wieku (1773), *Bürger*, sławną Lenorą i wielu innemi wzorami obudził mnogich naśladowców. Odtąd literatura niemiecka, po angielskiéj, jest najbogatszą w ballady. Jaśnieją w tym rodzaju sławne zkądinąd imiona: *Stolbergów*, *Kosegartena*, *Höltego*, *Göthego* i *Szyllera*. Ostatni jednak, zdaniem *Buterweka*, nieco się oddalił, mianowicie w stylu, od naturalności i prostoty, właściwéj balladom szkockim.

Podobne są do ballad romanse (romanse, *romanza*), szczególniéj w Hiszpanii i Francyi upowszechnione; tém wszakże różnią się od ballady, iż poświęcone są czułości; mniéj więcéj do nich wpływają zmyślenia dziwne, a forma pospolicie drammatyczną być zwykła; styl zaś jak największą naiwnością i prostotą zalacać się powinien.

DO CZYTELNIKA.

O KRYTYKACH I RECENZENTACH WARSZAWSKICH.

Krzyknęli: nie pozwalam! uciekli na Pragę.
Powrót Posła.

Poezye w niniejszém wydaniu zawarte, prawie wszystkie już dawniéj publiczności znajome, przy pierwszém ich ogłoszeniu zwróciły uwagę recenzentów i stały się przedmiotem licznych nagan i pochwał. Czytałem z równém uczuciem jedne i drugie, i milczałem. Powody milczenia mojego łatwo odgadnie każdy, kto zna stan teraźniejszy krytyki literackiéj w Polsce, i ma wyobrażenie o ludziach, wdzierających się na urząd krytyków. Atoli kiedy powtarzam wydanie dzieł, tyle razy, tylu piórami rozbieranych, i te dzieła bez żadnych prawie odmian

puszczam na świat, w stanie rodziméj ich niedoskonałości, lękam się, aby czytelnicy moi nie myślili, że przez zatwardziałość serca, właściwą autorom krytykowanym chorobę, uparłem się nie korzystać z uwag, co większa z uwag drukowanych w gazetach, i to jeszcze w Warszawie. Jeżelim grzeszył, niechcę wymawiać się w obliczu recenzentów niewiadomością; winienem téż przez grzeczność wyłożyć im powody uporczywego trwania w błędach: bo recenzenci, jakiekolwiek jest ich zdanie, należą prawie zawsze do klassy ludzi czytających książki, przynajmniéj polskie, która to klassa w naszym kraju nieliczna, ma prawo niezaprzeczone do szczególnéj autorskiéj grzeczności.

Piérwszy, ile mi wiadomo, rozbiór poezyi moich, umieszczono przed laty sześciu w Astrei, piśmie peryodyczném warszawskiém. Redaktor, Franciszek Grzymała, pochlebne dla poety wyrzekł zdanie: przyznaje mu *talent*, nie skąpi dlań wyśmienitych przestróg o potrzebie pracowitości, o strzeżeniu się miłości własnéj, o posłuszeństwie dla krytyki i t. p. Co się tycze zalet i wad dzieła pod względem sztuki, Fran-

ciszek Grzymała, z powołania publicysta i statysta, nie śmié wdawać się w rozprawy literackie i nie wiedząc sam, czy mu poezye moje podobać się mają lub nie? pyta się o to uczonych warszawskich, wyglądając od nich poważnéj urzędowéj recenzyi. Ukazywały się następnie krótkie ogłoszenia lub uwagi w innych pismach, aż nakoniec zjawił się wyglądany od Franciszka Grzymały krytyk, w osobie Franciszka Salezego Dmochowskiego.

Redaktor Biblioteki polskiéj, przyznaje również autorowi poezyi *talent*, z równą hojnością udziela mu rad ogólnych moralno-literackich. Nieszczęściem, z ogólnéj uwagi trudno jest artyście korzystać. Malarzowi np. wystawiającemu swój obraz pod krytykę, niewiele usłużą goście, chociaż z miną znawców ciągle powtarzać będą, iż należy pracować, iż należy uczyć się rysunku, wydoskonalać koloryt i t. p. Były wszakże i szczegółowe zarzuty: oskarżano mnie głównie o psucie stylu polskiego, wprowadzaniem prowincyonalizmów i wyrazów obcych. Wyznaję, że nietylko nie strzegę się prowincyonalizmów, ale może umyślnie ich uży-

wam. Prosiłbym zwrócić uwagę na różne rodzaje poezyi w dziełach moich zawarte i każdego z nich styl podług innych sądzić prawideł.

W balladach, pieśniach i w ogólności we wszelkich poezyach na gminném podaniu opartych, szczególny charakter miejscowy noszących, wielcy poeci starożytni i nowocześni używali i używają prowincyonalizmów, to jest wyrazów i wyrażeń od ogólnie przyjętego książkowego stylu różniących się. Że pominę dawne greckie dyalekty, dość rzucić okiem na dzieła Burnsa, Herdera, Göthego, Skota, Karpińskiego, Bogdana Zaleskiego. Nasz Trembecki, śmielszy od nich, w rodzaju dydaktycznym opisowym, najbardziéj od poezyi gminnéj oddalonym, użył wyrazu *chwost*, *socha* i t. p., zapewne nie przez nieznajomość języka. Wszystko tu zależy od szczęśliwego użycia. Nie przeczę, iż mogłem albo zbytnie, albo nie w miejscu, albo niestosownie prowincyonalizmy wprowadzać: o to mię obwiniać każdemu wolno, z tego usprawiedliwiać się nie mam prawa. Głęboka znajomość języka i smak wytrawionych znawców, wyrokują o nowościach gram-

matycznych: wyroki te publiczność z czasem zatwierdza lub odrzuca. Sąd w podobnéj sprawie jest daleko trudniejszy niżli się recenzentom zdaje. Tu, ażeby się ze zdaniem odezwać, trzeba powagi literackiéj. Pan Ordyniec, teoretyk, mając za sobą dykcyonarz i grammatykę, podkreśla prowincyonalizmy lub nieszlachetne wyrażenia Trembeckiego; my parafianie, w sporach, które smak tylko rozstrzyga, zdajemy się raczéj na autora Zofijówki. Ogólny wyrok recenzentów przeciwko prowincyonalizmom jest wypadkiem metody, przejętéj od starych gazeciarzy francuzkich. Oni to, mając siebie za stróżów języka, co krok odwołują się do słownika Akademii. Rzeczywiście miło jest recenzentom i pewnym czytelnikom myśléć, że nabywszy słownik, mają w kieszeni trybunał, gotowy rozstrzygać najdelikatniejsze spory, tyczące się poetyckiego wysłowienia.

Jeżeli o dawniejszych poezyach moich ogólne tylko wydano zdanie, za to sonety, aż do najdrobniejszych szczegółów, aż do pojedyńczych wyrazów i wyrażeń, a nawet wyrazowych form i zakończeń, grammatycznie, retorycznie

i estetycznie rozbierane i sądzone były. Odczytałem dwadzieścia przeszło recenzyi, że pominę satyry i parodye. Oto jest naprzód treść zdań ogólnych: Poezya polska (mówi p. M. M.) dotąd ograniczyła się do tłumaczeń i naśladowań francuzkich; Mickiewicz piérwszy nadał jéj cechę narodowości, on stał się twórcą poezyi oryginalnéj. — Poezya polska, odpowiada p. Fr. Salezy Dmochowski, dotąd była narodową, postępowała ciągle ku doskonałości, a najwyższym jéj utworem, miazgą i treścią narodowości, miało być poema o ziemiaństwie, od lat kilkunastu w Warszawie oczekiwane. Mickiewicz piérwszy tę cechę narodowości zdziera i niszczy, zasady smaku wstrząsa, styl kazi i literaturze polskiéj powtórnym grozi upadkiem. — Cieszymy się, woła lwoski wydawca moich sonetów, że Mickiewicz zaniedbał ballady, które gmin sam najlepiéj układa, a wprowadził do naszéj literatury rodzaj zupełnie nowy. Sonety dają mu niezaprzeczone prawo do nieśmiertelności.—Żałujemy, woła inny recenzent, że Mickiewicz, dotąd uprawiający poezyą narodową, ballady i powieści, zaniedbał je

i obrał sonety, rodzaj literaturze naszéj zupełnie obcy. – Forma sonetu, zdaniem dziesiątego recenzenta, jest swobodna, szlachetna i piękna; jedenastemu zdaje się być niewolniczą, trudną i niewdzięczną; piętnasty gardzi sonetami, jako wymysłem wieków średnich, barbarzyńskich; dwudziesty dowodzi, że Horacyusz nawet pisał coś nakształt sonetów.

W szczególnych uwagach taż sama zdań rozmaitość. Zwrotki i wyrażenia, dziwiące jednych górnością i harmonią mowy, drugich gorszą pospolitością zdań i drapiącém uszy wierszowaniem. Tenże sam sonet jednych rozczula, dla drugich wesołéj parodyi staje się przedmiotem, ci go nie rozumieją, tamci objaśniają długim komentarzem, inni pojmują autora, a uskarżają się na ciemność wykładacza.

W takiéj zdań różności zastanowił nas szczególnie jeden zarzut; powtórzyło go zgodnie wielu recenzentów a najobszerniéj rozwodzi się nad nim Franciszek Salezy Dmochowski. Ten zarzut tyczy się użycia wyrazów cudzoziemskich, oryentalnych. Redaktor Biblioteki polskiéj zaczyna, zwyczajem swoim, od uwag ogólnych,

sprawiedliwych, ale już przed ogłoszeniem recenzyi jego nieco znajomych: np. że poezya wschodnia od europejskiéj różna, bardzo różna; że poezyą wschodnią naśladować trudno, bardzo trudno. Kto nie zna taktyki recenzentów, lubiących o rzeczy niewiadoméj rozprawiać ogólnemi zdaniami, które w literaturze zamiast znaku *x* używają się, sądziłby, że pan Dmochowski jest wielkim oryentalistą. Niedługo wszakże zostajemy w błędzie: widziemy zaraz, że tenże p. Dmochowski, nietylko nazwisk właściwych gór i rzek nie wiedział, co dowodzi małą geografii sąsiednich krajów znajomość, ale nie rozumiał wyrazów: Allah, drogman, minaret, namaz, izan. Zdaje się nam, że nawet w Warszawie, gdzie literatura wschodnia mało liczy uczniów, taka niewiadomość recenzenta dziwić musi publiczność. Przytoczone wyrazy arabskie lub perskie, tyle razy w dziełach Göthego, Byrona, Mura, użyte i objaśnione były, że o nich czytelnikowi europejskiemu wstyd nie wiedzieć, témbardziéj wydawcy pism peryodycznych. W opisie poetyckim miast naszych, któż nie wspominał o kościołach i wieżach;

w opisie miasta wschodniego, jak pominąć minarety? Jak je wytłómaczyć po polsku, czyli mówiąc słowy recenzentów, jak je wytłómaczyć na język Sarbiewskich, Kochanowskich, Śniadeckich, Twardowskich. [1]) Dał wprawdzie Franciszek Salezy Dmochowski dziwny przykład przepolszczenia obcych wyrażeń i wyrazów, kiedy w wierszach swoich mówiąc o Peleuszu, ojcu Achillesa, nazywa go władcą *małego w Tessalii powiatu*, i tym sposobem, jednego z najpotężniejszych królów Grecyi bohaterskiéj, robi naszym powiatowym marszałkiem. Ale ja takiéj, właściwéj poważnym klassykom nowości, jako poczynający pisarz romantyczny, użyć nie śmiałem.

Prowincyonalizmy i cudzoziemczyzna, tudzież niepoprawność wiersza, szczególnie przeraziły recenzentów. Ztąd powszechna trwoga, abyśmy znowu nie wpadli w barbarzyństwo

---

[1]) Sarbiewski nie pisał po polsku; Sniadeccy nie pisali poezyi; a w dziełach Twardowskiego więcéj cudzoziemskich wyrazów, niż we wszystkich sonetach.

wieku literatury jezuickiéj. Pozwalamy, wołają nakoniec recenzenci, naśladować pisarzów angielskich i niemieckich co do swobody form, ale niechże pisarze nasi naśladują ich styl czysty i poprawny. Byrona, Göthego, Skotta, nikt nie obwiniał o skażenie mowy, odzywa się zgodnie z całym chórem Salezy Dmochowski. Gdyby krytycy raczyli kiedykolwiek zajrzéć w dawne niemieckie i nowsze angielskie recenzye, przekonaliby się, że wszyscy od nich przywodzeni poeci ulegali tymże samym zarzutom. Recenzye wspomnione już i na francuzkie przetłómaczono. Obaczmy co mówi *Mercure du XIX siècle:* Les poètes anglais les plus renommés parmi nous, Walter Scott, Southey, Moor, ne daignent pas corriger leurs vers; ils bravent non seulement les règles de la mésure, mais encore celles de la grammaire; ils font de la langue anglaise une véritable polyglotte, où sont admis les mots de tous les idiomes parlés. Byron jette au hasard ses inspirations sténographiées sur le papier sans daigner ensuite y rattacher son attention, mettant les négligences au rang des licences, système qui est

sans doute celui du vrai poète: car c'est avec ce dedain, que chez nous, M^r^ de Lamartine a modulé ses Méditations que ses amis et M. Tastu, son libraire, sont obligés de revoir. (Journal de St. Petersbourg, 1828). Utyskiwania podobne nikogo dziwić nie powinny. Retorowie szkolarze, od czasów Danta aż do Lamartina, zawsze byli jednostajni w charakterach i zdaniach, zawsze, czytając poetów, z dobrodusznem narzekali westchnieniem, że poeci mający talent nie posiadali ich nauki. Krzyki retorycznych alarmistów wzmagają się peryodycznie w epoce wielkich odmian literackich. W Niemczech, w pierwszéj połowie przeszłego wieku, literatura ledwie nie tak jak u nas ubogą była. Gotszed, sławny podówczas grammatyk lipski, wierszopis gładki, bez talentu, retor krótkiego wzroku i ciasnego pojęcia, uważał naśladowniczą szkołę poetów szląskich za klassyczną, wiersze zaś samego Gotszeda miały być właśnie najwyższym utworem klassyczności i narodowości niemieckiéj. W duchu jego szkoły, Lessyng, Klopsztok, Göthe, należeli do nieumiejętnych i zuchwałych no-

watorów. Ta walka mniemań, utrzymała w pamięci imię Gotszeda, o którego dziełach już nie słychać. Teatrem podobnych sporów była daleko dawniéj Hiszpanija, kiedy szkoła włoska wprowadziła do tego kraju nową poezyą. Podobneż spory ukończyły się przed oczyma naszemi w Anglii, a dotąd toczą się we Francyi. Wróżby więc o blizkim upadku literatury i smaku w Polsce, zdają się być bezzasadne; przynajmniéj nie ze strony romantycznéj zagraża niebezpieczeństwo. Dzieje literatury powszechnéj przekonywają, że upadek smaku i niedostatek talentów, pochodził wszędzie z jednéj przyczyny, z zamknięcia się w pewnéj liczbie prawideł myśli i zdań, po których wytrawieniu, w niedostatku nowych pokarmów, głód i śmierć następuje. Tak upadła literatura bizantyńska, dziedziczka najbogatsza pomników Grecyi; bo zarówno odgrodziwszy się od Franków i Arabów, z postępem wieku, nowych form przyjąć nie chciała. Podobne wycieńczenie w przeszłym wieku dotknęło francuzką literaturę. U nas, za czasów jezuickich, zły smak rozszerzali właśnie ludzie najlepiéj

znający prawidła retoryki, właśnie professorowie retoryki i kaznodzieje. Powszechna ciemnota pochodziła nie z wprowadzenia obcych nauk, ale z ich pilnego strzeżenia się. Kiedy Konarski dowodził potrzebę języka francuzkiego, uczniowie i stronnicy jezuitów oburzali się na tę nowość, równie jak dziś uczniowie i stronnicy szkoły warszawskiéj na literaturę angielską i niemiecką.

Widzi czytelnik, że z pomiędzy licznych wad mnie wytkniony ch, dwie tylko usprawiedliwić chciałem, to jest użycie prowincyonalizmów i obcych wyrazów. Zdania recenzentów o piękności lub niedorzeczności myśli moich, złym lub szczęśliwym wyborze form, o harmonii lub twardości wiersza, zostawiam bez odpowiedzi sądowi publiczności. Daleki od sceny zaburzeń literackich, nie należący do żadnéj koteryi, czytam recenzye w lat kilka po ich ogłoszeniu; przytoczyłem je w tym jedynie celu, abym pokazał czytelnikom, że nie tak łatwo jak się zdaje dzieła podług uwag gazeciarzy poprawiać. Chcieli wprawdzie niektórzy recenzenci oszczędzić pracy autorowi i podjęli się sami

poprawiać wyrazy, wyrażenia a nawet całkowite wiersze. Taka wspaniałomyślność recenzentów, teraz w europejskiéj peryodycznéj literaturze bezprzykładna, należy do cnót starożytnych, w gazeciarstwie warszawskiém dziedzicznych. Nieszczęściem, różnię się w zdaniu z recenzentami co do popraw; przytaczam niektóre z nich, zostawując wolny wybór czytelnikowi. Pan S. w sonecie „Ranek i Wieczór" zamiast *błysnęła w oknie: ukląkłem*, radzi pisać, *stanąłem jak wryty*. Pan Franciszek Salezy Dmochowski: zamiast *ziemnych krawędzi*, życzyłby widzieć: *nadbrzeżne płaszczyzny* albo *piaszczyste płaszczyzny*. Szkoda, że w opisanéj przezemnie ziemi nie było płaszczyzn piaszczystych. Pan J. K. zamiast: *a gdy serce spokojne, zatapia w niém szpony*, poprawia: *i gdy zmysły spokojne nurza w sercu szpony*. Tę ostatnią poprawę powinienbym przyjąć; potrzebę jéj usprawiedliwia dostatecznie recenzent naprzód tém: 1) „Że hydra pamiątek czyli działalność duszy z obudzonych w niéj przykrych wspomnień, zaczém działalność jéj względem własności czucia nieprzyjemna lecz przykra, jest w orga-

nizacyi życia naszego moralnego, to jest rzeczą niezaprzeczoną." Broń Boże, aby autor sonetów zaprzeczył tak jasnéj prawdzie, dowiedzionéj w czterech równie jasnych kategoryach i w długiéj rozprawie o hydrze pamiątek, co wszystko znajdzie czytelnik ciekawy w Gazecie Polskiéj 1827 r.

Kończąc niniejszą przemowę, kiedy raz jeszcze rzuciłem okiem na wyżéj przytoczone rozbiory i uwagi; ton stanowczy recenzentów warszawskich, głębokie ich przekonanie o swojéj nauce i o ważności wszystkiego co wiedzą; powaga, jaką dotąd nad umysłami pewnych czytelników mają słowa: — jego pochwalono w gazecie, jego zganiono w gazecie,—bez względu kto chwalił lub ganił; wszystko to pokazało mi całą różnicę między naszym uniżonym stanem pisarzów prowincyonalnych, a poważną recenzentów warszawskich hierarchiją. Przypomniałem szczęściem, że mam niejakie prawo do przywilejów téj kapitule służących. Przed kilkunastu laty, gdym był studentem, drukowałem także w Pamiętniku Warszawskim tchnącą klassycznością recenzyą, przytaczałem obfi-

cie list do Pizonów i kurs Laharpa, co dotąd w onéj kapitule uchodzi za niepospolitą erudycyą i dostateczną na urząd krytyka kwalifikacyą. Ośmielam się więc, zapominając na chwilę, że zostałem tylko poetą, przybrać dawny charakter recenzenta i spółkollegom moim, przynajmniéj za ogólne zdania i moralne przestrogi zapłacić podobną monetą, to jest ogólnemi uwagami i obrokiem duchownym.

Poeta, bez obszernéj, wielostronnéj nauki, jeśli nie utworzy arcydzieł pierwszéj wielkości, stanowiących w literaturze epokę, może przecież w szczególnych pomniejszych rodzajach szczęśliwie sił doświadczać; jeśli nie pozyska europejskiéj sławy, może w kraju swoim, w prowincyi swojéj, czytelników i wielbicieli znaleść. Inaczéj rzecz się ma z teoretykami: ci z powołania uczeni być muszą. Im więcéj tworzy się dzieł sztuki i obszerniejsze w teoryi odkrywają się widoki, z tym większą usilnością talent swój krytyczny doskonalić powinni i zawsze w równi z wiekiem postępować. Im zawilsze stosunki towarzyskie, tym więcéj praw i zwyczajów, tym uczeńsi muszą

być prawnicy z powołania i sędziowie. Dziwną sprzecznością w literaturze naszéj, mieliśmy uczonych poetów i mówców, ale teoretycy nasi, zacząwszy od grammatyków aż do estetyków, żyli tylko kąskami prawideł wyniesionych ze szkoły, zresztą ciemni i pełni przesądów z niewiadomością połączonych. Historya literatury naszéj ma tu niejakie z polityczną podobieństwo. Mieliśmy dobrych żołnierzy, zacnych obywateli, ale, w ostatnich szczególniéj czasach, wdzierali się do stanowienia praw i administrowania wojska ludzie bez żadnéj nauki i doświadczenia; w równie nędznym stanie było prawoznawstwo i administracya literacka. Już Mroziński gruntownie ocenił wysławionych w Warszawie grammatyków; retorowie oczekują jeszcze téj smutnéj pogrzebowéj posługi. W kilku przynajmniéj słowach porównajmy ich z autorami. Trembecki na poetę był uczonym mężem, znał filozoficznie starożytną literaturę, francuzką zgłębił, ojczystą Zygmuntowską przeczytał i cenić umiał. Dzieła Krasickiego okazują różnostronne kształcenie się poetyckie na wzorach ła-

cińskich, włoskich i francuzkich. Niemcewicz w piérwszych zaraz pracach nie ograniczał się naśladownictwem, utworzył sam nowe formy historycznéj komedyi i historycznych śpiewów, [1]) nie podług retoryki Dekoloniusza, ale

---

[1]) Na początku szesnastego wieku a może i wcześniéj, przedstawiano u nas dyalogi, misterye, to jest historye z Pisma Świętego i mitologii wyjęte. Była więc gotowa popularna forma dramatu. Gdyby wówczas który poeta z talentem wziął się za podobne przedmioty, wybrał z nich dramatyczniejsze, formę przedstawienia udoskonalił, styl uszlachetnił, utworzyłaby się może powoli sztuka dramatyczna narodowa, jaką szczycą się Hiszpanie i Anglicy. Jan Kochanowski, ukształcony we Włoszech, wzgardził widowiskiem tak niekształtném i drama podług wzoru greckiego napisał, dla narodu nie interessujące, a przez zły wybór formy, dla poezyi nawet niewdzięczne. Przecież Kochanowski ma tę wielką zaletę, że znając starożytność grecką lepiéj niż późniejsi klassycy, starał się ją wiernie oddać. Grecy Kochanowskiego przypominają bohaterów Homera; Grecy naszych klassyków są istotami urojonemi. Żaden z krajowych krytyków nie zwrócił na to uwagi. Cieszono się

stosownie do potrzeb czasu. Mówcy za Stanisława Augusta żyjący, politycznem i cywilném kształceniem się usiłowali wyrównywać obcym i ciągle iść z postępem wieku. Przeciwnie teoretycy z litością na mówców wołali: „isti

---

tylko, że *Odprawa posłów* jest sztuką regularną. Przy odrodzeniu się nauki, w saméj tylko Warszawie kwitnęła literatura, a tam już nie czas było wskrzeszać dyalogi. Julian Niemcewicz, czy to głębokiém nad sztuką rozmyślaniem, czy instynktem właściwym talentowi, przeczuł potrzebę wieku i wpadł na szczęśliwą myśl wystawiania osób historycznych, zachowując im koloryt miejscowy i rysy epoki w któréj żyli, mowie nawet, dla powiększenia illuzyi, starożytny, Zygmuntowskiéj epoki nadał charakter. (Drama: Kazimierz Wielki). W podobnéj myśli, lubo znacznie przedtém, napisał Göthe drama *Götz von Berlichingen* i sprawił epokę w literaturze. Teraz we Francyi sceny historyczne wróżą nowy dla Europy rodzaj dramatyczny, od formy Greckiéj, Szekspirowskiéj i Kalderonowskiéj różny. Niemcewicz nie mógł ani tak szczęśliwie idei swojéj rozwinąć, ani takich sprawić skutków, bo Göthemu już Herder i Lessyng utorowali drogę, a do Francyi wpływ Niemców,

homines, me hercule, habent talentum, sed non docti, rhetoricam non frequentaverunt, non

---

podniesione historyczne nauki, wpływ romansów Walter Skota i ogromna liczba memoarów, ułatwiły wstęp temu nowemu dramatycznemu rodzajowi. U nas teraz, nawet po pracach samego Niemcewicza, Czackiego, Lelewela, Bandtków, jeszcze wielka kompozycya historyczna, epopeja lub drama, na długie czasy zostanie przedsięwzięciem nad siły poetów, kiedy jeszcze tak mało pomniejszych narodowéj poezyi rodzajów rozwiniono. O tych rodzajach niektórzy teoretycy i czytelnicy dotąd jeszcze dziwne mają wyobrażenie. Myślą naprzykład, że miejsca pospolite, maxymy i morały, z równą emfazą od Greków, Rzymian, Turków i Amerykanów na teatrze francuzkim deklamowane, potłumaczone na polskie, gładkim wierszem, jeśli się zaczynają od słów „*Jakiż mię zapał porywa—Muzo wspieraj mój lot* i t. p." robi się z tego narodowa oda; jeżeli zaś pokrajane w dialog włożą się w usta Samborom, Jaxom, robi się narodowe drama; jeżeli nakoniec wychodzą na świat w kształcie poematu, noszącego tytuł na *ada*, zaczynającego się od „*ja śpiewam*" z przydaniem potrzebnych allegoryi i tak nazwanych machin, tworzą wtenczas narodową epopeję.

illuminant orationem figuris, ubi est hypotyposis, aposiopesis, prosopopœja, sustentatio, prætermissio?" U późniejszych zostały się też same formy, też same prawidła, jakie w czasie upadku oświecenia w Polsce panowały. Uczeńsi przymieszali tylko nieco z francuzkich elementarnych xiążek. Piramowicz, jeden z najuczeńszych, w czasie kiedy wysokie o sztuce myśli Lessynga, Homa, Hotczesona, Borka, Smita, zajmowały Europę, Piramowicz nie może wyjrzéć za granicę retoryki szkolnéj. Xiądz Golański i Franciszek Dmochowski, w prozaicznych i wierszowanych teoryach, śmieją się sobie z Szekspira, *pewnego Angielczyka*, którego teatr, jak tego łatwo dowieść można, ani w oryginale, ani w tłumaczeniu nie był im znajomy: natrząsają się z Kalderona, *pewnego wierszopisa z zaśnieżnéj Pireny* i z Lopez de Vega, lubo ich dzieł w oczy nawet nie widzieli. Zuchwałość taka pochodzi z dotąd trwającego u nas przesądu, że można nieznane dzieła bez krytyki na cudzą wiarę sądzić, naprzykład Kalderona na wiarę Boala, a Szekspira podług wyroków Woltera.

Nie małéj trzeba odwagi, mówi uczony Mroziński, ażeby się targnąć na grammatyczną Kopczyńskiego powagę. Niemniéj trzeba męstwa, choć może nie tyle nauki, ażeby Franciszka Dmochowskiego krytyczne usposobienie i działanie ocenić. Jestto patryarcha krytyków warszawskich i wzór ich szkoły. Jak niegdyś w Paryżu nazywano Laharpa Kwintylianem francuzkim, a w Warszawie Kopczyńskiego Lomondem (dla uczczenia), tak Dmochowski nazwany był Laharpem, [1]) a w Wilnie Słowacki Dmochowskim. Dziedziczenie tytułów w linii prostéj i kollateralnéj było bardzo w modzie. Powstać przeciw Franciszka Dmochowskiego krytycyzmowi w Warszawie, jest to, że powiem słowami Byrona, rozprawiać w Konstantynopolu, w meczecie Sofijskim, o niedorzecznościach Alkoranu, spuszczając się na świa-

---

[1]) Zdania własne Laharpa o literaturze starożytnéj, nigdy żadnéj u uczonych nie miały powagi; zdania jego o literaturze francuzkiéj, powierzchowne i częstokroć fałszywe, wytykają sami Francuzi, mianowicie Wilmen.

tło i tolerancyą Ulemów. Zapewne, jako tłumacz poezyi, Dmochowski nie małe położył w literaturze zasługi. Sięgał on jeszcze czasów Stanisława Augusta, i właśnie charakteryzuje epokę przejścia z oryginalnéj i silnéj poezyi do lękliwego, niewolniczego naśladownictwa. Talent tłómacza Iliady, lubo pozbawiony mocy oryginalnéj, zachował pewną śmiałość i życie, przynajmniéj w tłumaczeniach puszcza się na obszerne i wielkie przedsięwzięcia. Przy miernéj znajomości łaciny i literatury francuzkiéj, Dmochowski, zwyczajem Augustowskich pisarzy, znał jeszcze dawną ojczystą Zygmuntowską literaturę; chociaż do języka poetyckiego stosował więcéj niż należało prawidła grammatyki francuzkiéj, niezupełnie jeszcze zaślepiony, czuł i cenił śmiałość, bogactwo i rozmaitość stylu Zygmuntowskiéj epoki, dziwił się nowym Trembeckiego wyrażeniom i mimo małych uchybień, oddawał sprawiedliwość wielkim i licznym Karpińskiego zaletom. We własnych pismach, pracą i usilnością doskonalił styl swój, zrazu niedbały, ciężki i twardy. Wielka jest pod tym względem różnica między

sztuką rymotwórczą a przekładem Homera. W ostatnich zwłaszcza pieśniach Iliady, wiersze harmonijne, w wyrażeniach ścisłe i lubo wszelkiéj śmiałości poetyckiéj pozbawione, nie zmieniają się w rymowaną prozę. [1]) Tenże Dmochowski, jako uczony, jako krytyk, niskie bardzo zajmuje w naszéj nawet literaturze miejsce, a śmiałość, która go w poetycznych pracach do wyższych podniecała przedsięwzięć, w krytyce dała zgubny przykład coraz zuchwalszym następcom. Dmochowski pracował nad tłumaczeniem Iliady w epoce, kiedy prolegomena Wolfa o Homeridach zwróciły powszechną filologów uwagę. Wielki spór literacki, może najważniejszy w dziejach krytyki nowożytnéj, dzielił uczonych angielskich i niemieckich, zajął nawet Francyę, gdzie nauki starożytne w nędznym były stanie. Nasz tłumacz Iliady, wielkiego, wiele lat pracy kosztu-

---

[1]) Styl poezyi homerycznych, tok opowiadania właściwy Iliadzie, zniknął albo się zupełnie odmienił w tłumaczeniu. Dmochowski ani historycznie ani krytycznie poezyi homerycznych nie rozumiał.

jącego dzieła, tyle tylko o Homerze w przedmowie powiedzieć umie, ile w podróżach Anacharsysa wyczytał. Ze wszystkich uczonych o Homerze piszących, od Wolfa do Benjamina Constant, nikt jeszcze nie odwoływał się do powagi Bartelemi. Cóż powiedzieć o przypiskach do Iliady, gdzie Homer z Wirgiliuszem, Tassem i podobno z Wolterem porównywany i to w jaki sposób? Oto pojedyncze okresy lub wiersze powyrywane, potłumaczone i obok siebie postawione. Jeśli można odgadnąć zamiar tłumacza, chciał on dać wyobrażenie o różnicy talentu, czyli stylu tych poetów, obnosząc, jak ów architekt, cegiełki ze świątyń Iliady i Jerozolimy wyzwolonéj. W dziewiętnastym wieku zdaje się, że czytamy pedantskiéj pamięci Vossiusza rozprawy i dziecinne jego na podobnych zasadach oparte zdania. Szkoła poetycka Dmochowskiego, to jest naśladowców i tłumaczów z francuzkiego, spółczesnych i późniejszych, o ile pomnażała się liczbą, o tyle ścieśniała widoki, ograniczała się w nauce i drobniała w talentach. Łacina do reszty wyszła była z mody,

o greczyznie mówić przestano i tym więcéj broniono klassyków, im więcéj zaniedbywano klassyczne języki. Nakoniec, literatura francuzka, cząstka literatury powszechnéj, stała się alfą i omegą naszych uczonych. Zamiast Iliady, Eneidy, Raju utraconego, tłumaczono dziesięcioletnią pracę Delila, Leguvé, Kolarda, następnie różne ody, epitry, tragedye i komedye, zachwalone w dziennikach paryzkich. Po długim przeciągu czasu, kiedy już o tych tworach w Paryżu zapomniano, wychodziły one u nas i wzbudzały entuzyazm krytyków. Co do stylu, wszyscy prawie tłumacze długą wprawą doszli do tego, że wszyscy równie poprawni, równie od prowincyonalizmów i nowych wyrażeń wolni, wszyscy dobrze piszą wiersze. Wiersze te dziwnie do siebie podobne, zdają się z jednego kruszcu, z jednéj pochodzić mennicy. Sprawdziło się filozoficzne przysłowie, że chcąc dwie rzeczy zupełnie do siebie podobnemi uczynić, naprzód im życie odjąć potrzeba. Czy to tłumaczenia Moliera, czy Iliady, Miltona czy Leguvé, jeden wszędzie tok wiersza, styl, ledwie nie rymy. Franci-

szek Salezy Dmochowski nazywa to ciągłym postępem narodowéj poezyi. Nie ujmujemy zasługi ostatnim tłumaczom: oni wszyscy razem ledwie nie dokonali w Polsce tego, co Defokonpre jeden dla Francyi zrobił, lubo Defokonpre i ważniejsze dzieła i w większéj liczbie potłumaczył.

Smutniejszy jeszcze widok, jeśli być może smutniejszy, przedstawia szkoła krytyczna w téj epoce. Jéj *corpus juris* składały kursa literatury, w liceach i prytaneach francuzkich naówczas używane, przedmowy znajdujące się na czele dzieł Kornela, Rasyna i Woltera, rozbiory *(Examen du Cid, du Polyeucte etc.)* i komentarze, wspominające jeszcze o sporach ze Skiuderym i Szaplenem, uwagi retoryczne i grammatyczne nad wierszami francuzkiemi. Tak bogato w wiadomości opatrzeni krytycy, zaczynali pospolicie od nadania autorom pewnych tytułów; jednego zowiąc polskim Kornelem, drugiego Pindarem, innego znowu xiążęciem mowców lub poetów. Szczęśliwszym dostawało się kilka razem donacyi i tytułów. Któryś z młodych recenzentów warszawskich

nazwał to dowcipnie literacką maskaradą. W ocenieniu szczegółowém autorów i ich porównywaniu powtarzały się wiecznie owe szkolne topiki: ten np. autor lekki, dowcipny, zabawny, tamten ponury, smutny, górny i t. p. Jeżeli który z Ixów, zastanawiając się nad tragedyą, wzniósł się do wyższych spekulacyi, do rozpraw o trzech jednościach i pokazał, że jednéj lub drugiéj braknie w sztuce, jeśli dostrzegł, że między sceną a sceną próżny został teatr, dowiódł, że w téj lub w owéj scenie trzeba sobie wyobrażać przysionek zamiast sieni, zdumiewano się nad talentem i wiadomościami takowego Ixa. W wyroku o stylach albo raczéj o stylu, bo jeden tylko styl znano, do jednego dążono, wyłączną powagę miały retoryczne i grammatyczne o wierszach francuzkich przepisy. Najwięcéj też lubiono krytykę drobiazgową, bo po wygadaniu się o trzech jednościach, o poetykach Horacego i Boala, już się uwag ogólnych przebierało. Okresy więc, wiersze szczególne, wyrazy, całą zajęły uwagę. Zabawnie było widzieć recenzentów, obracających spólnemi siłami je-

dno wyrażenie lub wiersz, często niegodny uwagi, ciągnących go mozolnie na forum krytyczne, jak mrówki Karpińskiego tuszę muchy lub ćwierć robaczka i ledwie nie upadających pod tak wielkim ciężarem. [1])

W takim stanie krytyki, godne uwagi i budujące jest dobre porozumienie sąsiedzkie [2])

---

[1]) Zob. w Gazecie Polskiéj 1827 siedm artykułów o przekładzie jednéj zwrotki z Lefran Pompinian. Lefran Pompinian ze wszystkiemi swemi dziełami ledwie zasługuje na wspomnienie w literaturze francuzkiéj.

[2]) Autor Historyi Literatury nie poważa się dzieł oceniać. „Miałemże, powiada, dla osób zwłaszcza żyjących o wszelkich zapomnieć względach? przez słuszność i związki *towarzyskiego pożycia* uczynić tego nie śmiałem. Natomiast zdania obce, zwłaszcza tak przyzwoitych sędziów, jakimi są Ludwik Osiński, Stanisław Potocki, Franciszek Dmochowski, wiernie przytaczam. „Wybierzmy losem niektóre. Stanisław Potocki o tłumaczeniu Iliady mówi: „Dmochowski przelał *myśli autora* (Homera) z wielką gładkością na język ojczysty. Jeszcze mi się nie trafiło wciąż przeczytać dwie lub trzy

w jakiém krytycy z sobą i z autorami żyli, uszanowanie z jakiém zobopólne wyroki przyjmowali, i skrupulatność, z jaką je dosłownie z ust do ust, z pióra do pióra przelewali. Zdanie Xiędza Golańskiego przytacza Franciszek Dmochowski, Franciszka Dmochowskiego przytacza Ludwik Osiński, wszystkich

---

pieśni z dawniejszych tłumaczeń (więc nie czytał przedtym Iliady!) bez jakiejś tęsknoty (?). Przeczytałem Dmochowskiego wciąż i z upodobaniem." Czytałże kto podobne zdanie w jakiejkolwiek historyi literatury? Jestto właśnie jeden ze szczególnych charakterystycznych przymiotów Iliady, że w niéj nigdzie autor nie wychodzi na scenę i myśli własnych nie objawia. Możnaż powiedzieć, że pieśni téj cudownéj epopei, *są to myśli autora* (Homera) o wojnie Trojańskiéj? Xiądz Baka pisał wierszem *Uwagi o śmierci niechybnéj*. Jego biograf twierdzi żartobliwie, że Milton pisał równie wierszem uwagi nad rajem utraçonym. Nie obrażę tą uwagą szacownych cieniów Stanisława Potockiego. Wielki mówca i zasłużony mąż ojczyznie nie utraci przez to sławy, że się niepotrzebnie wdawał w retorykę i krytykę. Szanowalibyśmy słabość

przytacza Stanisław Potocki, wszyscy przytaczają Stanisława Potockiego. Zdania te koncentrują się na chwilę w historyi literatury Bentkowskiego, zkąd w różnych przytaczaniach, kanałem dzienników, przedmów i mów pochwalnych do swoich źródeł wracają. Utrzymuje się tym sposobem w Warszawie w cią-

---

męża i pokrylibyśmy milczeniem jego uchybienia, ale mógłże professor literatuty w Warszawie, Osiński, przytaczać owo zdanie jako nader *ważne*, a professor historyi powtarzać je jako nader *poważne*.—Str. 306 „Trembecki prawdziwy okazał talent rymotwórczy, łączy bowiem w poezyach swoich śmiałość Pindara z gustem Horacego, a słodyczą Safony." Gdyby kto powiedział o kompozytorze muzycznym, że jest razem Mozartem, Rossynim, Humlem i Orfeuszem! albo o malarzu, że ma styl Rafaela, Rembrandta, Dawida i Apellesa! O charakterze poezyi Safony wiemy tylko z podania, bo dzieł jéj ledwo drobne zostały ułamki. (Odaria duo integriora et cetera carminum frustula. *Grodeck.*) Wyjaśniać zalety Trembeckiego, porównywając charakter jego poezyi do charakteru pieśni Safony, jest to objaśniać przez rzecz dość

głym obiegu pewna liczba zdań, niemających gdzieindziéj żadnéj wartości, jak na Żmudzi ciągle krążą stare talary holenderskie i orty.

Téj krytycznéj szkoły dotąd istnieją w Warszawie zwolennicy, coraz w przykrzejszém i zabawniejszém względem Europy położeniu. Wszystko się koło nich w literaturze od Gi-

---

ciemną. Dodajmy, że słodkość nie była szczególnym i głównym przymiotem dzieł Safony: przyznawano jéj vim, gratiam i nakoniec dulcedinem. Zdanie o Trembeckim zasługuje na uwagę. Trudno jest w mniejszéj liczbie wyrazów zawrzéć więcéj niedorzeczności. Str. 303. „Kniaźnin w pieśniopisarstwie niepoślednie trzyma miejsce: imaginacya żywa, obrazy dowcipne (?) i bardziéj przez swą łachotliwość niż śmiałość, wymuszające na czytelniku pewien rodzaj zdziwienia, tudzież drażliwe schlebianie zmyślności, znamionują poezye Kniaźnina." Nie wymienił Bentkowski, któryto z *przyzwoitych* sędziów ferował tak głęboko pomyślany wyrok. O Józefie Lipińskim słowa St. Potockiego. „Mało wierszy swoich powierzył publiczności, ale to co powierzył jest tak dobrze wyrobione, że małém być przestaje." Nie znamy dobrze języka

braltaru do morza Białego zmieniło: oni na poetyce szkolnéj, jak na kotwicy, stoją nieporuszeni. Słabiejącą odwagę krzepią czytaniem broszurek i kilku dzienników francuzkich, najmniéj w Francyi czytanych. Możnaby ich porównać do owych prawodawców naszych, na

---

matematycznego, ale zdaje się nam, że to co przestaje być małém, przechodzi w mniejszość lub nicość. Józef Lipiński nieszczęśliwie *wyrabiał* tłumaczenia Wirgiliusza i Tassa. Dawniéj Simonowicz naśladował i częściami tłumaczył Bukoliki, a Piotr Kochanowski Jerozolimę. Porównywając dawne tłumaczenia, mniéj poprawne, lecz pełne życia, śmiałe i bogate w wyrażenia, z Lipińskiego suchym i prozaicznym wierszem, najlepiéj możnaby pokazać manierę nowéj szkoły i dowieść, jak wiele nasi tłumacze, na francuzczyznie tylko zaprawieni, przynieśli szkody mowie ojczystéj. Odarto ją rzeczywiście ze wszelkich ozdób stylu, zdjęto że tak powiem szatę i nawet ciało z myśli i uczuć, a wiersze zamieniono na ciąg syllogizmów. Inne zdania są lakoniczniejsze, np. Str. 312. „Osiński Ludwik prawdziwym okazał się lirykiem (?) „tamże: „Koźmian prawdziwym okazał się poetą lirycznym."

mocy konstytucyi, któréj nie rozumieli, obstających za władzą hetmańską i liberum veto, i mimo przyjętéj w ościennych krajach nowéj taktyki, przeciwiających się zagranicznemu autoramentowi i przekonanych, że, oprócz kawaleryi narodowéj, wszystko jest czczym niemieckim wymysłem. Daremnie do nich Krasicki, a my z Krasickim wołamy do tak nazwanych klassyków:

Trzeba się uczyć, upłynął czas złoty.

Już krytyka historyczna w dziejach naszych zajaśniała, już w prawoznawstwie metoda historyczna wypędziła dawny dogmatyzm, krytyka literacka jeszcze zupełnie scholastyczną została. Dzisiaj, że Wschód pominę, w saméj Europie tylu narodów, tak bogate literatury stoją otworem. Sami Francuzi, wyrzekłszy się wmawianéj przez szkołę Woltera swojéj wyłącznéj cywilizacyi, uczą się, tłumaczą, nowe tworzą rodzaje. Nasi uczeni, oprócz literatury francuzkiéj do połowy ośmnastego wieku, nic godnego uczenia się nie widzą. Rozumują z Kalifem Omarem, że albo wszystkie obce literatury zgodne są z poetyką

Boala i wtenczas mniéj potrzebne, albo niezgodne, a zatém szkodliwe. Obstają niby przy starożytności, przy klassyczności, jakże niesumiennie nadużywają tych wyrazów? Toż oni nie umiejąc łaciny, nie mając pojęcia o greczyznie, chcą uczyć Anglików i Niemców, jak starożytną sztukę cenić i czuć należy, o ile formy jéj naśladować wolno! Dziś, kiedy w tylu językach tyle arcydzieł tak różnych zajmuje uwagę Europy, ażeby je sądzić, ażeby ogólne o sztuce czynić uwagi, trzeba talentów i różnostronnéj nauki Szleglów, Tika, Sismondego, Hazlita, Gizo, Wilmena i redaktorów Globu.. Jakże ku temu dążą recenzenci ze szkoły xiędza Golańskiego i Franciszka Dmochowskiego? Jedni śmieją się z Göthego, którego dzieła na całym ucywilizowanym świecie, aż do rogatek warszawskich, tłumaczono, czytano i ceniono; drudzy cieszą się, *że nie umieją po hollendersku i nie czytają Lessynga*; inni radzą nawet wyciągnąć *kordon zdrowia*, ażeby przypadkiem nauka nie wkradła się z zagranicy. Téj blokady rozumu, acz potrzebnéj do utrzymania w cenie wyrobów wierszowych

warszawskich, nie uznaje publiczność. Oświadczyli się przeciwko niéj, w saméj Warszawie, niektórzy poeci i teoretycy. Zaraza obcych nauk szerzy się tak dalece, że nawet prawowierni klassycy przytaczają imiona Göthego, Mura, Byrona: imion tych wielkich nie należałoby wzywać nadaremnie, kiedy dzieła ich jeszcze tak mało znane, tak rzadko dostają się za kordon klassyczny. Rozprawiać zaś o tych dziełach, tudzież o sztukach i o poezyi w ogólności, z zapasem tylko szkolnych prawideł i z Laharpem, można za stołem lub w salonie, ale z piórem w gazecie literackiéj już się nie godzi. Recenzenci klassyczni warszawscy, stanowiący śmiało i zarozumiale o ważnych przedmiotach literatury, podobni są do miasteczkowych polityków, którzy, nie czytając nawet gazet zagranicznych, wyrokują o tajemnicach gabinetów i działaniach wodzów. Szczęśliwi!

Pisałem w Petersburgu 1828 r.

Objaśnienie niektórych wyrazów.

Bisior, rodzaj materyi przedniejszéj od purpury.
bułat, szabla z główną szeroką, szabla turecka.
buta, pycha—*car*, podbiał, lepieżnik, ziele.
cmoknąć, mlasnąć, jak np. głaszcząc konia, zatém wciągać w siebie powietrze ściśnionemi usty.
cząbr, ziele, satureja hortensis.
czeremcha, smrodynia, pocierpka, krzewina do rodzaju porzeczki należąca.
czerń, pospólstwo, mnóstwo, chrześcianie.
dąbrowa, gaj dębowy—*dosiwek*, koniec siewu.
dożynek, wieniec—*drzewce*, kopia, pika.
duby smalone, (baje, bezsensa) bredzić (pleść).
dżuma, powietrze zaraźliwe.
giaur, imie zelżywe, które Turcy chrześcianom dają.
imo, mimo—*jaskier*, żabinek, kwiat.
jemioła, roślina pasożytna, rośnie na dębach.
kołczan, sajdak, pochwa na strzały.
korowód, wiedzenie tańca, rej, więc taniec czyli krążenie.
krasawica, piękność—*kucya*, wilia Bożego Narodzenia.
kysz, a kysz! toż samo co *a sio!* płosząc ptastwo.
łęk, część wyniosła siodła czyli kula.
martwica, z rossyjskiego, upiór.
miano, imie—*obłęk*, okrąg.
minarety, wysokie okrągłe wieże na meczetach, z których muessyni (publiczni obwoływacze), Turków pięć razy na dzień do modlitwy wzywają.
minstrele, obchodzący w średnich wiekach angielscy i szkoccy śpiewacy, którzy na arfie lub lutni grali.

niewód, sieć wielka—*ninie,* teraz.
obszar, szeroki plac, przestrzeń.
ostrów, kępa lub wysep na rzece, jeziorze, stawie, trawą, chrostem lub drzewem porosła.
przybór, wyraz ten objaśniłem przez przywłoki: bo mi go jeden z ziomków autora tak wyłożył, jednakże lubo znaczenie to jakokolwiek odpowiada myśli w Balladzie „Świteź' w strofie 12 wyrażonéj, z tém wszystkiém wcale się nie da zastosować do innych miejsc, z których raczéj wnosić należy, że wyraz ten znaczy przysposobienie, przygotowanie.
przybory, przywłoki czyli skrzydła niewodu.
puszyk, (puszk) zdrobn. od niem. *pusch,* największe piérze ptasze; najwyższa część, to jest wierzchołek.
rapa, znaczy toż samo co *rafa,* to jest skała pod wodą, statkom niebezpieczna.
rozhowor, rozmowa.
rozłog i *rozłoga,* obszar, przestrzeń.
ruczaj, potok, struga—*sioło,* wieś.
smug, rzęd, linia—*szczelina,* rysa, szpara.
stolowanie, posowa—*strop,* pułap, sufit.
świetlica, z rossyjskiego, izba.
tumanić, zasępić, w zadumienie wprawić.
tok, naczynie rzemienne, w które jeździec kopią wstawia.
wrzkomo, niby, jakby—*zażynek,* początek żniw.
zglisko, miejsce, na którém palą umarłych.
zrąb, ściany drewniane domu, na których dachu nie dano; w dzwonicy wiązanie do dzwonów, zatém:
zrąbnica, dzwonica.

BALLADY I ROMANSE.

PIERWIOSNEK. [1])

Z niebieskich najrańszą piosnek
Ledwie zadzwonił skowronek,
Najrańszy kwiatek pierwiosnek
Błysnął ze złotych obsłonek.

JA.

Zawcześnie kwiatku, zawcześnie,
Jeszcze północ mrozem dmucha,
Z gór białe nie zeszły pleśnie,
Dąbrowa jeszcze nie sucha.

Przymruż złociste światełka,
Ukryj się pod matki rąbek,
Nim cię zgubi śronu ząbek,
Lub chłodnéj rosy perełka.

---

[1]) Primula veris.

KWIATEK.

Dni nasze jak dni motylka,
Życiem wschód, śmiercią południe;
Lepsza w kwietniu jedna chwilka,
Niż w jesieni całe grudnie.

Czy dla bogów szukasz datku,
Czy dla druha lub kochanki?
Upleć wianek z mego kwiatku,
Wianek to będzie nad wianki.

JA.

W podłéj trawce, w dzikim lasku
Urosłeś o kwiatku luby!
Mało wzrostu, mało blasku,
Cóż ci daje tyle chluby?

Ni to kolory jutrzenki,
Ni zawoje tulipana,
Ni lilijowe sukienki,
Ni róży pierś malowana.

Uplatam ciebie do wianka;
Lecz zkądże ufności tyle!
Przyjaciele i kochanka
Czy cię powitają mile?

KWIATEK.

Powitają przyjaciele
Mnie, wiosny młodéj aniołka;
Przyjaźń ma blasku nie wiele
I cień lubi jak me ziołka.

Czym kochanki godzien rączek
Powiedz, niebieska Marylko!
Za pierwszy młodości pączek
Zyskam pierwszą.... ach! łzę tylko.

ROMANTYCZNOŚĆ.

Me thinks I see.... where?
— In my mind's eyes.
Shakespeare.

Zdaje mi się, że widzę... gdzie?
Przed oczyma duszy mojéj.

Słuchaj dzieweczko!
—Ona nie słucha—
To dzień biały! to miasteczko!
Przy tobie nie ma żywego ducha.
Co tam wkoło siebie chwytasz?
Kogo wołasz, z kim się witasz?
—Ona nie słucha.—

To jak martwa opoka
Nie zwróci w stronę oka:

To strzela w koło oczyma,
To się łzami zaleje;
Coś niby chwyta, coś niby trzyma;
Rospłacze się i zaśmieje.

„Tyżeś to w nocy? to ty Jasieńku!
„Ach! i po śmierci kocha!
„Tutaj, tutaj, pomaleńku,
„Czasem usłyszy macocha!

„Niech sobie słyszy, już nie ma ciebie!
„Już po twoim pogrzebie!
„Ty już umarłeś? Ach! ja się boję!
„Czego się boję mego Jasieńka?
„Ach to on! lica twoje, oczki twoje!
„Twoja biała sukienka!

„I sam ty biały jak chusta,
„Zimny, jakie zimne dłonie!
„Tutaj połóż, tu na łonie,
„Przyciśnij mnie, do ust usta!

„Ach jak tam zimno musi być w grobie!
„Umarłeś! tak, dwa lata!
„Weź mię, ja umrę przy tobie,
„Nie lubię świata.

„Źle mnie w złych ludzi tłumie,
„Płaczę, a oni szydzą;

„Mówię, nikt nie rozumie;
„Widzę, oni nie widzą!

„Śród dnia przyjdź kiedy... To może we śnie?
„Nie, nic... trzymam ciebie w ręku.
„Gdzie znikasz, gdzie mój Jasieńku?
„Jeszcze wcześnie, jeszcze wcześnie!

„Mój Boże! kur się odzywa,
„Zorza błyska w okienku.
„Gdzie znikłeś! ach! stój Jasieńku
„Ja nieszczęśliwa."

Tak się dziewczyna z kochankiem pieści,
Bieży za nim, krzyczy, pada;
Na ten upadek, na głos boleści,
Skupia się ludzi gromada.

„Mówcie pacierze!"—krzyczy prostota—
„Tu jego dusza być musi.
„Jasio być musi, przy swéj Karusi,
„On ją kochał za żywota!"

I ja to słyszę, i ja tak wierzę,
Płaczę, i mówię pacierze.
„Słuchaj dzieweczko!" —krzyknie śród zgiełku
Starzec, i na lud zawoła:

„Ufajcie memu oku i szkiełku,
„Nic tu nie widzę do koła.

„Duchy karczemnéj tworem gawiedzi,
„W głupstwa wywarzone kuźni;
„Dziewczyna duby smalone bredzi,
„A gmin rozumowi bluźni.“

„Dziewczyna czuje“—odpowiadam skromnie—
„A gawiedź wierzy głęboko;
„Czucie i wiara silniéj mówi do mnie,
„Niż mędrca szkiełko i oko.“

„Martwe znasz prawdy, nieznane dla ludu,
Widzisz świat w proszku, w każdéj gwiazd iskierce;
Nie znasz prawd żywych, nie obaczysz cudu!
Miéj serce, i patrzaj w serce!“

ŚWITEŹ.

BALLADA.

Do Michała Wereszczaki.

Ktokolwiek będziesz w Nowogródzkiéj stronie,
Do płużyn ciemnego boru
Wjechawszy, pomnij zatrzymać twe konie,
Byś się przypatrzył jezioru.

Świteź tam jasne rosprzestrzenia łona,
W wielkiego kształcie obwodu,
Gęstą po bokach puszczą oczerniona,
A gładka jak szyba lodu.

Jeżeli nocną przybliżysz się dobą
I zwrócisz ku wodom lice,

Gwiazdy nad tobą, i gwiazdy pod tobą,
I dwa obaczysz xiężyce.

Niepewny czyli szklanna s pod twéj stopy
Pod niebo idzie równina,
Czyli też niebo swoje szklanne stropy
Aż do nóg twoich ugina.

Gdy oko brzegów przeciwnych nie sięga,
Dna nie odróżnia od szczytu,
Zdajesz się wisieć w środku niebokręga,
W jakiejś otchłani błękitu.

Tak w noc, pogodna jeśli służy pora,
Wzrok się przyjemnie ułudzi;
Lecz żeby w nocy jechać do jeziora,
Trzeba być najśmielszym z ludzi.

Bo jakie szatan wyprawia tam harce!
Jakie się larwy szamocą,
Drżę cały kiedy bają o tém starce,
I strach wspominać przed nocą.

Nieraz śród wody gwar jakoby w mieście,
Ogień i dym bucha gęsty,
I zgiełk walczących i wrzaski niewieście
I dzwonów gwałt i zbrój chrzęsty.

Nagle dym spada, hałas się uśmierza,
Na brzegach tylko szum jodły,
W wodach gadanie cichego pacierza,
I dziewic żałosne modły.

Co to ma znaczyć? różni różnie plotą,
Cóż kiedy nie był nikt na dnie;
Biegają wieści pomiędzy prostotą,
Lecz któż z nich prawdę odgadnie?

Pan na Płużynach, którego pradziady
Były Świtezi dziedzice,
Zdawna przemyślał i zasięgał rady,
Jak te zbadać tajemnice.

Kazał przybory w bliskiém robić mieście,
I wielkie sypał wydatki;
Związano niewód głęboki stóp dwieście,
Budują czółny i statki.

Ja ostrzegałem, że w tak wielkiém dziele,
Dobrze, kto z Bogiem poczyna,
Dano więc na mszą w niejednym kościele,
I xiądz przyjechał s Cyryna.

Stanął na brzegu, ubrał się w ornaty,
Przeżegnał, pracę pokropił,

Pan daje hasło: odbijają baty,
Niewód się s szumem zatopił.

Topi się, pławki na dół s sobą spycha,
Tak przepaść wody głęboka.
Prężą się liny, niewód idzie s cicha:
Pewnie nie złowią ni oka.

Na brzeg oboje wyjęto już skrzydło,
Ciągną ostatek więcierzy;
Powiemże jakie złowiono straszydło?
Choć powiem, nikt nie uwierzy.

Powiem jednakże; nie straszydło wcale,
Żywa kobiéta w niewodzie,
Twarz miała jasną, usta jak korale,
Włos biały skąpany w wodzie.

Do brzegu dąży: a gdy jedni s trwogi
Na miejscu stanęli głazem,
Drudzy zwracają ku ucieczce nogi,
Łagodnym rzecze wyrazem:

„Młodzieńcy, wiecie że tutaj beskarnie
Dotąd nikt statku nie spuści,
Każdego śmiałka jezioro zagarnie
Do nieprzebrnionych czeluści.

„I ty zuchwały, i twoja gromada,
Wrazbyście poszli w głębinie,
Lecz że to kraj był twojego pradziada,
Że w tobie nasza krew płynie;

„Choć godna kary jest ciekawość pusta,
Lecz żeście z Bogiem poczęli,
Bóg wam przez moje opowiada usta,
Dzieje téj cudnéj topieli.

„Na miejscach, które dziś piaskiem zaniosło,
Gdzie car i trzcina zarasta,
Po których teraz wasze biega wiosło,
Stał okrąg pięknego miasta.

„Świteź i w sławne orężem ramiona,
I w kraśne twarze bogata,
Niegdyś od xiążąt Tuhanów rządzona
Kwitnęła przez długie lata.

„Nie ćmił widoku ten ostęp ponury;
Przez żyzne wskróś okolice,
Widać stąd było nowogródzkie mury,
Litwy naówczas stolicę.

„Raz niespodzianie obległ tam Mendoga
Potężném wojskiem Car z Rusi,

Na całą Litwę wielka padła trwoga,
Że Mendog poddać się musi.

„Nim ściągnął wojsko z odległéj granicy,
Do ojca mego napisze:
„Tuhanie! w tobie obrona stolicy,
„Śpiesz, zwołaj twe towarzysze.“

„Skoro przeczytał Tuhan list xiążęcy,
I wydał rozkaz do wojny,
Stanęło zaraz mężów pięć tysięcy,
A każdy konny i zbrojny.

„Uderzą w trąby, rusza młodź, już w bramie
Błyska Tuhana proporzec,
Lecz Tuhan stanie i ręce załamie,
I znowu jedzie na dworzec.

„I mówi do mnie: jaż własnych mieszkańców
Dla obcéj zgubię odsieczy?
Wszak wiész, że Świteź nie ma innych szańców,
Prócz naszych piersi i mieczy.

„Jeśli rozdzielę szczupłe wojsko moje,
Krewnemu nie dam obrony;
A jeśli wszyscy pociągniem na boje,
Jak będą córy i żony?

„Ojcze, odpowiem, lękasz się niewcześnie,
Idź kędy sława cię woła;
Bóg nas obroni: dziś nad miastem we śnie,
Widziałam jego anioła.

„Okrążył Świteź miecza błyskawicą
I nakrył złotemi pióry,
I rzekł mi: póki męże za granicą,
Ja bronię żony i córy.—

„Usłuchał Tuhan i za wojskiem goni,
Lecz gdy noc spadła ponura,
Słychać gwar zdala, szczęk i tentent koni,
I zewsząd straszny wrzask: ura!

„Zagrzmią tarany, padły bram ostatki,
Zewsząd pocisków grad leci,
Biegą na dworzec starce, nędzne matki,
Dziewice i drobne dzieci.

„Gwałtu! wołają, zamykajcie bramę,
Tuż, tuż za nami Ruś wali.
Ach! zginńmy lepiéj, zabijmy się same,
Śmierć nas od hańby ocali!

„Natychmiast wściekłość bierze miejsce strachu;
Miecą bogactwa na stosy,

Przynoszą żagwie i płomień do gmachu,
I krzyczą strasznemi głosy:

„Przeklęty będzie, kto się nie dobije!
Broniłam, lecz próżny opór,
Klęczą, na progach wyciągają szyje,
A drugie przynoszą topór.

„Gotowa zbrodnia; czyli wezwać hordy
I podłe przyjąć kajdany,
Czy bezbożnemi wytępić się mordy?
Panie! zawołam, nad pany;

„Jeśli nie możem ujść nieprzyjaciela,
O śmierć błagamy u ciebie;
Niechaj nas lepiéj twój piorun wystrzela,
Lub żywych ziemia pogrzebie.

„Wtém jakaś białość nagle mię otoczy,
Dzień zda się spędzać noc ciemną,
Spuszczam ku ziemi przerażone oczy,
Już ziemi nie ma podemną.

„Takeśmy uszły zhańbienia i rzezi;
Widzisz to ziele dokoła,
To są małżonki i córki Świtezi,
Które Bóg przemienił w zioła.

„Białawém kwieciem, jak białe motylki,
Unoszą się nad topielą;
Liść ich zielony, jak jodłowe szpilki,
Kiedy ją śniegi pobielą.

„Za życia cnoty niewinnéj obrazy,
Jéj barwę mają po zgonie,
W ukryciu żyją i nie cierpią skazy,
Śmiertelne nie tkną ich dłonie.

„Doświadczył tego Car i Ruska zgraja;
Gdy piękne ujrzawszy kwiecie,
Ten rwie i szyszak stalony umaja,
Ten wianki na skronie plecie;

„Kto tylko ściągnął do głębiny ramię,
Tak straszna jest kwiatów władza,
Że go natychmiast choroba wyłamie,
I śmierć gwałtowna ugadza.

„Choć czas te dzieje wymazał s pamięci,
Pozostał sam odgłos kary,
Dotąd w swych baśniach prostota go święci,
I kwiaty nazywa cary."

To mówiąc, pani zwolna się oddala,
Topią się statki i sieci,

Szum słychać w puszczy, poburzona fala
Z łoskotem na brzegi leci.

Jezioro do dna pękło nakształt rowu,
Lecz próżno za nią wzrok goni,
Wpadła i falą nakryła się znowu,
I więcéj nie słychać o niéj.

ŚWITEZIANKA. [1]

BALLADA.

Jakiżto chłopiec piękny i młody?
Jakato obok dziewica?
Brzegami sinéj Świteziu wody
Idą przy świetle xiężyca.

Ona mu z kosza daje maliny,
A on jéj kwiatki do wianka;
Pewnie kochankiem jest téj dziewczyny,
Pewnie to jego kochanka.

---

[1]) Jest wieść, że na brzegach Świtezi pokazują się Ondiny czyli Nimfy wodne, które gmin nazywa *Świteziankami.*

Każdą noc prawie, o jednéj porze
Pod tym się widzą modrzewiem,
Młody jest strzelcem w tutejszym borze,
Kto jest dziewczyna? ja nie wiem.

Skąd przyszła? darmo śledzić kto pragnie;
Gdzie uszła? nikt jéj nie zbada.
Jak mokry jaskier wschodzi na bagnie,
Jak ognik nocny przepada.

„Powiedz mi piękna, luba dziewczyno,
Na co nam te tajemnice,
Jaką przybiegłaś do mnie drożyną?
Gdzie dom twój, gdzie są rodzice?

„Minęło lato, zżółkniały liścia
I dżdżysta nadchodzi pora,
Zawsze mam czekać twojego przyjścia
Na dzikich brzegach jeziora?

„Zawszeż po kniejach, jak sarna płocha,
Jak upiór błądzisz w noc ciemną?
Zostań się lepiéj s tym, kto cię kocha,
Zostań się, o luba! ze mną.

»Chateczka moja stąd niedaleka
Pośrodku gęstéj leszczyny;

Jest tam dostatkiem owoców, mleka,
Jest tam dostatkiem zwierzyny.«

»Stój, stój, odpowie, hardy młokosie,
Pomnę, co ojciec rzekł stary:
Słowicze wdzięki w mężczyzny głosie,
A w sercu lisie zamiary.

Więcéj się waszéj obłudy boję,
Niż w zmienne ufam zapały,
Możebym prośby przyjęła twoje;
Ale czy będziesz mnie stały?«

Chłopiec przyklęknął, chwycił w dłoń piasku,
Piekielne wzywał potęgi,
Klął się przy świetnym xiężyca blasku,
Lecz czy dochowa przysięgi?

„Dochowaj, strzelcze, to moja rada:
Bo kto przysięgę naruszy,
Ach biada jemu, za życia biada!
I biada jego złéj duszy!«

To mówiąc dziewka, więcéj nie czeka,
Wieniec włożyła na skronie,
I pożegnawszy strzelca zdaleka,
Na zwykłe uchodzi błonie.

Próżno się za nią strzelec pomyka,
Rączym wybiegom nie sprostał,
Znikła jak lekki powiew wietrzyka;
A on sam jeden pozostał.

Sam został, dziką powraca drogą,
Ziemia uchyla się grząska,
Cisza w około, tylko pod nogą
Zwiędła szeleszcze gałąska.

Idzie nad wodą, błędny krok niesie,
Błędnemi strzela oczyma.
Wtém wiatr zaszumiał po gęstym lesie,
Woda się burzy i wzdyma.

Burzy się, wzdyma, pękają tonie,
O niesłychane zjawiska!
Po nad srebrzyste Świtezi błonie
Dziewicza piękność wytryska.

Jéj twarz, jak róży bladéj zawoje,
Skropione jutrzenki łeską,
Jako mgła lekka, tak lekkie stroje
Obwiały postać niebieską.

„Chłopcze mój piękny, chłopcze mój młody,
Zanóci czule dziewica;

Po co wokoło Świtezi wody
Błądzisz przy świetle xiężyca?

„Po co żałujesz dzikiéj wietrznicy,
Która cię zwabia w te knieje,
Zawraca głowę, rzuca w tęsknicy,
I może jeszcze się śmieje.

„Daj się namówić czułym wyrazem,
Porzuć wzdychania i żale;
Do mnie tu, do mnie, tu będziem razem
Po wodnym pląsać krysztale.

„Czy zechcesz, niby jaskółka chybka,
Oblicze tylko wód muskać;
Czy zdrów jak rybka, wesół jak rybka,
Cały dzień, ze mną się pluskać.

„A na noc w łożu srebrnéj topieli
Pod namiotami źwierciadeł,
Na miękkiéj wodnych lilijek bieli,
Śród boskich usnąć widziadeł."

Wtém z zasłon błysną piersi łabędzie,
Strzelec w ziemię patrzy skromnie,
Dziewica w lekkim zbliża się pędzie,
I, do mnie, woła, pójdź do mnie!

I na wiatr lotne rzuciwszy stopy,
Jak tęcza śmiga w krąg wielki,
To znowu siekąc wodne zatopy,
Srebrnemi pryska kropelki.

Podbiega strzelec i staje w biegu,
I chciałby skoczyć i nie chce;
Wtém modra fala, prysnąwszy z brzegu,
Zlekka mu w stopy załechce.

I tak go łechce i tak go znęca,
Tak się w nim serce rozpływa;
Jak gdy tajemnie rękę młodzieńca
Ściśnie kochanka wstydliwa.

Zapomniał strzelec o swéj dziewczynie,
Przysięgą pogardził świętą,
Na zgubę oślep bieży w głębinie,
Nową zwabiony ponętą.

Bieży i patrzy, patrzy i bieży;
Niesie go wodne przestworze,
Już zdala suchych odbiegł wybrzeży,
Na średniém igra jeziorze.

I już dłoń śnieżną w swéj ciśnie dłoni,
W pięknych licach topi oczy,

Ustami usta różane goni,
I skoczne okręgi toczy.

Wtem wietrzyk świsnął, obłoczek pryska,
Co ją w łudzącym krył blasku,
Poznaje strzelec dziewczynę zbliska,
Ach to dziewczyna s pod lasku!

„A gdzie przysięga? gdzie moja rada?
Wszak kto przysięgę naruszy,
Ach biada jemu, za życia biada!
I biada jego złéj duszy!

„Nie tobie igrać przez srebrne tonie
Lub nurkiem pluskać w głąb' jasną;
Surowa ziemia ciało pochłonie,
Oczy twe żwirem zagasną.

„A dusza przy tém świadomém drzewie
Niech lat doczeka tysiąca;
Wiecznie piekielne cierpiąc żarzewie
Nie ma czém zgasić gorąca."

Słyszy to strzelec, błędny krok niesie,
Błędnemi rzuca oczyma;
A wicher szumi po gęstym lesie,
Woda się burzy i wzdyma.

Burzy się, wzdyma i wre aż do dna,
Kręconym nurtem pochwyca,
Rostwiera paszczę otchłań podwodna,
Ginie z młodzieńcem dziewica.

Woda się dotąd burzy i pieni,
Dotąd przy świetle xiężyca
Snuje się para znikomych cieni;
Jestto z młodzieńcem dziewica.

Ona po srebrném pląsa jeziorze,
On pod tym jęczy modrzewiem.
Któż jest młodzieniec? strzelcem był w borze.
A kto dziewczyna? ja nie wiem.

RYBKA.

BALLADA. [1])

Od dworu, s pod lasa, z wioski,
Smutna wybiega dziewica,
Rospuściła na wiatr włoski
I łzami skropiła lica.

Przybiega na koniec łączki,
Gdzie w jezioro wpada rzeka;
Załamuje białe rączki,
I tak żałośnie narzeka.

„O wy, co mieszkacie w wodzie,
Siostry moje, Świtezianki,

[1]) Ze śpiewu gminnego.

Słuchajcie w ciężkiéj przygodzie,
Głosu zdradzonéj kochanki.

„Kochałam pana tak szczerze,
On mię przysięgał zaślubić,
Dziś xiężnę za żonę bierze,
Krysię ubogą chce zgubić.

„Niechże sobie żyją młodzi,
Niech się z nią obłudnik pieści,
Niech tylko tu nie przychodzi
Urągać się z mych boleści.

„Dla opuszczonéj kochanki
Cóż pozostało na świecie?
Przyjmijcie mię, Świtezianki;
Lecz moje dziecię... ach dziecię!“

To mówiąc rzewnie zapłacze,
Rączkami oczy zasłoni,
I z brzegu do wody skacze,
I w bystréj nurza się toni.

Wtém z lasu, gdzie się dwór bieli,
Tysiączne świecą kagańce,
Zjeżdżają goście weseli,
Muzyka, hałas i tańce.

Lecz mimo tego hałasu
Płacz dziecięcia słychać w lesie,
Wierny sługa wyszedł z lasu,
I dziecię na ręku niesie.

Ku wodzie obraca kroki,
Gdzie łoza gęsto spleciona,
Wzdłuż wykręconéj zatoki
Okryła rzeki ramiona.

Tam staje w ciemnym zakątku,
Płacze i woła: „niestety!
Ach któż da piersi dzieciątku!
Ach! gdzie ty, Krysiu, ach gdzie ty?“

„Tu jestem w rzece u spodu,
Cichy mu głos odpowiada:
„Tutaj drżę cała od chłodu,
A żwir mnie oczki wyjada.

„Przez żwir, przez ostre kamuszki
Fale mnie gwałtowne niosą;
Pokarm mój koralki, muszki,
A zapijam zimną rosą.“

Lecz sługa jak na początku,
Tak wszystko woła: „niestety!

Ach któż da piersi dzieciątku?
Ach gdzie ty, Krysiu, ach gdzie ty?«

Wtém się cóś z lekka potrąci
Śród kryształowéj przezroczy,
Woda się z lekka zamąci,
Rybka nad wodę podskoczy.

I jak skałka płaskim bokiem,
Gdy z lekkich rąk chłopca pierzchnie;
Tak nasza rybka podskokiem
Mokre całuje powierzchnie.

Złotemi plamki nadobna,
Kraśne ma po bokach piórka,
Główka jak naparstek drobna,
Oczko drobne jak paciórka.

Wtém rybią łuskę odwinie,
Spójrzy dziewicy oczyma;
Z głowy jasny włos wypłynie,
Szyjka cieniuchna się wzdyma.

Na licach różana krasa,
Piersi jak jabłuszka mleczne,
Rybią ma pletwę do pasa,
Płynie pod chrósty nadrzeczne.

I dziecię bierze do ręki,
U łona białego tuli,
„Luli, woła, mój maleńki,
Luli, mój maleńki, luli.“

Gdy dziecię płakać przestało,
Zawiesza kosz na gałęzi,
I znowu ściska swe ciało,
I główkę nadobną zwęzi.

Znowu ją łuski powleką,
Od boków wyskoczą skrzelki,
Pluska, i tylko nad rzeką
Kipiące pękły bąbelki.

Tak co wieczora, co ranka,
Gdy sługa stanie w zakątku,
Wraz wypływa Świtezianka,
Żeby dać piersi dzieciątku.

Za cóż jednego wieczora
Nikt nie przychodzi na smugi?
Już zwykła przemija pora;
Nie widać z dziecięciem sługi.

Nie może on przyjść tą stroną,
Musi zaczekać troszeczkę,

Bo właśnie teraz pan z żoną
Poszli przechadzką nad rzeczkę.

Wrócił się, czekał zdaleka,
Za gęstym usiadłszy krzakiem,
Lecz próżno czeka i czeka,
Nikt nie powracał tym szlakiem.

Wstaje, i dłoń w trąbkę zwinął,
I patrzył przez palców szparę,
Ale i dzień już przeminął,
I mroki padają szare.

Czekał długo po zachodzie,
A gdy noc gwiazdy zapala,
Zbliża się z lekka ku wodzie,
I śledzi oczyma zdala.

Przebóg, cudy, czy moc piekła!
Uderza go widok nowy,
Gdzie pierwéj rzeczułka ciekła,
Tam suchy piasek i rowy.

Na brzegach porozrzucana,
Wala się odzież bez ładu,
Ani pani, ani pana
Nie widać nigdzie ni śladu.

Tylko z zatoki połową
Sterczał wielki głazu kawał,
I dziwną kształtu budową
Dwa ludzkie ciała udawał.

Zdumiewa się wierny sługa,
Rozpierzchłych myśli nie złowił;
Przeszła godzina i druga,
Nim wreszcie słówko przemówił.

„Krysiu, o Krysiu!“ zawoła:
Echo mu—Krysiu—odpowie,
Lecz próżno patrzy do koła,
Nikt nie pokazał się w rowie.

Patrzy na rów i na głazy,
Otrze pot na licu zbladłém,
I kiwnie głową trzy razy,
Jakby chciał mówić: już zgadłem.

Dzieciątko na ręce bierze,
Śmieje się dzikim uśmiechem,
I odmawiając pacierze
Wraca do domu s pośpiechem.

POWRÓT TATY.

BALLADA.

„Pójdźcie, o dziatki, pójdźcie wszystkie razem,
Za miasto, pod słup na wzgórek,
Tam przed cudownym klęknijcie obrazem,
Pobożnie zmówcie paciórek.

Tato nie wraca; ranki i wieczory
We łzach go czekam i trwodze;
Rozlały rzeki, pełne zwierza bory,
I pełno zbójców na drodze.“

Słysząc to dziatki biegą wszystkie razem,
Za miasto, pod słup na wzgórek,
Tam przed cudownym klękają obrazem,
I zaczynają paciórek.

Całują ziemię, potem: w imie Ojca,
Syna i Ducha świętego,
Bądź pochwalona przenajświętsza Trójca,
Teraz i czasu wszelkiego.

Potém: ojcze nasz, i zdrowaś, i wierzę,
Dziesięcioro, i koronki,
A kiedy całe zmówili pacierze,
Wyjmą xiążeczkę s kieszonki.

I litanią do najświętszéj matki,
Starszy brat śpiéwa; a z bratem,
Najświętsza matko, przyśpiewują dziatki,
Zmiłuj się, zmiłuj nad tatem!

Wtém słychać turkot, wozy jadą drogą,
I wóz znajomy na przedzie;
Skoczyły dzieci, i krzyczą jak mogą:
„Tato, ach tato nasz jedzie!"

Obaczył kupiec, łzy radośne leje,
Z wozu na ziemię wylata;
„Ha, jak się macie, co się u was dzieje?
Czyście tęskniły do tata?

„Mama czy zdrowa? ciotunia? domowi?
A ot rozynki w koszyku;"

Ten sobie mówi, a ten sobie mówi,
Pełno radości i krzyku.

„Ruszajcie, kupiec na sługi zawoła,
Ja z dziećmi pójdę ku miastu.“
Idzie....aż zbójcy obskoczą do koła,
A zbójców było dwónastu.

Brody ich długie, kręcone wąsiska,
Wzrok dziki, suknia plugawa;
Noże za pasem: miecz u boku błyska,
Wręku ogromna buława.

Krzyknęły dziatki, do ojca przypadły,
Tulą się pod płaszcz na łonie,
Truchleją sługi, struchlał pan wybladły,
Drżące ku zbójcom wzniosł dłonie.

„Ach bierzcie wozy, ach bierzcie dostatek,
Tylko puszczajcie nas zdrowo,
Nie róbcie małych sierotami dziatek,
I młodéj małżonki wdową.“

Nie słucha zgraja, ten już wóz wyprzęga,
Zabiéra konie, a drugi
Pieniędzy, krzyczy, i buławą sięga,
Ów z mieczem wpada na sługi.

„Wtém stójcie, stójcie,“ krzyknie starszy zbójca,
I spędza bandę precz z drogi,
A wypuściwszy i dzieci i ojca,
„Idźcie, rzekł, daléj bez trwogi.“

Kupiec dziękuje, a zbójca odpowie:
„Nie dziękuj, wyznam ci szczerze,
Pierwszybym pałkę strzaskał na twéj głowie,
Gdyby nie dziatek pacierze.

„Dziatki sprawiły, że uchodzisz cało,
Darzą cię życiem i zdrowiem;
Im więc podziękuj za to co się stało,
A jak się stało opowiem.

„Zdawna już słysząc o przejeździe kupca,
I ja i moje kamraty,
Tutaj za miastem, przy wzgórku u słupca
Zasiadaliśmy na czaty.

„Dzisiaj nadchodzę, patrzę między chrósty,
Modlą się dziatki do Boga,
Słucham, s początku porwał mię śmiech pusty,
A potém litość i trwoga.

„Słucham, ojczyste przyszły na myśl strony,
Buława upadła z ręki;

Ach! ja mam żonę, i u mojéj żony,
Jest synek taki maleńki.

„Kupcze! jedź w miasto, ja do lasu muszę;
Wy dziatki, na ten pagórek,
Biegajcie sobie, i za moję duszę,
Zmówcie też czasem paciórek.“

Kurhanek Maryli.[1])

ROMANS.

MYŚL ZE ŚPIEWU LITEWSKIEGO.

Cudzy człowiek, dziewczyna, Jaś, Matka, Przyjaciołka.

Cudzy człowiek.

Tam u Niemnowéj odnogi,
Tam u zielonéj rozłogi,
Co to za piękny kurhanek?
Spodem uwieńczon jak w wianek,
W maliny, ciernie i głogi;
Boki ma strojne murawą,
Głowę ukwieconą w kwiaty;
A na niéj czeremchy drzewo,
A od niéj idą trzy drogi:
Jedna droga na prawo,
Druga droga do chaty,

---

[1]) Pagórek.

Trzecia droga na lewo.
Ja tędy płynę z wiciną,
Pytam się ciebie, dziewczyno,
Co to piękny kurhanek?

Dziewczyna.

W całéj wsi pytaj się bracie,
A cała wieś powie tobie:
Maryla żyła w téj chacie,
A teraz leży w tym grobie.
Na prawéj stronie te śladki
Ubite nogą pastuszka;
To jest drożyna jéj matki,
A ztąd przychodzi jéj drużka.
Lecz oto błysnął poranek,
Przyjdą oni na kurhanek;
Ukryj się tu za stós łomu,
Sam ich posłuchasz niedoli,
Własne twe oczy zobaczą.
Patrz wprawo...idzie kochanek.
Patrz, matka idzie z domu.
Patrz w lewo przyjaciółka.
Wszyscy idą powoli
I niosą ziółka
I płaczą.

Jaś.

Marylo! o téj porze!
Jeszcześmy się nie widzieli,

Jeszcześmy się nie ścisnęli.
Marylo! zaszło zorze!
Tu czeka twój kochanek,
Czy ty przespałaś ranek,
Czy na mnie zagniewana,
Ach Marylo kochana!
Gdzież się ty dotąd kryjesz?
Nie, nie przespałaś ranka,
Nie gniewasz się na Janka,
Lecz nie żyjesz, nie żyjesz!
Więzi cię ten kurhanek,
Nie ujrzysz już kochanka,
Nie ujrzy cię kochanek!
Dawniéj, kiedy spać szedłem, tém słodziłem chwile,
Że skoro się obudzę, obaczę Marylę.
I dawniéj spałem mile!
Teraz tutaj spać będę od ludzi daleki
Może ją we śnie ujrzę, gdy zamknę powieki;
Może zamknę na wieki!
Byłem ja gospodarny, gdy byłem szczęśliwy;
Chwalili mię sąsiedzi,
Chwalił mię ojciec siwy.
Teraz się ojciec biedzi;
A ja ni ludziom ni Bogu!
Niech ziarno w polu przepadnie,
Niech ginie siano ze stogu,
Niech sąsiad kopy roskradnie;

Niech trzodę wyduszą wilki!
Niemasz, niemasz Marylki!
Daje mi ojciec chaty,
Daje mi sprzęt bogaty,
Bym wziął w dom gospodynię,
Namawiali mię swaty,
Niemasz, niemasz Maryli!
Swaty nie namówili.
Nie mogę—nie—nie mogę;
Wiém ojcze, co uczynię,
Pójdę w daleką drogę,
Więcéj mię nie znajdziecie,
Choćbyście i szukali,
Nie będę już na świecie,
Przystanę do Moskali.
Żeby mię wraz zabili.
Niémasz, niémasz Maryli!

Matka.

Czemuż nie wstałam z rana?
Już w polu pełno ludzi.
Niémasz cię, niémasz kochana
Marylo! któż mię obudzi!
Płakałam przez noc całą,
Zasnęłam, kiedy dniało.
Mój Szymon gdzieś już w polu,
Wyprzedził on świtania,

Nie budził mię, mojego litując się bolu,
Poszedł s kosą bez śniadania;
Koś ty dzień cały, koś sobie,
Ja tutaj leżę na grobie.
Czegoż mam iść do domu?
Kto nas na obiad zawoła?
Kto z nami siądzie u stoła?
Niémasz, ach, niemasz komu!

Pókiśmy mieli ciebie,
W domu było jak w niebie.
U nas i wieczorynki,
S całéj wsi chłopcy, dziewki,
Najweselsze zażynki,
Najhuczniejsze dosiewki.
Niémasz cię! w domu pustynie!
Każdy kto idzie, minie.
Zawiasy rdzawieją w sieni,
Mchem się dziedziniec zieleni;
Bóg nas opuścił, ludzie opuścili,
Niémasz, niémasz Maryli!

Przyjaciółka.

Tutaj bywało z ranku
Nad wodą sobie stoim,
Ja o twoim kochanku,
Ty mnie mówisz o moim.

Już więcéj s sobą nie będziem mówili.
Niémasz, niémasz Maryli!
Któż mi zwierzy się szczerze,
Komuż się ja powierzę?
Ach, gdy s tobą kochanie,
Smutku i szczęścia nie dzielę;
Smutek smutkiem zostanie,
Weselem nie jest wesele.

Cudzy człowiek.

Słyszy to cudzy człowiek,
Wzdycha, i łzy mu płyną,
Westchnął, otarł łzy s powiek,
I daléj poszedł z wiciną.

DO PRZYJACIÓŁ

POSYŁAJĄC IM BALLADĘ **To lubię.**

Bije raz, dwa, trzy...już północna pora,
Głuche w około zacisze,
Wiatr tylko szumi po murach klasztora,
I psów szczekanie gdzieś słyszę.

Świéca w lichtarzu dopala się na dnie.
Raz w głębi tłumi ogniska,
Znowu się wzmoże, i znowu opadnie,
Błyska, zagasa i błyska.

Straszno!—nie była straszną ta godzina,
Gdy były nieba łaskawsze;

Ileż mi słodkich chwilek przypomina!
Precz...to już znikło na zawsze.

Teraz ja szczęścia szukam, ot w téj xiędze,
Xięga znudziła, porzucam;
Znowu ku lubym przedmiotom myśl pędzę,
To marzę, to się ocucam.

Czasem, gdy słodkie złudzi zachwycenie,
Kochankę widzę, lub braci;
Zrywam się, patrzę, aż tylko po ścienie,
Biega cień własnéj postaci.

Ot lepiéj pióro wezmę i śród ciszy,
Gdy się bez ładu myśl plącze,
Zacznę coś pisać dla mych towarzyszy,
Zacznę, bo nie wiem czy skończę.

Może też pamięć o minionéj wiośnie,
Zimowy wierszyk umili;
Chcę coś okropnie, coś pisać miłośnie,
O strachach i o Maryli.

Kto pragnie pędzlem swe rozsławić imie,
Niech jéj maluje portrety,
Wieszcz w nieśmiertelnym niech opiewa rymie,
Serca, rozumu zalety.

Mnie choć to wszystko w umyśle przytomne,
Pociechy szukam, nie sławy;
Lepiéj wam powiem, jeżeli przypomnę,
Jakie z nią miałem zabawy.

Maryla słodkie miłości wyrazy
Dzieliła skąpo w rachubie;
Choć jéj kto *kocham* mówił po sto razy,
Nie rzekła nawet i *lubię*.

Za to więc w Rucie, pod północną chwilę,
Kiedy się wszyscy spać kładą.
Ja na dobranoc żegnając Marylę,
Taką straszyłem balladą:

Kowno d. 27 Grudnia.

TO LUBIĘ.

BALLADA [1]).

Spójrzyj, Marylo, gdzie się kończą gaje,
Wprawo łóz gęsty zarostek,
W lewo się piękna dolina podaje,
Przodem rzeczułka i mostek.

Tuż stara cerkiew, w niéj puszczyk i sowy,
Obok dzwonnicy zrąb zgniły,

[1]) Ta ballada jest tłumaczeniem wiejskiéj pieśni; jakkolwiek zawiera opinie fałszywe i z nauką o czyścu niezgodne, nie śmieliśmy nic odmieniać, aby tém wyraźniéj zachować charakter gminny i dać poznać zabobonne mniemania ludu naszego.

A za dzwonnicą chrośniak malinowy,
A w tym chrośniaku mogiły.

Czy tam bies siedział, czy dusza zaklęta,
Że o północnéj godzinie,
Nikt, jak najstarszy człowiek zapamięta,
Miejsc tych bez trwogi nie minie.

Bo skoro północ nawlecze zasłony,
Cerkiew się s trzaskiem odmyka,
W pustéj zrąbnicy dzwonią same dzwony,
W chrustach coś huczy i ksyka.

Czasami płomyk okaże się blady,
Czasem grom trzaska po gromie,
Same się z mogił ruszają pokłady,
I larwy stają widomie.

Raz trup po drodze bez głowy się toczy,
To znowu głowa bez ciała;
Rostwiera gębę i wytrzyszcza oczy,
W gębie i w oczach żar pała.

Albo wilk bieży; pragniesz go odegnać,
Aż orlém skrzydłem wilk macha;
Dość, zgiń przepadnij—wyrzec i przeżegnać,
Wilk zniknie wrzeszcząc, cha cha cha!

Każdy podróżny oglądał te zgrozy,
I każdy musiał kląć drogę;
Ten złamał dyszel, ten wywrócił wozy,
Innemu zwichnął koń nogę.

Ja, chociaż pomnę, nie raz Andrzéj stary
Zaklinał, nie raz przestrzegał,
Śmiałem się z diabłów, nie wierzyłem w czary,
Tamtędym jeździł i biegał.

Raz gdy do Ruty jadę w czas noclegu,
Na moście s końmi wóz staje,
Próżno woźnica przynagla do biegu,
Héj, krzyczy, biczem zadaje.

Stoją, a potém skoczą s całéj mocy,
Dyszel przy saméj pękł szrubie;
Zostać na polu samemu i w nocy,
To lubię, rzekłem, *to lubię!*

Ledwiem dokończył, aż straszna martwica,
Wypływa z bliskich wód toni;
Białe jéj szaty, jak śnieg białe lica,
Ognisty wieniec na skroni.

Chciałem uciekać, padłem zalękniony,
Włos dębem stanął na głowie;

Krzyknę: niech będzie Chrystus pochwalony!
„Na wieki wieków“ odpowie.

„Ktokolwiek jesteś, poczciwy człowieku,
Coś mię zachował od męki,
Dożyj ty szczęścia i późnego wieku,
I pokój tobie i dzięki.

„Widzisz przed sobą obraz grzesznéj duszy,
Wkrótce się niebem pochlubię;
Boś ty czyscowéj zbawił mię katuszy
Tém jedném słówkiem: *To lubię.*

„Dopóki gwiazdy zejdą i dopóki,
We wsi kur pierwszy zapieje,
Opowiem tobie, a ty dla nauki,
Opowiedz innym me dzieje.

„Onego czasu żyłam ja na świecie,
Marylą zwana przed laty;
Ojciec mój pierwszy urzędnik w powiecie,
Możny, poczciwy, bogaty.

„Za życia pragnął sprawić mi wesele;
A żem dostatnia i młoda,
Zbiegło się zewsząd zalotników wiele,
Posag wabił i uroda.

„Mnóstwo ich marnéj pochlebiało dumie,
I to mi było do smaku,
Że kiedy w licznym kłaniano się tłumie,
Tłumem gardziłam bez braku.

„Przybył i Józio; dwudziestą miał wiosnę,
Młody, cnotliwy, nieśmiały;
Obce dla niego wyrazy miłosne,
Choć czuł miłośne zapały.

„Lecz próżno nędzny w oczach prawie znika,
Próżno i dzień i noc płacze;
W boleściach jego dla mnie radość dzika,
Śmiech obudzały rospacze.

„Ja pójdę!“ mówił ze łzami;—„idź sobie!“—
Poszedł i umarł z miłości;
Tu nad rzeczułką, w tym zielonym grobie,
Złożone jego są kości.

„Odtąd mi życie stało się nie lube,
Późne uczułam wyrzuty;
Lecz ani sposób wynagrodzić zgubę,
Ani czas został pokuty.

„Raz gdy się w północ z rodzicami bawię,
Wzmaga się hałas, szum, świsty,

Przyleciał Józio w straszliwéj postawie,
Jak potępieniec ognisty.

„Porwał, udusił gęszczą dymnych kłębów,
W czyscowe rzucił potoki;
Gdzie pośród jęku i zgrzytania zębów,
Takie słyszałam wyroki:

„Wiedziałaś, że się spodobało Panu
Z męża ród tworzyć niewieści,
Na osłodzenie mężom złego stanu,
Na roskosz, nie na boleści.

„Ty jakbyś w piersiach miała serce z głazu,
Ani cię jęki ubodły,
Nikt nie uprosił słodkiego wyrazu
Przez łzy, cierpienia i modły.

„Za taką srogość, długie, długie lata,
Dręcz się w czyscowéj zagubie;
Póki mąż jaki z tamecznego świata,
Nie powie na cię choć: *lubię*.

„Prosił i Józio niegdyś o to słowo,
Gorzkie łzy lał nieszczęśliwy;
Prośże ty teraz; nie łzą, nie namową,
Ale przez strachy i dziwy.“

„Rzekł, mnie natychmiast porwały złe duchy;
Odtąd już setny rok minie,
W dzień męczą, na noc zdejmują łańcuchy,
Rzucam ogniste głębinie;

„I w cerkwi, albo na Józia mogile
Niebu i ziemi obrzydła,
Muszę podróżnych trwożyć w nocne chwile,
Różne udając straszydła.

„Idących w błota zawiodę lub w gaje,
Jadącym konia uskubię;
A każdy naklnie, nafuka, nałaje,
Tyś pierwszy wyrzekł: *to lubię*.

„Za to ci spadnie wyroków zasłona,
Przyszłość s pod ciemnych wskażę chmur,
Ach! i ty poznasz Marylę; lecz ona...“
Wtém na nieszczęście zapiał kur.

Skinęła tylko, widać radość z oczek,
Mieni się w parę cieniuchną,
Ginie, jak ginie bladawy obłoczek,
Kiedy zefiry nań dmuchną.

Patrzę, aż cały wóz stoi na łące,
Siadam, powoli strach mija.
Proszę za dusze w czyscu bolejące,
Zmówić trzy Zdrowaś Marya.

RĘKAWICZKA.

POWIASTKA.

(S Szyllera.)

Chcąc bydź widzem dzikich bojów,
Już u zwierzyńca podwojów,
Król zasiada.
Przy nim książęta i panowie, rada,
A gdzie wzniosły krążył ganek,
Rycerze obok kochanek.

Król skinął palcem, zaczęto igrzysko,
Spadły wrzeciądze; ogromne lwisko
Zwolna się toczy,
Podnosi czoło,
Milczkiem obraca oczy
Wokoło.

I ziewy rozdarł straszliwie,
I kudły zatrząsł na grzywie,
I wyciągnął cielska brzemię,
I obalił się na ziemię.

Król skinął znowu:
Znowu przemknie się krata,
Szybkiemi skoki, chciwy połowu
Tygrys wylata.
Spoziera zdala
I kłami błyska,
Język wywala,
Ogonem ciska,
I lwa dokoła obiega;
Topiąc wzrok jaszczurczy,
Wyje i burczy;
Burcząc na stronie przylega.

Król skinął znowu;
Znowu podwój otwarty,
I z jednego zachowu
Dwa wyskakują lamparty.
Łakoma boju, para zajadła,
Już tygrysa opadła,
Już się tygrys z niemi drapie,
Już obudwu trzyma w łapie;
Wtém lew podniósł łeb do góry,
Zagrzmiał—i znowu cisze—

A dzicz z krwawemi pazury
Obiega... za mordem dysze.
Dysząc na stronie przylega.

Wtém leci rękawiczka z krużganków pałacu,
Z rączek nadobnéj Marty,
Pada między tygrysa i między lamparty
Na środek placu.

Marta z uśmiechem rzecze do Emroda:
Kto mię tak kocha, jak po tysiąc razy
Czułemi przysiągł wyrazy,
Niechaj mi teraz rękawiczkę poda.

Emrod przeskoczył zapory,
Idzie pomiędzy potwory,
Śmiało rękawiczkę bierze,
Dziwią się panie, dziwią się rycerze.
A on w zwycięskiéj chwale
Wstępuje na krużganki,
Tam od radosnéj witany kochanki,
Rycerz jéj w oczy rękawiczkę rzucił:
»Pani, twych dzięków nie trzeba mi wcale.«
To rzekł i poszedł, i więcéj nie wrócił.

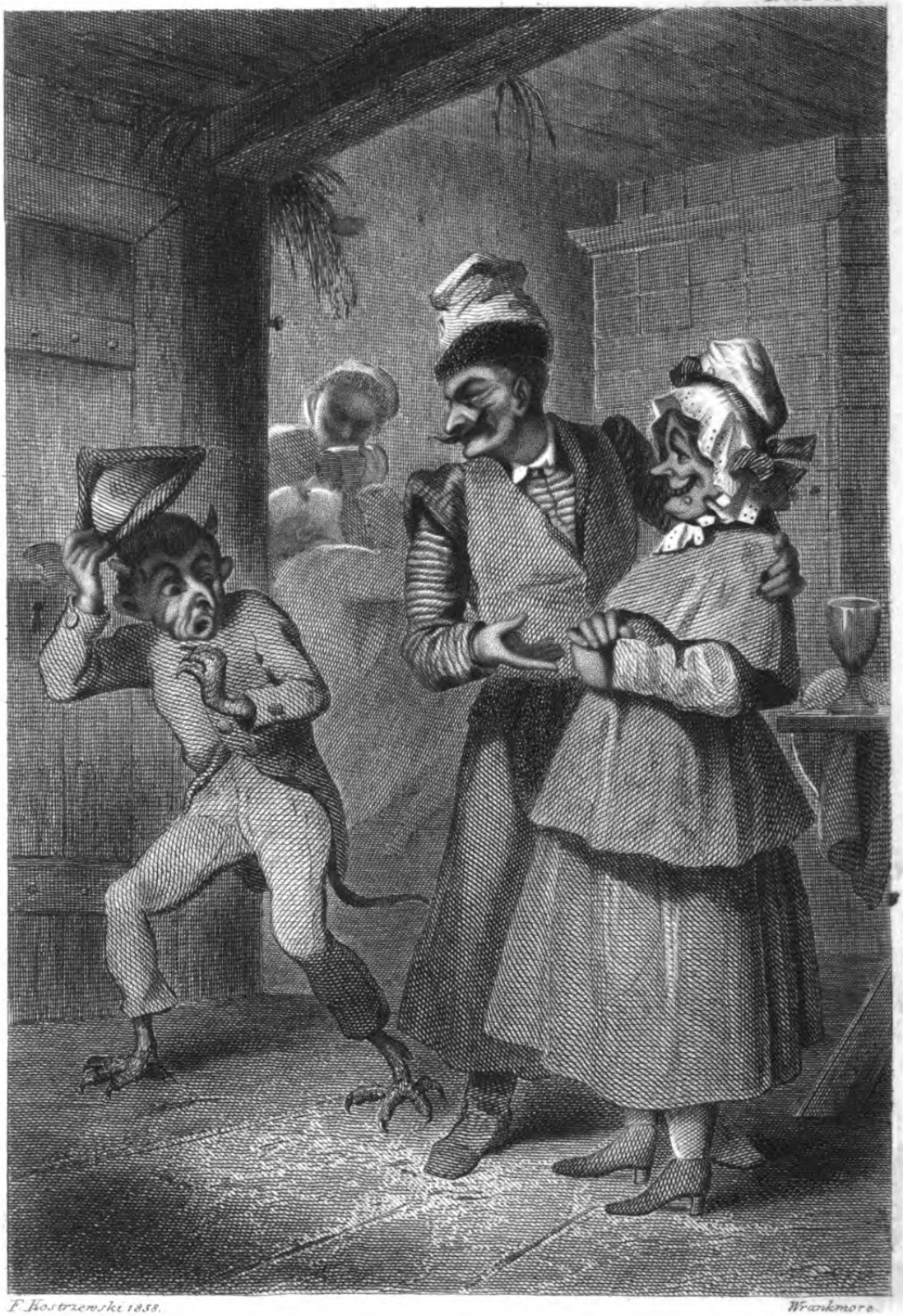

F. Kostrzewski 1858. Wrankmore

Pani Twardowska.

Pani Twardowska.

BALLADA.

Jedzą, piją, lulki palą,
Tańce, hulanka, swawola;
Ledwie karczmy nie rozwalą,
Cha cha, chi chi, hejża, hola!

Twardowski siadł w końcu stoła,
Podparł się w boki jak basza;
Hulaj dusza! hulaj! woła,
Śmieszy, tumani, przestrasza.

Żołnierzowi, co grał zucha,
Wszystkich łaje i potrąca,

Świsnął szablą koło ucha,
Już z żołnierza masz zająca.

Na patrona s trybunału,
Co milczkiem wypróżniał rondel,
Zadzwonił kieską pomału,
S patrona robi się kondel!

Szewcu w nos wyciął trzy szczutki,
Do łba przymknął trzy rureczki,
Cmoknął, cmok, i gdańskiéj wódki,
Wytoczył ze łba pół beczki.

Wtém gdy wódkę pił s kielicha,
Kielich zaświstał, zazgrzytał;
Patrzy na dno, co u licha?
Po coś tu kumie zawitał?

Diablik to był w wódce na dnie,
Istny Niemiec, sztuczka kusa,
Skłonił się gościom układnie,
Zdiął kapelusz i dał susa.

S kielicha aż na podłogę
Pada, rośnie na dwa łokcie,
Nos jak haczyk, kurzą nogę,
I krogulcze ma paznogcie.

„A! Twardowski; witam, bracie!“
To mówiąc, bieży obcesem:
„Cóż to, czyliż mię nie znacie?
Jestem Mefistofelesem.

„Wszak ze mną na Łyséj górze
Robił o duszę zapisy;
Cyrograf na byczéj skórze
Podpisałeś ty, i bisy.

„Miały słuchać twego rymu;
Ty, jak dwa lata przebiegą,
Miałeś pojechać do Rzymu,
By cię tam porwać jak swego.

„Już i siedem lat uciekło,
Cyrograf nadal nie służy;
Ty czarami dręcząc piekło,
Ani myślisz o podróży.

„Ale zemsta choć leniwa,
Nagnała cię w nasze sieci;
Ta karczma Rzym się nazywa,
Kładę areszt na waszeci.“

Twardowski ku drzwiom się kwapił,
Na takie dictum acerbum;

Diabeł za kontusz ułapił.«
„A gdzie jest nobile verbum?«

Co tu począć?—kusa rada,
Przyjdzie już nałożyć głową.
Twardowski na koncept wpada,
I zadaje trudność nową.

„Patrz w kontrakt Mefistofilu,
Tam warunki takie stoją:
Po latach tylu a tylu,
Gdy przyjdziesz brać duszę moją,

„Będę miał prawo trzy razy
Zaprządz ciebie do roboty;
A ty najtwardsze rozkazy,
Musisz spełnić co do joty.

„Patrz, oto jest karczmy godło,
Koń malowany na płótnie;
Ja chcę mu wskoczyć na siodło,
A koń niech s kopyta utnie.

„Skręć mi przytém biczyk s piasku,
Żebym miał czém konia chłostać,
I wymuruj gmach w tym lasku,
Bym miał gdzie na popas zostać.

„Gmach będzie z ziarnek orzecha,
Wysoki pod szczyt Krępaku,
Z bród żydowskich ma być strzecha,
Pobita nasieniem z maku.

„Patrz, oto na miarę ćwieczek,
Cal gruby, długi trzy cale,
W każde z makowych ziareczek
Wbij mi takie trzy bretnale.“

Mefistofil duchem skoczy,
Konia czyści, karmi, poi,
Potém bicz s piasku utoczy,
I już w gotowości stoi.

Twardowski dosiadł biegusa,
Probuje podskoków, zwrotów,
Stępa, galopuje, kłusa,
Patrzy, aż i gmach już gotów.

„No! wygrałeś, panie bisie;
Lecz druga rzecz nieskończona,
Trzeba skąpać się w téj misie,
A to jest woda święcona.“

Diabeł kurczy się i krztusi,
Aż zimny pot na nim bije;

Lecz pan każe, sługa musi,
Skąpał się biedak po szyję.

Wyleciał potém jak s procy,
Otrząsł się, dbrum! parsknął raźnie.
—„Teraz jużeś w naszéj mocy,
Najgorętszam odbył łaźnię.»

—„Jeszcze jedno, będzie kwita,
Zaraz pęknie moc czartowska;
Patrzaj, oto jest kobiéta,
Moja żoneczka Twardowska.

„Ja na rok u Belzebuba
Przyjmę za ciebie mieszkanie.
Niech przez ten rok moja luba
S tobą jak z mężem zostanie.

„Przysiąż jéj miłość, szacunek,
I posłuszeństwo bez granic;
Złamiesz choć jeden warunek,
Już cała ugoda za nic."

Djabeł do niego pół ucha,
Pół oka zwrócił do samki,
Niby patrzy, niby słucha,
Tymczasem już blisko klamki.

Gdy mu Twardowski dokucza,
Od drzwi, od okien odpycha,
Czmychnąwszy dziurką od klucza,
Dotąd, jak czmycha tak czmycha.

TUKAJ

ALBO

PRÓBY PRZYJAŹNI

BALLADA

WE CZTERECH CZĘŚCIACH.

I.

„Ja umieram.—Ja nie płaczę,
I wy chciejcie ulżyć sobie;
Prędzéj, późniéj, legniem w grobie,
Nie wrócą na świat rospacze.
Byłem panem mnogich włości,
Sławny potęgą i zbiorem;
Zamki me stały otworem,
Dla przyjaciół i dla gości.

O potęgo! o człowieku!
Wielkie zamki, wielkie imie;
Wielkie nic! wielkość, czczy dymie!
Ja umieram w kwiecie wieku!
Gdy za mądrości widziadłem,
Goniąc zbiegam kraje cudze;
Gdy wzrok nad księgami trudzę,
Skarbnice nauk posiadłem.
O nauki! o człowieku!
Wielka mądrość, wielkie imie;
Wielkie nic! rozum, czczy dymie!
Ja umieram w kwiecie wieku.
Strzegłem ustaw świętéj wiary
W duchu i serca prostocie;
Hojnie nagradzałem cnocie,
Kościołom niosłem ofiary!
O pobożności! człowieku! [1])
Święta wiaro, święte imie!
Święte nic! cnoto, czczy dymie!
Ja umieram w kwiecie wieku.
Twórco! jakże igrasz srodze,
Kiedy mi dasz wiek niedługi,
Cóż że mi dasz wierne sługi?
Czémże za wierność nagrodzę?
Dasz kochankę kochankowi,

---

[1]) Za te bluźnierstwa znajdzie czytelnik ukaranie w następnych balladach.

Śmierć truje ślubów słodycze.
I tylu przyjaciół liczę!
Bądźcie zdrowi, bądźcie zdrowi!«
Tak na domowników ręku
Tukaj, pośród skarg i jęku,
Pożegnawszy świat na wieki,
Gasnące zamknął powieki.

Wtém grom łamie szczyty dachu,
Zadrżały zamkowe ściany,
Jakowyś starzec nieznany,
Wlatuje na środek gmachu.
Siwy włos okrył mu skronie,
Twarz marszczkami rozorana,
Broda długa za kolana,
Na kosturze wsparte dłonie.
„Tukaju!« porwał s pościeli,
I wraz za sobą iść każe;
Już wierzchne sale minęli,
Minęli wały i straże.
Idą; ciemno, dészczyk kropi;
A srebrzysta twarz miesiąca,
To grubawe mgły roztrąca,
To się znowu we mgle topi.
Idą ponad trzęskie kępy;
Mijają bagna, głębinie,
Hnilicy ciemnéj ostępy,

Kołdyczewa[1]) nurty sinie.
Gdzie puszcza zarosła wkoło,
Spodem czarna, z wierzchu płowa,
Żwirami nasute czoło,
Wynosi góra Żarnowa,
Tam szli; starzec klął na grobie,
Rozwarł usta, okiem błysnął,
Podniosł w górę ręce obie,
Trzykroć krzyknął, trzykroć świsnął.
—„Tukaju, patrz, oto ścieszka!
Za ścieszką chatka na bagnie,
W chatce mędrzec Polel mieszka,
Mędrzec mędrca wspomódz pragnie.
Znana twa nauka, cnota;
Znam, że Bóg węzły lubemi,
Przywiązawszy cię do ziemi,
Długiego nie da żywota.
Ale rzucaj przestrach płony,
Mych sposobów uznaj dzielność;
Żyj dla sług, przyjaciół, żony,
Lata, wieki, nieśmiertelność.
Ja pierwszy, ziemskiemu oku,
Smiem do niéj pokazać drogę;
Lecz podług ustaw wyroku,
Dwom tylko pokazać mogę.
Wybierz drugiego człowieka,

[1]) Nazwisko jeziora.

Człowieka doznanéj wiary,
Któremubyś w każdéj probie,
Tak zaufał jak sam sobie?
Trafisz,—nieśmiertelność czeka!
Chybisz,—śmierć i wieczne kary.«
—„Starcze! twe zjawienia wieszcze
Ciemna zasłona powleka.
Powiedz«—„Powiadam ci jeszcze
Wybierz drugiego człowieka.
Radź się twéj głowy i serca.
Idzie o ciało i duszę?
Wierny, albo przeniewierca,
Nieśmiertelność, lub katusze!...
Czy mógłbyś zwierzyć się słudze?«

Tukaj nic nie odpowiada,
Bo któż zgadnie myśli cudze?
Bo zbyt często w sługach zdrada.
—„Może kochance, lub żonie?«
—„Tak...«—wtém uciął, patrzy smutnie;
—„Tak...«—rzecze, i znowu utnie.
Myśli, sam się s sobą biedzi,
—„Tak jest, kochance... tak, żonie!«
I wierzy i strach nań pada,
I wątpi i wstydem płonie;
Myśli, sam się s sobą biedzi,
Umyślił, już w odpowiedzi,

Już... i nic nie odpowiada.
—„Umrzyj więc! ty śmiałeś żądać?
Daj pokój żądaniom dzikim,
Ty nie masz ufności w nikim,
Wartoż dłużéj świat oglądać?“
—On myśli.—„Nikogoż z wiela?
Sługi, żony, przyjaciela?“—
On myśli.—Tu w mgnieniu oka,
Czerni się niebios sklepienie,
Słychać grzmienie, ziemi drżenie,
Kipią bagna, lasy gorą,
Niknie w płomieniach opoka,
I doliny i jezioro.
Sród gromów, świstu i szczęku,
Czy to zły duch, czy moc Boża,
Tukaj znalazł się śród łoża,
Na swych domowników ręku.
Głos tylko zagrzmiał zdaleka,
„Niemasz drugiego człowieka,
Któremubyś w każdéj probie,
Tak zaufał, jak sam sobie!“

II.

„Ja mam, ja mam przyjaciela!“
Konający Tukaj woła;
Wraz uchodzi bladość s czoła,
Iskrą zdrowia oko strzela,

Tukaj wydarty mogile,
Wstaje, dziwią się doktory;
Wstaje, chodzi o swéj sile,
Jakby nigdy nie był chory.
A wtém na poduszce z boku,
Ujrzy z woléj skóry karty,
Gdzie tajemnice wyroku,
Przeklęte spisały czarty.
Tukaj s ciekawością chwyta,
Siada, podparł się, i czyta:

„Kiedy miesiąc na młodziku,
Idź za górę do gaiku,
Znajdziesz kamień, s pod kamienia,
Białego urwij korzenia.
Kiedy będziesz bliski śmierci,
Każ ciało posiec na ćwierci,
W wodzie zgotować korzonki,
Pocięte namaścić członki,
Znowu się duch s ciałem zrośnie,
W młodocianéj wstaniesz wiośnie,
I możesz skutkiem tych leków,
Umierać, wstawać, wiek wieków.“
Daléj tam były przestrogi,
Jak siekać głowę, jak nogi;
W jakiéj wodzie smażyć trunek,
Po jakiéj brać zioła szczypcie,

Ale na końcu w postskrypcie,
Taki dodano warunek:

„Jeśli użyty ktoś drugi,
Do namaszczalnéj posługi,
Zwiedzion przez nasze fortele,
Innemu pokaże ziele,
Lub w oznaczonéj godzinie,
Twego ciała nie namaści;
Wtenczas skutek zioła zginie,
Wtenczas piekło czeka waści.
Jeśli na to się ośmielisz,
Dla znaku, że zaszła zgoda,
Nasz poseł Mefistofelisz,
Do wymiany traktat poda.
Ostrzegliśmy o fortelach,
Strzeż się; potém próżny kweres.
Dan w Erebie, w szabas rano,
Własną ręką podpisano:
Tak ma stać się—Lucyferes.
A za zgodność—Hadramelach.“

Tukaj trochę się zagniewał,
Warunku się nie spodziewał;
Brodę na ręku podpiera,
Potarł czoło, skrzywił nosa,
Na kontrakt spójrzał z ukosa;

Tabaczki dwa razy zażył,
To na ziemię spuszcza oczy,
To po stolowaniu toczy.
Wziął pargamin, w ręku zważył;
Znowu nań zézem poziera,
Znowu czytał i odczytał,
Znowu zważył, znowu zmierzył,
Kułakiem o stół uderzył,
Westchnął, mruczał, zębem zgrzytał,
Ręce nad czoło zakłada,
Skoczył raptem i w zapędzie,
Mąchnął ręką: „niech tak będzie!“
Znowu umilkł, znowu siada;
Znowu myśli, znowu wstaje;
Znowu chodzi, znowu siada.
Niech go za to nikt nie łaje,
Bo z diabłami rzecz nie lada.

Myśli: albo wieczne życie,
Albo wiecznie diabłu dusza.
Nic nie mówi, myśli skrycie,
Tylko trochę wargą rusza.

Nadszedł już czas odpowiedzi,
Tukaj oddala się s tłumu,
I do pracowni rozumu
Zamknąwszy się jeden siedzi.

I tam swój traktat raz jeszcze,
Nim stępel przyjęcia zyska,
W surowéj uwagi kleszcze
Bierze i porządnie ściska.
Tam myśl rozmaita ścieka,
W jedne podobieństwa tygle,
Tam jednę myśl niedościgle,
Różnicy nożykiem sieka,
Sieka, topi, nakształt wosku,
Aż wycisnął extrakt wniosku.
Obejrzawszy wniosek ściśle,
Tak rzekł, po długim namyśle:
„Jakieżkolwiek to fortele,
O których słyszałem z góry,
Czy ich nie wiele, czy wiele,
Trojakiéj będą natury.
Chcąc kogo przywieść do zdrady
Trzeba siły, albo rady;
Albo podarunkiem skusić,
Albo strwożyć, albo zmusić.
Toż samo krótszemi słowy,
Będzie syllogizm takowy:
Trojaka do zguby droga,
Ciekawość, łakomstwo, trwoga.
Więc kto w tym trojakim względzie,
Twardéj nie ulegnie probie;

Takiemu już można będzie,
Ufać, jak samemu sobie.“

Tukaj kontent z wynalazku,
Szuka atramentu, piasku,
Idzie kreślić pismo grzechu;
Ale idzie bez pośpiechu.
Już ciemno, pisać nie wcześnie,
W atramencie jakieś pleśnie,
Dwie świéce musiał zapalać,
I dwa kałamarze nalać.
Coś mu zabolało w łokciu;
Wziął pióro, na piórze włosek,
I bardzo spisany nosek;
Otrząsł, przyciął na paznogciu.
Po długim względzie, rozględzie,
Wreszcie pisze: NIECH TAK BĘDZIE.
Chciał dołożyć i nazwisko,
Lecz nim pierwsze T napisał,
Myślał pół godziny blisko,
Głową i piórem kołysał,
I nic więcéj nie napisał;
Tylko do pierwszéj litery,
Dodał małe kropki.... cztery.

Gdy już napisano widzi,
Jeszcze patrzy, jeszcze bada;

Niechaj s tego nikt nie szydzi,
Bo z diabłami rzecz nie lada.

Lecz jakże się musiał zdumieć,
Gdy głoska B, w słowie BĘDZIE,
Zaczęła brzęczeć i szumieć,
I wzdymać wszystkie krawędzie.
Kręci się, beczy, podrasta,
Jak na drożdżach kawał ciasta,
Dolna litery połowa,
Wykurcza się w brzuch i żebra,
U zwierzchniéj wypukła głowa,
Nakształt ogromnego cebra.
Szyjka jak u osy wąska,
Nosik orła, bródka kozła,
A z jednéj go strony końska,
Z drugiéj kurza łapka wiozła;
Pogląda okiem wołowém,
Skrzydła nakształt młyńskich wioseł,
Był to diabeł jedném słowem,
Był to Mefistofel poseł.

Jeszcze Tukaj nie mógł wiedzieć,
Czy żegnać, czy prosić siedzieć;
Kiedy przyskoczył zuchwalec,
Porwał za maleńki palec,
Zasadził nożyk pod skórką,
I umoczył we krwi piórko;

Piórko wścibił, ścisnął w ręku,
Ręką wodzi pomaleńku,
Gdy już U, K, A, J, minął,
Zrobiło się całkiem TUKAJ.
Diabeł świsnął, czmychnął, zginął,
Terazże z nim ładu szukaj.

Dalsze Ballady o Tukaju w przyszłości.

LILIE.

BALLADA. [1])

Zbrodnia to niesłychana,
Pani zabija pana;
Zabiwszy grzebie w gaju,
Na łączce przy ruczaju,
Grób liliją zasiewa,
Zasiewając tak śpiewa:
„Rośnij kwiecie wysoko,
Jak pan leży głęboko;
Jak pan leży głęboko,
Tak ty rośnij wysoko.“

Potém cała skrwawiona
Męża zbójczyni żona,

[1]) S pieśni gminnéj.

Bieży przez łąki, przez knieje,
I górą i dołem i górą;
Zmrok pada, wietrzyk wieje,
Ciemno, wietrzno, ponuro.
Wrona gdzie niegdzie kracze,
I puhają puhacze.

Bieży w dół do strumyka,
Gdzie stary rośnie buk,
Do chatki pustelnika,
Stuk stuk, stuk stuk.

„Kto tam?“— spadła zapora,
Wychodzi starzec, świeci;
Pani nakształt upiora
S krzykiem do chatki leci,
Ha! ha! ssiniałe usta,
Oczy przewraca w słup,
Drżąca, zbladła jak chusta:
„Ha! mąż, ha trup!“

„Niewiasto, Pan Bóg s tobą,
Co ciebie tutaj niesie,
Wieczorną słotną dobą,
Co robisz sama w lesie?„

—„Tu za lasem, za stawem,
Błyszczą mych zamków ściany,

Mąż s królem Bolesławem
Poszedł na Kijowiany.
Lato za latem bieży,
Nie masz go z bojowiska;
Ja młoda śród młodzieży,
A droga cnoty śliska!
Nie dochowałam wiary,
Ach! biada mojéj głowie!
Król srogie głosi kary;
Powrócili mężowie.

„Ha! ha! mąż się nie dowie!
Oto krew! oto nóż!
Po nim już, po nim już!
Starcze, wyznałam szczérze.
Ty głoś świętemi usty,
Jakie mówić pacierze,
Gdzie mam iść na odpusty.
Ach pójdę aż do piekła,
Zniosę bicze, pochodnie,
Byleby moję zbrodnię
Wieczysta noc powlekła.“

„Niewiasto—rzecze stary—
Więc ci nieżal rozboju:
Ale tylko strach kary?
Idźże sobie w pokoju,

Rzuć bojaźń, rozjaśń lica,
Wieczna twa tajemnica.
Bo takie sądy boże,
Iż co ty zrobisz skrycie,
Mąż tylko wydać może;
A mąż twój stracił życie.«

Pani z wyroku rada,
Jak wpadla tak wypada:
Bieży nocą do domu
Nic nie mówiąc nikomu.
Stoją dzieci przed bramą.
„Mamo«—wołają—„Mamo!
A gdzie został nasz tato?«—
„Nieboszczyk? co? wasz tato?«—
Nie wié co mówić na to.
„Został w lesie za dworem,
Powróci dziś wieczorem.«

Czekają wieczór dzieci;
Czekają drugi, trzeci,
Czekają tydzień cały;
Nareszcie zapomniały.

Pani zapomnieć trudno,
Nie wygnać z myśli grzechu.
Zawsze na sercu nudno,
Nigdy na ustach śmiechu,

Nigdy snu na źrenicy!
Bo często w nocnéj porze,
Coś stuka się na dworze,
Coś chodzi po świetlicy.
„Dzieci, woła: to ja to,
To ja, dzieci, wasz tato!«

Noc przeszła, zasnąć trudno.
Nie wygnać z myśli grzechu.
Zawsze na sercu nudno,
Nigdy na ustach śmiechu!

„Idź Hanko przez dziedziniec,
Słyszę tentent na moście,
I kurzy się gościniec;
Czy nie jadą tu goście?
Idź na gościniec i w las,
Czy kto nie jedzie do nas?«

„Jadą, jadą w tę stronę,
Tuman na drodze wielki,
Rżą, rżą koniki wrone,
Ostre błyszczą szabelki.
Jadą, jadą panowie,
Nieboszczyka bratowie!«

„A witajże, czy zdrowa,
Witajże nam bratowa.

Gdzie brat?«—„nieboszczyk brat,
Już pożegnał ten świat.«
—„Kiedy?«—„Dawno, rok minął,
Umarł.... na wojnie zginął.«
—„To kłamstwo, bądź spokojna,
Już skończyła się wojna;
Brat zdrowy i ochoczy,
Ujrzysz go na twe oczy.«

Pani ze strachu zbladła,
Zemdlała i upadła,
Oczy przewraca w słup,
S trwogą do koła rzuca.
„Gdzie on? gdzie mąż? gdzie trup?«
Powoli się ocuca;
Mdlała niby z radości
I pytała u gości:
„Gdzie mąż, gdzie me kochanie,
Kiedy przedemną stanie?«

„Powracał razem z nami,
Lecz przodem chciał pośpieszyć,
Nas przyjąć z rycerzami,
I twoje łzy pocieszyć.
Dziś, jutro, pewnie będzie,
Pewnie kędyś w obłędzie,
Ubite minął szlaki.
Zaczekajmy dzień jaki,

Poszlemy szukać wszędzie,
Dziś, jutro pewnie będzie.«

Posłali wszędzie sługi,
Czekali dzień i drugi,
Gdy nic nie doczekali
S płaczem chcą jechać daléj.

Zachodzi drogę pani:
„Bracia moi kochani,
Jesień zła do podróży,
Wiatry, słoty i deszcze,
Wszak czekaliście dłużéj,
Czekajcie trochę jeszcze.«

Czekają. Przeszła zima,
Brata nie ma i nie ma.
Czekają; myślą sobie,
Może powróci z wiosną?
A on już leży w grobie,
A nad nim kwiatki rosną,
A rosną tak wysoko,
Jak on leży głęboko.
I wiosnę przeczekali,
I już nie jadą daléj.

Do smaku im gospoda,
Bo gospodyni młoda;

Że chcą jechać udają,
A tymczasem czekają,
Czekają aż do lata,
Zapominają brata.

Do smaku im gospoda,
I gospodyni młoda.
Jak dwaj u niéj gościli,
Tak ją dwaj polubili.
Obu nadzieja łechce,
Obadwaj zjęci trwogą,
Żyć bez niéj żaden nie chce,
Żyć z nią obaj nie mogą.
Wreszcie na jedno zdani
Idą razem do pani.

—„Słuchaj pani bratowo,
Przyjm dobrze nasze słowo.
My tu próżno siedzimy,
Brata nie zobaczymy.
Ty jeszcze jesteś młoda,
Młodości twojéj szkoda.
Nie wiąż dla siebie świata,
Wybierz brata za brata.“

To rzekli i stanęli,
Gniew ich i zazdrość piecze,

Ten to ów okiem strzeli,
Ten to ów słówko rzecze;
Usta sine przycięli,
W ręku ściskają miecze.

Pani ich widzi w gniewie,
Co mówić, sama nie wie.
Prosi o chwilkę czasu,
Bieży zaraz do lasu.
Bieży w dół do strumyka
Gdzie stary rośnie buk.
Do chatki pustelnika,
Stuk stuk, stuk stuk.
Całą mu rzecz wykłada,
Pyta się, co za rada?

„Ach jak pogodzić braci,
Chcą mojéj ręki oba;
Ten i ten się podoba:
Lecz kto weźmie? kto straci?
Ja mam maleńkie dziatki,
I wioski i dostatki,
Dostatek się zmitręża;
Gdy zostałam bez męża.
Lecz ach! nie dla mnie szczęście!
Nie dla mnie już zamęście!
Boża nademną kara,
Ściga mnie nocna mara,

Zaledwie przymknę oczy,
Traf, traf, klamka odskoczy;
Budzę się, widzę, słyszę,
Jak idzie i jak dysze,
Jak dysze i jak tupa,
Ach widzę, słyszę trupa!
Skrzyp, skrzyp, i już nad łożem
Skrwawionym sięga nożem,
I iskry z gęby sypie,
I ciągnie mię i szczypie.
Ach, dosyć, dosyć strachu,
Nie siedzieć mnie w tym gmachu,
Nie dla mnie świat i szczęście,
Nie dla mnie już zamęście!«

„Córko«—rzecze jéj stary,—
„Nie masz zbrodni bez kary,
Lecz jeśli szczéra skrucha,
Zbrodniarzów Pan Bóg słucha.
Znam ja tajnie wyroku,
Miłą ci rzecz obwieszczę;
Choć mąż zginął od roku,
Ja go wskrzeszę dziś jeszcze.«

„Co, co? jak, jak? mój ojcze!
Nie czas już, ach nie czas!
To żelazo zabójcze,
Na wieki dzieli nas!

Ach znam, żem warta kary,
I zniosę wszelkie kary.
Byle się pozbyć mary,
Zrzekę się mego zbioru,
I pójdę do klasztoru,
I pójdę w ciemny las.
Nie, nie wskrzeszaj mój ojcze!
Nie czas już, ach nie czas,
To żelazo zabójcze,
Na wieki dzieli nas!«

Starzec westchnął głęboko,
I łzami zalał oko,
Oblicze skrył w zasłonie,
Drżące załamał dłonie.
„Idź za mąż póki pora,
Nie lękaj się upiora,
Martwy się nie ocuci,
Twarda wieczności brama;
I mąż twój nie powróci,
Chyba zawołasz sama.«

„Lecz jak pogodzić braci?
Kto weźmie, a kto straci?«—
„Najlepsza będzie droga,
Zdać się na los i Boga.
Niechajże z ranną rosą
Pójdą i kwiecie zniosą.

Niech każdy weźmie kwiecie,
I wianek tobie splecie,
I niechaj doda znaki,
Żeby poznać czyj jaki?
I pójdzie w kościół boży,
I na ołtarzu złoży.
Czyj pierwszy weźmiesz wianek,
Ten mąż twój, ten kochanek.«

Pani s przestrogi rada,
Już do małżeństwa skora,
Nie boi się upiora;
Bo w myśli swéj układa,
Nigdy w żadnéj potrzebie
Nie wołać go do siebie.
I s tych układów rada,
Jak wpadła, tak wypada.
Bieży prosto do domu
Nic nie mówiąc nikomu.
Bieży przez łąki przez gaje,
I bieży i staje,
I staje i myśli i słucha:
Zda się że ją ktoś goni,
I że cóś szepce do niéj,
W około ciemność głucha:
„To ja, twój mąż, twój mąż!«
I staje i myśli i słucha,

Słucha, zrywa się, bieży,
Włos się na głowie jeży,
Wtył obejrzéć się lęka,
Coś wciąż po krzakach stęka,
Echo powtarza wciąż:
„To ja, twój mąż, twój mąż?“

Lecz zbliża się niedziela,
Zbliża się czas wesela.
Zaledwie słońce wschodzi,
Wybiegają dwaj młodzi.
Pani śród dziewic grona
Do ślubu prowadzona,
Wystąpi śród kościoła
I bierze pierwszy wianek,
Obnosi go do koła;
„Oto w wieńcu lilije,
Ach czyjeż to są, czyje?
Kto mój mąż, kto kochanek?“

Wybiega starszy brat,
Radość na licach płonie,
Skacze i klaszcze w dłonie,
„Tyś moja, mój to kwiat!“
Między lilii kręgi,
Uplotłem wstążek zwój,
To znak, to moje wstęgi!
To mój, to mój, to mój!“

„Kłamstwo!—drugi zawoła,
Wyjdźcie tylko s kościoła,
Miejsce widzieć możecie,
Kędy rwałem to kwiecie.
Rwałem na łączce w gaju,
Na grobie przy ruczaju,
Okaże grób i zdrój,
To mój, to mój, to mój!«

Kłócą się źli młodzieńce;
Ten mówi, ten zaprzecza;
Dobyli z pochew miecza;
Wszczyna się srogi bój,
Szarpią do siebie wieńce;
„To mój, to mój, to mój!«

Wtém drzwi kościoła trzasły,
Wiatr zawiał, świece zagasły,
Wchodzi osoba w bieli,
Znany chód, znana zbroja,
Staje, wszyscy zadrżeli,
Staje, patrzy ukosem,
Podziemnym woła głosem:
„Mój wieniec i ty moja!
Kwiat na mym rwany grobie,
Mnie księże stułą wiąż;
Zła żono, biada tobie!

To ja twój mąż, twój mąż!
Źli bracia, biada obu!
Z mego rwaliście grobu,
Zawieście krwawy bój,
To ja twój mąż, wasz brat,
Wy moi, wieniec mój,
Daléj na tamten świat!«

Wstrzęsła się cerkwi posada,
Z zrębu wysuwa się zrąb,
Sklep trzeszczy, głąb zapada,
Cerkiew zapada w głąb.
Ziemia ją z wierzchu kryje,
Na niéj rosną lilije,
A rosną tak wysoko,
Jak pan leżał głęboko.

DUDARZ.

BALLADA [1])

Jakiż to dziadek, jak gołąb' siwy,
S siwą aż do pasa brodą,
Dwaj go chłopczyki pod rękę wiodą,
Wiodą mimo naszéj niwy.

Starzec na lirze brząka i nóci,
Chłopcy dmą w dudeczki s piórek;
Zawołam starca, niech się zawróci,
I przyjdzie pod ten pagórek.

---

[1]) Myśl s pieśni gminnéj.

„Zawróć się starcze tu na igrzysko,
Tu się po siewbie weselim;
Co nam dał Pan Bóg, tém się podzielim,
I do wsi na noc stąd blisko.“

Posłuchał, przyszedł, skłonił się nisko,
I usiadł sobie pod miedzą;
Przy nim po bokach chłopczyki siedzą,
Patrząc na wiejskie igrzysko.

Tu brzmią piszczałki, biją bębenki,
Płoną stosy suchych drewek;
Piją staruszki, skaczą panienki,
Obchodząc święto dosiewek.

Milczą piszczałki, głuchną bębenki,
Porzuca ogień gromadka;
Biegą staruszki, biegą panienki,
Biegą do dudarza dziadka.

„Witaj dudarzu, witamy radzi,
W wesołéj przychodzisz dobie;
Pewnie z daleka Pan Bóg prowadzi,
Pogrzéj się i spoczniéj sobie.“

Wiodą gdzie ogień, gdzie stół z murawy,
Sadzą dudarza pośrodku;

„Może pozwolisz na trochę strawy,
Albo na szklaneczkę miodku?

„Widzim i lirę, widzim piszczałki,
Zagraj nam co samotrzeci,
Napełnim za to tłomok, kobiałki,
I będziem wdzięczni waszeci.“

„No, stójcież cicho,—rzekł do gromadki;
Cicho!—powtarza, w dłoń klaska,
Jeżeli chcecie, zagram wam dziatki,
A cóż wam zagrać!“—„Co łaska.“

Wziął w ręce lirę i szklankę sporą,
Miodem pierś starą zagrzewa,
Mrugnął na chłopców, ci dudki biorą,
Brząknął, nastroił i śpiewa.

—„Idę ja Niemnem, jak Niemen długi,
Od wioseczki do wioseczki,
Z borku do borku, s smugów na smugi,
Śpiewając moje piosneczki.

„Wszyscy się zbiegli, wszyscy słuchali,
Ale nikt mię nie rozumie;
Ja łzy ocieram, westchnienia tłumię,
I idę daléj a daléj.

„Kto mię zrozumie, ten się użali,
I w białe uderzy dłonie;
Uroni łeskę, i ja uronię,
Ale już nie pójdę daléj.“

A wtém grać przestał, nim znowu zacznie,
Przelotem spojrzał po błoniu;
Lecz w jednę stronę spoziera bacznie;
Któż tam stoi na ustroniu?

Stała pasterka i plotła wieniec,
To uplecie, to rosplecie;
A obok przy niéj stoi młodzieniec,
I splecione przyjął kwiecie.

Spokojność duszy z jéj widać czoła,
Ku ziemi spuszczone oko,
Nie była smutna ani wesoła,
Tylko coś myśli głęboko.

Jak puszkiem chwieje trawka zielona,
Choć wiatr przestanie oddychać;
Tak się na piersiach chwieje zasłona,
Chociaż westchnienia nie słychać.

Wtém s piersi listek zżółkły odepnie,
Listek nieznanego drzewa;

Spójrzy nań, rzuci, i s cicha szepnie,
Jakby się na listek gniewa.

Odwraca głowę, odeszła nieco,
Podniosła w niebo źrenice,
Nagle na oczach łezki zaświecą,
I róż wystąpił na lice.

A dudarz milczy, brząka powoli,
A wzrok utopił w pasterce,
Utopił w licu, lecz wzrok sokoli,
Zdał się przedziérać aż w serce.

Znowu wziął lirę i spory dzbanek,
Miodem pierś starą zagrzewa;
Skinął na chłopców, ci do multanek,
Brząknął, nastroił i śpiewa:

„Komu ślubny splatasz wieniec
Z róż, lilii i tymianka?
Ach! jak szczęśliwy młodzieniec,
Komu ślubny splatasz wieniec.

„Pewnie dla twego kochanka?
Wydają łzy i rumieniec,
Komu ślubny splatasz wieniec,
Z róż, lilii i tymianka.

„Jednemu oddajesz wieniec,
Z róż, lilii i tymianka;
Kocha cię drugi młodzieniec,
Ty jednemu oddasz wieniec;
Zostawże łzy i rumieniec
Dla nieszczęsnego kochanka;
Gdy szczęśliwy bierze wieniec,
Z róż lilii i tymianka.“ [1])

Na to szmer powstał, różne pogłoski,
Pomiędzy ciżbą przytomną.
Tę piosnkę śpiewał ktoś z naszéj wioski,
Lecz kto i kiedy nie pomną.

Starzec ucisza, podnosi rękę,
Słuchajcie dzieci—zawoła:
„Powiem, od kogo mam tę piosenkę,
Może on był s tego sioła.

„Kiedym wędrując przez kraje cudze,
Królewiec zwiedził przechodem,
Wtenczas przypłynął z Litwy na strudze,
Pasterz jakiś s tych stron rodem.

„Smutny był bardzo, ale przyczyny
Smutku nie mówił nikomu,

[1]) Te tryolety wyjęte są s poezyi Tomasza *Zana*.

Odbił się potém od swéj drużyny,
I nie powrócił do domu.

„Często widziałem, czy świecą zorza,
Czyli księżyc w pełnym blasku,
Jak on po błoniach, albo u morza,
Po nadbrzeżnym błądził piasku.

„Pośród skał nieraz podobny skale,
Na deszczu, wietrze i chłodzie,
Odludny dumał, wiatrom swe żale,
A łzy powierzając wodzie.

„Szedłem ku niemu, spozierał smutnie,
Ale odemnie nie stronił,
Jam nic nie mówiąc nastroił lutnię,
Zaśpiewał, w strony zadzwonił.

„Łzy mu się rzucą, lecz skinął czołem,
Że się to granie podoba;
Ścisnął za rękę, ja go ścisnąłem,
I zapłakaliśmy oba.

„Poznaliśmy się lepiéj nawzajem,
I byliśmy przyjaciele.
On zawsze milczał swoim zwyczajem,
I ja mówiłem nie wiele.

„Potém, gdy troską strawiony długą,
Już nie mógł rady dać sobie;
Ja towarzyszem, ja byłem sługą,
Jam go pilnował w chorobie.

„Nędzny w mych oczach gasnął powoli:
Raz mię przywołał do łoża,
—Czuję, rzekł, bliski koniec niedoli,
Niech się spełni wola Boża.

„Zgrzeszyłem tylko, że moje lata,
Tak się nadaremnie starły;
Ale bez żalu schodzę ze świata,
Dawno już na nim umarły.

„Kiedy mię skał tych dziki zakątek,
Ukrył przed gminu obliczem,
Odtąd już dla mnie świat ten był niczem;
Żyłem na świecie pamiątek.

„Ty, coś mi wiernym został do grobu“—
Kończył, ściskając za ręce:
„Nagrodzić tobie nie mam sposobu,
Wszakże to, co mam, poświęcę.

„Znasz piosnkę, którąm po tyle razy
Śpiewał, płacząc nad mym losem;

Pomnisz zapewne wszystkie wyrazy,
I wiesz jakim śpiewać głosem.

„Mam jeszcze z bladych włosów zawiąskę
I zeschły cyprysu listek;
Naucz się piosnki, weź tę gałąskę,
To mój na ziemi skarb wszystek.

„Idź, może znajdziesz na brzegach Niemna,
Tę, któréj już nie obaczę,
Może jéj piosnka będzie przyjemna,
Może nad listkiem zapłacze.

„Nagrodzi starca, do domu przyjmie,
Powiedz....„—wtém oko ściemniało,
A w ustach Panny Najświętszéj imie,
W pół wymówione zostało.

„Silił się jeszcze, i w samym skonie,
Napróżno coś wyrzec żądał.
Wskazał ku sercu i ku téj stronie,
Na którą żyjąc poglądał.“

—Tu przerwał dudarz i szukał okiem
Dostając listek s papierka;
Lecz już nie była między natłokiem,
Ta, któréj szukał, pasterka.

Zdaleka tylko poznał sukienkę,
Bo w chustce skryła twarz boską,
Jakiś młodzieniec wiódł ją pod rękę,
Już ich nie widać za wioską.

Przybiegła zgraja, gdzie starzec siedział,
„Co to jest?“—wszyscy pytają;
On nic nie wiedział, może i wiedział,
Ale nie mówił przed zgrają.

CZATY.

(BALLADA UKRAIŃSKA.)

Z ogrodowéj altany, wojewoda zdyszany,
Bieży w zamek z wściekłością i trwogą.
Odchyliwszy zasłony, spójrzał w łoże swéj żony,
Pójrzał, zadrżał, nie znalazł nikogo.

Wzrok opuścił ku ziemi, i rękami drżącemi
Siwe wąsy pokręca i duma.
Wzrok od łoża odwrócił, wtył wyloty zarzucił,
I zawołał kozaka Nauma.

„Héj kozaku, ty chamie, czemu w sadzie przy bramie
Nie ma nocą ni psa, ni pachołka?
Weź mi torbę borsuczą, i janczarkę hajduczą,
I mą strzelbę gwintówkę zdejm z kołka.“

Wzięli bronie, wypadli, do ogrodu się wkradli,
Kędy szpaler altanę obrasta.
Na darniowem siedzeniu, coś bieleje się w cieniu:
To siedziała w bieliźnie niewiasta.

Jedną ręką swe oczy kryła w puklach warkoczy,
I pierś kryła pod rąbek bielizny;
Drugą ręką od łona odpychała ramiona
Klęczącego u kolan mężczyzny.

Ten ściskając kolana, mówił do niéj: „kochana!
Więc już wszystko, jam wszystko utracił!
Nawet twoje westchnienia, nawet ręki ściśnienia
Wojewoda już z góry zapłacił.

„Ja choć z takim zapałem, tyle lat cię kochałem,
Będę kochał i jęczał daleki;
On nie kochał, nie jęczał, tylko trzosem zabrzęczał,
Tyś mu wszystko przedała na wieki!

„Co wieczora on będzie, tonąc w puchy łabędzie,
Stary łeb na twém łonie kołysał,
I z twych ustek różanych i z twych liców rumianych
Mnie wzbronione słodycze wysysał!

„Ja na wiernym koniku, przy księżyca promyku,
Biegnę tutaj przez chłody i słoty,

Bym cię witał westchnieniem, i pożegnał życzeniem
Dobréj nocy i długiéj pieszczoty!«

Ona jeszcze nie słucha, on jéj szepce do ucha,
Nowe skargi czy nowe zaklęcia:
Aż wzruszona, zemdlona, opuściła ramiona,
I schyliła się w jego objęcia.

Wojewoda z kozakiem, przyklękneli za krzakiem,
I dobyli z za pasa naboje,
I odcięli zębami, i przybili stęplami,
Prochu garść i grankulek we dwoje.

„Panie! kozak powiada, jakiś bies mię napada,
Ja nie mogę zastrzelić téj dziewki;
Gdym półkurcze odwodził, zimny dreszcz mię prze-
I stoczyła się łza do panewki.« chodził,

—„Ciszéj, plemię hajducze, ja cię płakać nauczę,
Masz tu z prochem leszczyńskim sakiewkę,
Podsyp zapał, a żywo sczyść paznogciem krzesiwo,
Potém palnij w twój łeb, lub w tę dziewkę.

„Wyżéj..w prawo...pomału, czekaj mego wystrzału,
Pierwéj musi w łeb dostać Pan młody.«—
Kozak odwiódł, wycelił, nie czekając wystrzelił,
I ugodził w sam łeb— wojewody.

UCIECZKA.[1])

BALLADA.

On wojuje—rok upłynął,
On niewraca—może zginął,
Panno szkoda młodych lat,
Od xiążęcia jedzie swat.

---

[1]) Ta powieść znajoma jest ludom wszystkich krajów chrześciańskich. Poeci rozmaicie ją przerabiali. Bürger ułożył z niéj sławną swoję Lenorę. Nieznając piosnki gminnéj niemieckiéj nie można wiedzieć o ile Bürger rzecz i styl odmienił. Niniejszą balladę ułożyłem podług piosnki, którą niegdyś słyszałem w Litwie śpiewaną po polsku. Treść i układ zachowałem wiernie, ale wierszy gminnych ledwie kilka zostało mi się w pamięci i te służyły mi za wzór stylu.

Xiąże ucztuje we dworze,
A panna płacze w komorze,

Jéj źrenice, błyskawice,
Dziś jak dwie mętne krynice,
Jéj lica, pełnia xiężyca,
Dziś nikną jak xiężyc w nowiu;
Biada wdziękom, biada zdrowiu.

Matka troszczy się i biedzi,
Xiąże dał na zapowiedzi.

Swadźba jedzie szumnie, tłumnie.
—„Nie powiozą do ołtarza,
Powiozą mię do smętarza,
A pościelą chyba w trumnie.
Ja umrę gdy on nieżyje,
Ciebie matko żal zabije.“

Xiądz w konfesyonale siedzi,
Czas, o córko, do spowiedzi.

Przyszła kuma, wiedźma stara:
Wypędź xiędza, wypędź klechę;
Bóg i wiara, sen i mara,
Kuma w biedzie ma pociechę;
Kuma stara umie wiele,
Ma kwiat paproć i car ziele, [1])

[1]) Zioła używane do gusłów w Litwie.

A ty masz kochanka dary:
Przyszłam zrobić możne czary.

Włosy jego w węża splącz,
Dwie obrączki razem złącz,
Z lewéj ręki krwi usącz,
A na węża będziem kląć,
W dwie obrączki będziem dąć:
Musi przyjść i ciebie wziąć.

Panna grzeszy—jeździec śpieszy.
Klęto ducha—klątwy słucha,
Już odemknął zimny gmach,
Panno, Panno czy nie strach?

Ucichł, usnął dwór zamkowy,
Panna czuwa.—Na zegarze
Bije północ,—milczą straże;
Panna słyszy—dźwięk podkowy,
Brytan jakby głosu niemiał,
Zawył s cicha i oniemiał.

Skrzypnęły dolne podwoje,
Stąpa ktoś w przysionkach długich
I otwiera się drzwi troje,
Troje drzwi jedne po drugich,

Wchodzi jeździec cały w bieli
I usiada na pościeli.

Słodko, prędko czas ucieka,
Wtém koń zarżał, jękła sowa,
Zegar wybił.—„Bywaj zdrowa,
Koń mój zarżał, koń mój czeka,
Albo wstawaj, na koń siądź,
I na wieki moją bądź.“

Miesiąc świeci—jeździec leci
Po zaroślach i po krzach,
Panno, Panno, czy nie strach?

Rumak polem jak wiatr niesie,
Niesie lasem,—głucho w lesie;
Tu i owdzie wystraszona
W suchéj jodle kracze wrona,
Po łozach wilcze źrenice,
Migają się jako świéce.

„W cwał mój koniu, koniu w cwał,
Miesiąc na dół schodzi s chmur,
A nim zejdzie miesiąc s chmur,
Mamy sadzić dziesięć skał,

Dziesięć rzek i dziewięć gór,
Za godzinę pieje kur.«

– Gdzie mnie wieziesz? Gdzie? do domu.
Dom mój na górze Mendoga,[1])
W dzień otwarta wszystkim droga,
W nocy jeździm pokryjomu.
—Czy masz zamek?—Tak jest, zamek,
I zamczysty choć bez klamek.

—Mój kochanku, konia wstrzymaj,
Ledwie dosiędzę na łęku.
—Moja luba siodła imaj
Prawą ręką—co masz w ręku?
Czy to worek do roboty?—
Nie, to jest ołtarzyk złoty.

—Nie czas wstrzymać, pogoń bieży,
Słyszysz pogoń, tętnią błonia;
Już przed koniem przepaść leży,
Rzucaj xiążkę, puszczam konia.—

Koń jak gdyby zbył ciężaru,
Przemknął dziesięć sążni jaru.

---

[1]) Góra Mendoga pod Nowogródkiem obrócona na smętarz, stąd w tamtych okolicach Litwy pójść na Mendogową górę, znaczy umrzeć.

Lecą bagnem przez manowiec,
Pusto w koło. Błędny ognik,
Tuż przed nimi jak przewodnik,
Od grobowca na grobowiec
Przelatuje, gdzie przeleci
Ślad błękitny za nim świeci,
A tym śladem jeździec leci.

—Mój kochanku, co za droga?
Tu nieznać śladu człowieka.—
—Dobra droga, kiedy trwoga,
Krzywo jedzie kto ucieka.
Śladów nie masz do mych włości,
Bo nie wpuszczam pieszych gości:
Bogatego wiozą cugi,
Ubogiego niosą sługi.

„W cwał mój koniu, koniu w cwał,
Błyska zorza z wschodnich stron,
Za godzinę bije dzwon.
Nim uderzy ranny dzwon,
Mamy sadzić parę skał,
Parę rzek i parę gór,
Za godzinę drugi kur.“

—Mój kochanku, wstrzymaj wodze,
Koń się lęka, bokiem sadzi,

Pełno skał i drzew na drodze,
Koń o drzewo mię zawadzi.
—Moja luba, jakie sznurki
Jakie wiszą tam kieszonki?—
—Mój kochanku, to paciórki,
To szkaplerze i koronki.—

—Sznur przeklęty! sznur z nienacka
Rumakowi miga w oczy,
Patrz jak zadrżał, bokiem skoczy.
Moja luba rzuć te cacka.

Koń jak gdyby pozbył trwogi,
Ubiegł prosto pięć mil drogi.

—Co to za smętarz? mój miły!
—To mur co mych zamków strzeże.
—A te krzyże, te mogiły?—
—To nie krzyże, to są wieże.
Mur przeskoczym, przejdziem progi,
Tu na wieki koniec drogi.

„Stój mój koniu, koniu stój,
Przebyłeś nim zapiał kur,
Tyle rzek i skał i gór,
A tuś zadrżał koniu mój.

Wiem ja koniu czego drżysz,
Mnie i tobie boli krzyż.«

—Czegoś stanął mój kochanku?
Zimna rosa mię spłókała,
Zimno wieje wiatr poranku,
Okryj płaszczem, bo drżę cała.
—Moja luba, przytul skronie,
Na twych piersiach głowę złożę,
Głowa moja ogniem płonie
I kamienie ogrzać może.

Jaki masz tam ćwiek ze stali?—
—To krzyżyk co matka dała.—
—Ten krzyżyk ostry jak strzała
Twarz mi rani, skronie pali,
Precz mi z tym ćwiekiem ze stali!

Krzyż na ziemię padł i zniknął,
Jeździec Pannę w poły ścisnął,
Z oczu i ust ogniem błysnął,
Rumak ludzkim śmiechem ryknął.
Przeskoczyli cwałem mury,
Biją dzwony, pieją kury.
Nim xiądz przyszedł na mszę ranną,
Zniknął koń z jeźdzcem i panną.

Na smętarzu cisza była,
Stoją krzyże, głazy leżą,
Jedna bez krzyża mogiła
I ziemia ruszona świeżo.

Xiądz nad grobem długo stał
I mszę za dwie dusze miał.

RENEGAT.

(BALLADA TURECKA).

Co się niedawno stało w Iranie,
Opowiem światu całemu;
Na kaszemirskim usiadł dywanie
Basza pośrodku haremu.

Pieją Greczynki, pieją Czerkieski,
Pląsają branki Kirgisa,
U tych w źrenicach zefir niebieski,
U tamtych cienie Eblisa.

Basza nie widzi, Basza nie słucha,
Turban zawiesił nad okiem,
Drzemie i dymy ciągnąc s cybucha,
Okrył się wonnym obłokiem.

Wtém u wrót szczęścia hałas się wzmaga,
Rozstąpiły się sług rzędy,
Nieznaną brankę wiódł Kyzlar-Aga
Skłonił się i rzekł: „Effendy!

„Którego jasność takiéj jest mocy
Między gwiazdami dywanu,
Jak śród brylantów na szatach nocy
Ognisko Aldeboranu.

„Racz ku mnie błysnąć, gwiazdo dywanu
Bom dobrych nowin tłómaczem,
Oto służebny wiatr z Lehistanu
Darzy cię nowym haraczem.

„Padiszach nie ma takiéj krzewiny,
W sadzie roskoszy w Stambule;
Ona jest rodem z zimnéj krainy,
Którą wspominasz tak czule."

Tu gazę co jéj wdzięki przygasza
Odsłonił—cały dwór klasnął [1]);

---

[1]) *Cały dwór klasnął* — wyrażenie Europejskie, — w duchu wschodnim należałoby powiedzieć: cały dwór włożył do ust otwartych milczenia palec podziwu.

Spójrzał raz na nią trzytulny Basza,
Wypuścił cybuch i zasnął.

Chyli się na bok, turban mu spada,
Biegą przebudzić,—o dziwy!
Usta ssiniałe, twarz śmiercią blada,
Basza Renegat nieżywy!—

TRZECH BUDRYSÓW.

BALLADA LITEWSKA.

Stary Budrys trzech synów, tęgich jak sam Litwinów,
Na dziedziniec przyzywa i rzecze:
„Wyprowadźcie rumaki i narządźcie kulbaki,
A wyostrzcie i groty i miecze.

„Bo mówiono mi w Wilnie, że otrąbią niemylnie,
Trzy wyprawy na świata trzy strony:
Olgierd ruskie posady, Skirgiełł Lachy sąsiady,
A ksiądz [1]) Kiejstut napadnie Teutony.

---

[1]) Po staremu *ksiądz* zamiast *książe*.

„Wyście krzepcy i zdrowi, jedźcie służyć krajowi,
Niech Litewskie prowadzą was Bogi;
Tego roku nie jadę, lecz jadącym dam radę:
Trzéj jesteście i macie trzy drogi.

„Jeden z waszych biedz musi za Olgierdem ku Rusi,
Po nad Ilmem, pod mur Nowogrodu,
Tam sobole ogony i srebrzyste zasłony,
I u kupców tam dzięgi jak lodu.

„Niech zaciągnie się drugi, w księdza Kiejstuta cugi,
Niechaj tępi krzyżaki psubraty,
Tam bursztynów jak piasku, sukna cudnego blasku,
I kapłańskie w brylantach ornaty.

„Za Skirgiełłem niech trzeci, po za Niemen prze-
Nędzne znajdzie tam sprzęty domowe, [leci,
Ale za to wybierze dobre szable, puklerze,
I mnie ztamtąd przywiezie synowę.

„Bo nad wszystkich ziem branki, milsze Laszki ko-
Wesolutkie jak młode koteczki, [chanki,
Lice bielsze od mleka, z czarną rzęsą powieka,
Oczy błyszczą się jak dwie gwiazdeczki.

„Ztamtąd ja przed półwiekiem, gdym był młodym
Laszkę sobie przywiozłem za żonę, [człowiekiem,

A choć ona już w grobie, jeszcze dotąd ją sobie
Przypominam gdy spójrzę w tę stronę."

Taką dawszy przestrogę, błogosławił na drogę;
Oni wsiedli, broń wzięli, pobiegli.
Idzie jesień i zima, synów niéma i niéma,
Budrys myślał, że w boju polegli.

Po śnieżystéj zamieci, do wsi zbrojny mąż leci,
A pod burką wielkiego coś chowa.
„Ej to kubeł, w tym kuble nowogrodzkie są ruble?"
—„Nie mój ojcze, to Laszka synowa."

Po śnieżystéj zamieci, do wsi zbrojny mąż leci,
A pod burką wielkiego coś chowa.
„Pewnie z Niemiec mój synu, wieziesz kubeł bur-
—«Nie mój ojcze, to Laszka synowa." [sztynu?"

Po śnieżystéj zamieci, do wsi jedzie mąż trzeci,
Burka pełna, zdobyczy tam wiele;
Lecz nim zdobycz pokazał, stary Budrys już kazał
Prosić gości na trzecie wesele.

SONETY.

Quand'era in parte altr'uom da quel, ch'io sono.

Petrarca.

I.

Przypomnienie.

Lauro! czyliż te piękne wieków naszych lata,
Jeszcze się kiedy twojéj malują pamięci?
Kiedyśmy sami tylko i sobą zajęci,
Dbać nie chcieli o resztę obcego nam świata.

Chłodnik, co się zielonym jaśminem wyplata,
Strumień co z miłym szmerem po łące się kręci,
Tam nas często wzajemne tłómaczących chęci,
Późnéj nocy miłośna osłoniła szata.

A xiężyc s pod bladego wyjrzawszy obłoku,
Śnieżne piersi i złote rozświecał pierścienie,
Boskiego wdziękom twoim przydając uroku.

Wtenczas serca porywa słodkie zachwycenie,
Usta się spotykają, oko ginie w oku,
Łza ze łzą i z westchnieniem miesza się westchnienie!

II.

Do Laury.

Ledwiem ciebie zobaczył, jużem się zapłonił,
W nieznaném oku dawnéj znajomości pytał:
I s twych jagód wzajemny rumieniec wykwitał
Jak z róży któréj piersi zaranek odsłonił.

Ledwieś piosnkę zaczęła, jużem łzy uronił,
Twój głos wnikał do serca i za duszę chwytał;
Zdało się że ją anioł po imieniu witał,
I w zegar niebios chwilę zbawienia zadzwonił.

O luba! niech twe oczy przyznać się nie boją,
Jeśli cię mém spójrzeniem, jeśli głosem wzruszę,
Nie dbam, że los i ludzie przeciwko nam stoją,

Że uciekać i kochać bez nadziei muszę,
Niech ślub ziemski innego darzy ręką twoją,
Tylko wyznaj, że Bóg mi poślubił twą duszę.

III.

Mówię s sobą, z drugimi plączę się w rozmowie,
Serce bije gwałtownie, oddechem nie władnę,
Iskry czuję w źrenicach a na twarzy bladnę;
Nie jeden z obcych głośno pyta o me zdrowie,

Albo o mym rozumie coś na ucho powie,
Tak cały dzień przemęczę; gdy na łoże padnę,
W nadziei że snem chwilę cierpieniom ukradnę,
Serce ogniste mary zapala w méj głowie.

Zrywam się, biegę, składam na pamięć wyrazy,
Któremi mam złorzeczyć okrucieństwu twemu.
Składane, zapomniane po milijon razy.

Ale gdy ciebie ujrzę, nie pojmuję czemu
Znowu jestem spokojny, zimniejszy nad głazy,
Aby goreć na nowo—milczeć po dawnemu.

IV.

Nie uczona twa postać, nie wymyślne słowa,
Ani lice, ni oko nad inne nie błyska:
A każdy rad cię ujrzéć, rad posłyszéć zbliska;
Choć w ubraniu pasterki, widno, żeś królowa.

Wczora brzmiały i pieśni i głośna rozmowa,
Pytano się o twoich rówiennic nazwiska,
Ten im pochwały sypie, inny żarty ciska,
Ty weszłaś,—każdy święte milczenie zachowa.

Tak śród uczty gdy śpiewak do chóru wyzywał,
Gdy koła tańcujące wiły się po sali,
Nagle staną i zmilkną, każdy zapytywał,

Nikt nie wiedział dlaczego w zadumieniu stali.
„Ja wiem, rzecze poeta, anioł przelatywał."
Uczcili wszyscy gościa,—nie wszyscy poznali.

V.

Widzenie się w gaju.

—Tyżeś-to? i tak późno?—Błędną miałem drogę,
Śród lasów, przy niepewnym xiężyca promyku;
Tęskniłaś? myślisz o mnie?—Luby niewdzięczniku!
Pytaj się, czy ja myśléć o czém inném mogę!

—„Pozwól uścisnąć dłonie, ucałować nogę,
Ty drżysz! czego?"—Ja nie wiem, błądząc po gaiku,
Lękam się szmeru liścia, nocnych ptaków krzyku;
Ach! musimy bydź winni kiedy czujem trwogę.

—„Spójrzyj mi w oczy, w czoło; nigdy s takiém czołem
Nie idzie zbrodnia, trwoga nie patrzy tak śmiele.
Przebóg! jesteśmyż winni że siedziemy społem?

„Wszak siedzę tak daleko, mówię tak nie wiele,
I zabawiam się s tobą, mój ziemski aniele!
Jak gdybyś już niebieskim stała się aniołem."

V.

Potępi nas świętoszek, rozpustnik wyśmieje,
Że chociaż samotnemi otoczeni ściany,
Chociaż ona tak młoda, ja tak zakochany,
Przecież ja oczy spuszczam, a ona łzy leje.

Ja bronię się ponętom, ona i nadzieje
Chce odstraszyć, co chwila brząkając kajdany,
Któremi ręce związał nam los opłakany.
Nie wiemy sami co się w sercach naszych dzieje.

Jestże to ból? lub roskosz? gdy czuję ściśnienia
Twych dłoni, kiedy z ustek zachwycę płomienia,
Luba! czyż mogę temu dać imię cierpienia?

Ale kiedy się łzami nasze lica zroszą,
Gdy się ostatki życia w westchnieniach unoszą,
Luba! czyliż to mogę nazywać roskoszą?

VII.

Ranek i wieczór.

Słońce błyszczy na wschodzie w chmur ognistych [wianku,
A na zachodzie xiężyc blade lice mroczy,
Róża za słońcem pączki rozwinione toczy,
Fijołek klęczy zgięty pod kroplami ranku.

Laura błysnęła w oknie, ukląkłem na ganku;
Ona muskając sploty swych złotych warkoczy,
—Czemu, rzekła, tak rano smutne macie oczy,
I miesiąc i fijołek i ty mój kochanku?

W wieczór przyszedłem nowym bawić się widokiem;
Wraca xiężyc, twarz jego pełna i rumiana,
Fijołek podniósł listki otrzeźwione mrokiem;

Znowu stanęła w oknie moja ukochana,
W piękniejszym jeszcze stroju i z weselszém okiem;
Znowu u nóg jéj klęczę—tak smutny jak zrana.

VIII.

S Petrarki.

Senuccio i'vo'che sappi.

Chcecie wiedzieć co cierpię, rówiennicy moi,
Odmaluję najwierniéj ile pióro zdoła.
Mary ja dotąd pośród pamiątek kościoła
Myślą gonię i duch mój o przeszłości roi.

Tu zwykła igrać, ówdzie zamyślona stoi,
Tam z niechęcią twarz kryła, tu mię okiem woła,
Tu gniewna, tam posępna, tu znowu wesoła,
Tu swe lica w łagodność, tu w powagę stroi.

Tam piosenkę nóciła, tu mi dłoń ścisnęła,
Tu usiadła, tam naszéj rozmowy początek,
Stąd biegła, tu na piasku imię moje kryśli,

Tam słówko powiedziała, tu s cicha westchnęła,
Tam się zarumieniła.—Ach! śród tych pamiątek,
Wiecznie miota się serce i plączą się myśli.

IX.

Do Niemna.

Niemnie, domowa rzeko moja! gdzie są wody,
Które niegdyś czerpałem w niemowlęce dłonie,
Na których potém w dzikie pływałem ustronie,
Sercu niespokojnemu szukając ochłody?

Tu Laura, patrząc s chlubą na cień swéj urody,
Lubiła włos zaplatać i zakwiecać skronie,
Tu obraz jéj malowny w srebrnéj fali łonie
Łzami nieraz mąciłem, zapaleniec młody.

Niemnie, domowa rzeko, gdzież są tamte zdroje,
A z niemi tyle szczęścia, nadziei tak wiele?
Kędy jest miłe latek dziecinnych wesele?

Gdzie milsze burzliwego wieku niepokoje?
Kędy jest Laura moja, gdzie są przyjaciele?...
Wszystko przeszło, a czemuż nie przejdą łzy moje!

X.

Strzelec.

Widziałem jak dzień cały, pośród letniéj spieki,
Błąkał się strzelec młody; stanął nad strumieniem,
Długo poglądał wkoło i rzecze z westchnieniem:
„Chcę ją widzieć nim kraj ten opuszczę na wieki;

„Chcę widzieć niewidziany.“ Wtém leci z za rzeki
Konna łowczyni, strojna Diany odzieniem,
Wstrzymuje konia, staje, zwraca się wejrzeniem.
Zapewne jechał za nią towarzysz daleki.

Strzelec cofnął się, zadrżał, i oczy Kaima
Zataczając po drodze gorzko się uśmiechał,
Drżącą ręką broń nabił, dąsa się i zżyma,

Odszedł nieco, jakoby swéj myśli zaniechał,
Wtém dojrzał mgłę kurzawy wzniesioną broń trzyma
Bierze na cel, mgła bliżéj,—lecz nikt nie nadjechał.

XI.

Blogoslawieństwo.

S PETRARKI.

Błogosławiony rok ów, miesiąc, i niedziela,
I dzień ów, i dnia cząstka, i owa godzina,

I chwila, i to miejsce, gdzie moja dziewczyna,
Uczuciami natchnęła, choć ich nie podziela.

Błogosławione oczki blasku i wesela,
Skąd amorek wygląda i łuczek napina,
Błogosławiony łuczek, strzałki i chłopczyna,
Co do mnie wówczas strzelił, ach! i dotąd strzela.

Błogosławię ci pierwsza piosnko nieuczona,
Którą odbiły lasy domowe i rzeki,
Którą potém ojczysta powtarzała strona.

Błogosławię ci pióro, którém w czas daleki,
Wsławiłem ją, i moja pierś błogosławiona,
W któréj Laura mieszkała, i mieszka na wieki.

XII.

Rezygnacya.

Nieszczęśliwy, kto próżno o wzajemność woła,
Nieszczęśliwy jest, kogo próżne serce nudzi,
Lecz ten u mnie ze wszystkich nieszczęśliwszy ludzi
Kto nie kocha, że kochał, zapomnieć nie zdoła.

Widząc jaskrawe oczy i bezwstydne czoła,
Pamiątkami zatruwa roskosz co go łudzi;

A jeśli wdzięk i cnota czucie w nim obudzi,
Nie śmie s przekwitłém sercem iść do stóp anioła.

Albo drugimi gardzi, albo siebie wini,
Minie ziemiankę, z drogi ustąpi bogini,
A na obiedwie patrząc, żegna się z nadzieją;

I serce ma podobne do dawnéj świątyni,
Spustoszałéj niepogód i czasów koleją,
Gdzie bóstwo nie chce mieszkać, a ludzie nie śmieją.

XIII.

Do * * *

Patrzysz mi w oczy, wzdychasz! zgubna twa prostota
Lękaj się jadu, który w oczach żmii płonie,
Uciekaj nim cię oddech zatruty owionie,
Jeśli nie chcesz kląć reszty twojego żywota.

Szczerość, jeszcze mi jedna pozostała cnota;
Wiédz że niegodny ogień zapalasz w mém łonie:
Lecz umiem żyć samotny, i po cóż przy zgonie
Ma się wikłać w me losy niewinna istota?

Lubię roskosz; lecz zwodzić nadto jestem dumny.
Tyś dziecko, mnie namiętne przepaliły bole:
Tyś szczęśliwa, twe miejsce w biesiadników kole,

Moje, gdzie są przeszłości smętarze i trumny.
Młody bluszczu, zielone obwijaj topole,
Zostaw cierniom grobowe otaczać kolumny.

XIV.

Piérwszy raz jam niewolnik z mojéj rad niewoli,
Patrzę na ciebie, s czoła nie znika pogoda,
Myślę o tobie, z myśli nie znika swoboda,
Kocham ciebie, a przecież serce mi nie boli.

Nieraz brałem za szczęście chwileczkę swawoli,
Nieraz mię obłąkała wyobraźnia młoda,
Albo słówka zdradliwe i wdzięczna uroda,
Lecz wtenczas i roskosznéj złorzeczyłem doli.

Nawet ową, gdy ową kochałem niebiankę,
Ileż łez, jaki zapał, jaka niegdyś trwoga,
I żal teraz na samę imienia jéj wzmiankę.

S tobą tylko szczęśliwy, s tobą moja droga!
Bogu chwała, że taką zdarzył mi kochankę,
I kochance, że uczy chwalić Pana Boga.

XV.

Luba! ja wzdycham, pamięć niebieskiéj pieszczoty,
Trują mi okropnego rozmyślania chwile.
Ach! może serce twoje, co cierpiało tyle,
Może, boję się wyrzec, pustoszą zgryzoty.

Luba, i cożeś winna że twych ocząt groty,
Tak palące, że usta śmieją się tak mile;
Zbyt ufałaś méj cnocie, zbyt swéj własnéj sile,
I nazbyt ognia Stwórca wlał w nasze istoty.

Przewalczyliśmy wiele i dni i tygodni,
Młodzi, zawsze samotni, zawsze s sobą w parze,
I byliśmy oboje długo siebie godni.

Teraz, ach! pójdę łzami oblewać ołtarze,
Nie będę mojéj żebrać przebaczenia zbrodni,
Tylko niech mię Bóg twoją zgryzotą nie karze.

XVI.

Dzień dobry.

Dzieńdobry! nie śmiem budzić, o wdzięczny widoku!
Jéj duch na poły w rajskie wzleciał okolice,

Na poły został, boskie ożywiając lice,
Jak słońce na pół w niebie, pół w srebrnym obłoku.

Dzieńdobry! już westchnęła, błysnął promyk w oku
Dzieńdobry! już obraża światłość twe źrenice,
Naprzykrzają się ustom muchy swawolnice,
Dzieńdobry! słońce w oknach, ja przy twoim boku.

Niosłem słodszy dzieńdobry, lecz twe senne wdzięki,
Odebrały mi światłość; niech się wprzódy dowiem
Z łaskawém wstajesz sercem? z orzeźwioném zdro-
[wiem?
Dzieńdobry! nie pozwalasz ucałować ręki?
Każesz odejść, odchodzę; oto masz sukienki,
Ubierz się i wyjdź prędko—dzieńdobry ci powiem.

XVII.

Dobranoc.

Dobranoc! już dziś więcéj nie będziem bawili,
Niech snu anioł modremi skrzydły cię otoczy,
Dobranoc! niech odpoczną po łzach twoje oczy,
Dobranoc! niech się serce pokojem zasili.

Dobranoc! s każdéj ze mną przemówionéj chwili,
Niech zostanie dzwięk jakiś cichy i uroczy,

Niechaj gra w twojém uchu, a gdy myśl zamroczy,
Niech się mój obraz sennym źrenicom przymili.

Dobranoc! obróć jeszcze raz na mnie oczęta,
Pozwól lica.—Dobranoc! Chcesz na sługi klasnąć?
Daj mi pierś ucałować.—Dobranoc! zapięta.

—Dobranoc! już uciekłaś, i drzwi chcesz zatrzasnąć.
Dobranoc ci przez klamkę, niestety! zamknięta!
Powtarzając dobranoc! nie dałbym ci zasnąć.

XVIII.

Dobry wieczór.

Dobrywieczór! on dla mnie najsłodszém życzeniem;
Nigdy, czy to przed nocą dzieli nas zapora,
Czyli mię ranna znowu przywołuje pora,
Nie żegnam się, nie witam s takiém zachwyceniem,

Jak w tę chwilę, wieczornym ośmielony cieniem;
Ty nawet, milczeć rada i płonić się skora,
Gdy usłyszysz życzenie dobrego wieczora,
Żywszém okiem, głośniejszém rozmawiasz we-
[stchnieniem.

Niechaj dzień dobry wschodzi tym, co społem żyją,
Objaśniać pracę, która ich ręce jednoczy;
Dobra noc niech szczęśliwych kochanków otoczy,

Gdy z roskoszy kielicha trosk osłodę piją;
A tym co się kochają i swą miłość kryją,
Dobry wieczór niech przyćmi zbyt wymowne oczy.

XIX.

Do D. D.

WIZYTA.

Ledwie wnijdę, słów kilka przemówię z nią samą,
Jużci dzwonek przeraża, wpada galonowy,
Za nim wizyta, za nią ukłony, rozmowy;
Ledwie wizyta z bramy, już druga za bramą.

Gdybym mógł, progi wilczą otoczyłbym jamą,
Stawiłbym lisie pastki, kolczate okowy,
A jeśli niedość bronią, uciecbym gotowy
Na tamten świat, Stygową zasłonić się tamą.

O przeklęty nudziarzu! ja liczę minuty,
Jak zbrodniarz co go czeka ostatnia katusza,
Ty pleciesz błahe dzieje wczorajszéj reduty.

Już bierzesz rękawiczki, szukasz kapelusza,
Teraz odetchnę nieco, wstąpi wemnie dusza,
O bogi! znowu siada, siedzi jak przykuty!

XX.

Do wizytujących.

Pragniesz miłym być gościem, czytaj rady moje:
Niedość wszedłszy donosić o czém wszyscy wiedzą,
Że dzisiaj tam walcują, ówdzie obiad jedzą,
Zboże tanie, dészcz pada, w Grecyi rozboje.

Jeśli w salonie znajdziesz bawiących się dwoje,
Zważaj czy cię z ukłonem, z rozmową uprzedzą,
Czyli daleko jedno od drugiego siedzą,
Czy wszystko jest na miejscu, czy w porządku stroje.

Jeśli pani co wyraz zaśmiać się gotowa,
Choć usta śmiać się nie chcą; jeśli panicz z boku
Pogląda i zegarek dobywa i chowa,

I grzeczność ma na ustach a coś złego w oku:
Wiesz jak ich trzeba witać? Bywaj zdrów, bądź [zdrowa!
A kiedy ich masz znowu odwiedzić?—po roku.

XXI.

Pożegnanie.

do O. O.

Odpychasz mię?—czym twoje serce już postradał?
Lecz jam go nigdy nie miał;—czyli broni cnota?
Lecz ty pieścisz innego; czy że nie dam złota?
Lecz jam go wprzódy nie dał, a ciebie posiadał.

I nie darmo; choć skarbów przed tobąm nie składał,
Ale mi drogo każda kupiona pieszczota,
Na wagę duszy mojéj, pokojem żywota;
Dla czegóż mię odpychasz? nadaremniem badał.

Dziś odkrywam łakomstwo nowe w sercu twojém,
Pochwalnych wierszy chciałaś: marny pochwał dy-
[mie!
Dla nich więc igrasz z bliźnich szczęściem i pokojem?

Nie kupić Muzy! W każdym ślizgałem się rymie,
Gdym szedł na Parnas z lauru wieńczyć cię zawojem;
I ten wiersz wraz mi stwardniał, żem wspomniał
[twe imie.

XXII.

Danaidy.

Płci piękna! gdzie wiek złoty, gdy za polne kwiaty,
Za haftowane kłosem majowe sukienki,
Kupowano panieńskie serduszka i wdzięki,
Gdy do lubéj gołębia posyłano w swaty?

Dzisiaj wieki są tańsze a droższe zapłaty:
Ta któréj złoto daję, prosi o piosenki;
Ta któréj serce daję, żądała méj ręki;
Ta którą opiewałem, pyta czym bogaty.

Danaidy! rzucałem w bezdeń waszéj chęci
Dary, pieśni, i we łzach rostopioną duszę;
Dziś z hojnego jam skąpy, s czułego szyderca.

A choć mię dotąd jeszcze nadobna twarz nęci,
Choć jeszcze was opiewać i obdarzać muszę,
Lecz dawniéj wszystko dałbym, dziś wszystko—
[prócz serca.

XXIII.

Exkuza.

Nuciłem o miłostkach w rówieników tłumie,
Jedni mię pochwalili, a drudzy szeptali:

Ten wieszcz kocha się tylko, męczy się i żali,
Nic innego nie czuje, lub śpiewać nie umie.

W dojrzalsze wchodząc lata, przy starszym rozumie,
Czemu serce płomykiem tak dziecinnym pali?
Czyliż mu na to wieszczy głos bogowie dali,
Aby o sobie tylko w każdéj nucił dumie?

Wielkomyślna przestroga!—wnet z górnemi duchy
Alcejski chwytam bardon, i strojem Ursyna,
Ledwiem zaczął przegrywać, aż cała drużyna

Rospierzchła się, unosząc zadziwione słuchy;
Zrywam struny i w Letę ciskam bardon głuchy.
Taki wieszcz jaki słuchacz.

SONETY KRYMSKIE.

Wer den Dichter will verstehen
Muss in Dichters Lande gehen.

Goethe.

TOWARZYSZOM

Podróży Krymskiéj.

AUTOR.

I.

Stepy Akermańskie.

Wpłynąłem na suchego przestwór Oceanu,
Wóz nurza się w zieloność i jak łódka brodzi,
Śród fali łąk szumiących, śród kwiatów powodzi,
Omijam koralowe ostrowy burzanu.

Już mrok zapada, nigdzie drogi ni kurhanu,
Patrzę wniebo, gwiazd szukam, przewodniczek łodzi,
Tam zdala błyszczy obłok—tam jutrzenka wschodzi;
To błyszczy Dniestr, to weszła lampa Akermanu.

Stójmy! — jak cicho! — słyszę ciągnące żurawie,
Którychby nie dościgły źrenice sokoła;
Słyszę kędy się motyl kołysa na trawie,

Kędy wąż śliską piersią dotyka się zioła.
W takiéj ciszy!—tak ucho natężam ciekawie,
Że słyszałbym głos z Litwy,—jedźmy, nikt nie woła.

II.

Cisza morska.

Na wysokości Tarkankut.

Już wstążkę pawilonu wiatr zaledwie muśnie,
Cichemi gra piersiami rozjaśniona woda;
Jak marząca o szczęściu narzeczona młoda,
Zbudzi się aby westchnąć, i wnet znowu uśnie.

Żagle, nakształt chorągwi gdy wojnę skończono,
Drzémią na masztach nagich; okręt lekkim ruchem
Kołysa się, jak gdyby przykuty łańcuchem;
Majtek wytchnął, podróżne rozśmiało się grono.

O morze! pośród twoich wesołych żyjątek
Jest polip, co śpi na dnie gdy się niebo chmurzy,
A na ciszę długiemi wywija ramiony.

O myśli! w twojéj głębi jest hydra pamiątek,
Co śpi w pośród złych losów i namiętnéj burzy;
A gdy serce spokojne, zatapia w niém szpony.

III.

Żegluga.

Szum większy, gęściéj morskie snują się straszydła,
Majtek wbiegł na drabinę, gotujcie się dzieci!
Wbiegł, rościągnął się, zawisł w niewidzialnéj sieci,
Jak pająk czatujący na skinienie sidła.

Wiatr!—wiatr!—dąsa się okręt, zrywa się z wędzidła,
Przewala się, nurkuje w pienistéj zamieci,
Wznosi kark, zdeptał fale, i skróś niebios leci,
Obłoki czołem sieka, wiatr chwyta pod skrzydła.

I mój duch masztu lotem buja śród odmętu;
Wzdyma się wyobraźnia jak warkocz tych żagli,
Mimowolny krzyk łączę z wesołym orszakiem;

Wyciągam ręce, padam na piersi okrętu,
Zdaje się że pierś moja do pędu go nagli:
Lekko mi! rzeźwo! lubo! wiem co to być ptakiem.

IV.

Burza.

Zdarto żagle, stér prysnął, ryk wód, szum zawiei,
Głosy trwożnéj gromady, pomp złowieszcze jęki,
Ostatnie liny majtkom wyrwały się z ręki,
Słońce krwawo zachodzi, z niém reszta nadziei.

Wicher s tryumfem zawył, a na mokre góry,
Wznoszące się piętrami z morskiego odmętu,
Wstąpił geniusz śmierci i szedł do okrętu,
Jak żołnierz szturmujący w połamane mury.

Ci leżą na pół martwi, ów załamał dłonie,
Ten w objęcia przyjaciół żegnając się pada,
Ci modlą się przed śmiercią, aby śmierć odegnać.

Jeden podróżny siedział w milczeniu na stronie
I pomyślił: szczęśliwy kto siły postrada,
Albo modlić się umie, lub ma s kim się żegnać!

V.

Widok gór ze Stepów Kozłowa.

PIELGRZYM.

Tam! czy Allah postawił ścianą morze lodu?
Czy aniołom tron odlał z zamrożonéj chmury?
Czy Diwy s ćwierci lądu dźwignęli te mury,
Aby gwiazd karawanę nie puszczać ze wschodu?

Na szczycie jaka łuna! pożar Carogrodu!
Czy Allah, gdy noc chylat rosciągnęła bury,
Dla światów żeglujących po morzu natury,
Tę latarnię zawiesił śród niebios obwodu?

MIRZA.

Tam? — Byłem; zima siedzi, tam dzioby potoków
I gardła rzek widziałem pijące z jéj gniazda;
Tchnąłem, z ust mych śnieg leciał, pomykałem
[kroków

Gdzie orły dróg nie wiedzą, kończy się chmur jazda,
Minąłem grom drzémiący w kolebce z obłoków,

Aż tam gdzie nad mój turban była tylko gwiazda.
To Czatyrdah!

PIELGRZYM.

Aa!!

VI.

Bakczesaraj.

Jeszcze wielka, już pusta Girajów dziedzina.
Zmiatane czołem baszów ganki i przedsienia,
Sofy, trony potęgi, miłości schronienia,
Przeskakuje szarańcza, obwija gadzina.

Skroś okien różnofarbnych powoju roślina,
Wdzierając się na głuche ściany i sklepienia,
Zajmuje dzieło ludzi w imie przyrodzenia,
I pisze Baltazara głoskami: „RUINA."

W środku sali wycięte z marmuru naczynie,
To fontanna haremu; dotąd stoi cało,
I perłowe łzy sącząc woła przez pustynie:

Gdzież jesteś, o miłości, potęgo i chwało!
Wy macie trwać na wieki, źródło szybko płynie,
O hańbo! wyście przeszły a źródło zostało.

VII.

Bakczesaraj w nocy.

Roschodzą się z dżamidów pobożni mieszkańce,
Odgłos izanu w cichym gubi się wieczorze,
Zawstydziło się licem rubinowém zorze,
Srebrny król nocy dąży spocząć przy kochance.

Błyszczą w haremie niebios wieczne gwiazd kagańce,
Śród nich po safirowym żegluje przestworze
Jeden obłok, jak senny łabędź na jeziorze,
Pierś ma białą, a złotem malowane krańce.

Tu cień pada z menaru i wierzchu cyprysa,
Daléj czernią się kołem olbrzymy granitu,
Jak szatany siedzące w dywanie Eblisa

Pod namiotem ciemności; niekiedy z ich szczytu
Budzi się błyskawica, i pędem Farysa
Przelatuje milczące pustynie błękitu.

VIII.

Grób Potockiéj.

W kraju wiosny, pomiędzy roskosznemi sady
Uwiędłaś, młoda różo! bo przeszłości chwile,
Ulatując od ciebie jak złote motyle,
Rzuciły w głębi serca pamiątek owady.

Tam na północ, ku Polsce, świécą gwiazd gromady;
Dla czegoż na téj drodze błyszczy się ich tyle?
Czy wzrok twój ognia pełen, nim zgasnął w mogile,
Tam wiecznie lecąc, jasne powypalał ślady?

Polko!—i ja dni skończę w samotnéj żałobie;
Tu niech mi garstkę ziemi dłoń przyjazna rzuci.
Podróżni często przy twym rozmawiają grobie,

I mnie wtenczas dźwięk mowy rodzinnéj ocuci:
I wieszcz, samotną piosnkę dumając o tobie,
Ujrzy bliską mogiłę, i dla mnie zanuci.

IX.

Mogiły Haremu.

Mirza do Pielgrzyma.

Tu z winnicy miłości niedojrzałe grona
Wzięto na stół Allaha; tu perełki wschodu,
Z morza uciech i szczęścia, porwała za młodu
Truna, koncha wieczności, do mrocznego łona.

Skryła je niepamięci i czasu zasłona,
Nad niemi turban zimny błyszczy śród ogrodu,
Jak buńczuk wojska cieniów, i ledwie u spodu
Zostały dłonią giaura wyryte imiona.

O wy, róże edeńskie! u czystości stoku
Odkwitnęły dni wasze pod wstydu liściami,
Na wieki zatajone niewiernemu oku.

Teraz grób wasz spójrzenie cudzoziemca plami,
Pozwalam mu,—darujesz o wielki Proroku!
On jeden z cudzoziemców poglądał ze łzami.

X.

Bajdary.

Wypuszczam na wiatr konia i nie szczędzę razów;
Lasy, doliny, głazy, w kolei, w natłoku
U nóg mych płyną, giną jak fale potoku;
Chcę odurzyć się, upić tym wirem obrazów.

A gdy spieniony rumak nie słucha rozkazów,
Gdy świat kolory traci pod całunem mroku,
Jak w rozbitém zwierciedle, tak w mém spiekłém oku,
Snują się mary lasów i dolin i głazów.

Ziemia śpi, mnie snu nie ma, skaczę w morskie łona,
Czarny wydęty bałwan z hukiem na brzeg dąży,
Schylam ku niemu czoło, wyciągam ramiona,

Pęka nad głową fala, chaos mię okrąży,
Czekam, aż myśl jak łódka wirami kręcona,
Zbłąka się i na chwilę w niepamięć pogrąży.

XI.

Aluszta w dzień.

Już góra s piersi mgliste otrząsa chylaty,
Rannym szumi namazem niwa złotokłosa,
Kłania się las i sypie z majowego włosa,
Jak z różańca Chalifów, rubin i granaty.

Łąka w kwiatach, nad łąką latające kwiaty
Motyle różnofarbne, niby tęczy kosa,
Baldakimem z brylantów okryły niebiosa;
Daléj szarańcza ciągnie swój całun skrzydlaty.

A kędy w wodach skała przegląda się łysa,
Wre morze i odparte z nowym szturmem pędzi;
W jego szumach gra światło, jak w oczach tygrysa,

Sroższą zwiastując burzę dla ziemskiéj krawędzi;
A na głębinie fala lekko się kołysa,
I kąpią się w niéj floty i stada łabędzi.

XII.

Aluszta w nocy.

Rzeźwią się wiatry, dzienna wolnieje posucha,
Na barki Czatyrdahu spada lampa światów,
Rozbija się, rozlewa strumienie szkarłatów,
I gaśnie. Błędny pielgrzym ogląda się, słucha:

Już góry poczerniały, w dolinach noc głucha,
Zródła szemrzą jak przez sen na łożu z bławatów;
Powietrze tchnące wonią, tą muzyką kwiatów,
Mówi do serca głosem tajemnym dla ucha.

Usypiam pod skrzydłami ciszy i ciemnoty:
W tém budzą mię rażące meteoru błyski,
Niebo, ziemię i góry oblał potop złoty!

Nocy wschodnia! ty nakształt wschodniéj odaliski,
Pieszczotami usypiasz, a kiedym snu bliski,
Ty iskrą oka znowu budzisz do pieszczoty.

XIII.

Czatyrdah.

MIRZA.

Drżąc muślimin całuje stopy twéj opoki,
Maszcie krymskiego statku, wielki Czatyrdahu!
O minarecie świata! o gór padyszahu!
Ty nad skały poziomu uciekłszy w obłoki,

Siedzisz sobie pod bramą niebios, jak wysoki
Gabryel, pilnujący edeńskiego gmachu;
Ciemny las twoim płaszczem, a janczary strachu
Twój turban z chmur haftują błyskawic potoki.

Nam czy słońce dopieka, czyli mgła ocienia,
Czy szarańcza plon zetnie, czy giaur pali domy;
Czatyrdahu, ty zawsze głuchy, nieruchomy,

Między światem i niebem, jak drogman stworzenia,
Podesławszy pod nogi ziemię, ludzi, gromy,
Słuchasz tylko co mówi Bóg do przyrodzenia.

XIV.

Pielgrzym.

U stóp moich kraina dostatków i krasy,
Nad głową niebo jasne, obok piękne lice;
Dla czegoż stąd ucieka serce w okolice
Dalekie, i—niestety! jeszcze dalsze czasy?

Litwo! piały mi wdzięczniéj twe szumiące lasy,
Niż słowiki Bajdaru, Salhiry dziewice,
I weselszy deptałem twoje trzęsawice,
Niż rubinowe morwy, złote ananasy.

Tak daleki! tak różna wabi mię ponęta;
Dla czegóż rostargniony wzdycham bez ustanku,
Do téj, którą kochałem w dni moich poranku?

Ona w lubéj dziedzinie, która mi odjęta,
Gdzie jéj wszystko o wiernym powiada kochanku,
Depcąc świéże me ślady, czyż o mnie pamięta?

XV.

Droga nad przepaścią w Dżehud-Kale.

Mirza i Pielgrzym.

MIRZA.

Zmów pacierz, opuść wodze, odwróć na bok lica,
Tu jeździec końskim nogom swój rozum powierza;
Dzielny koń! patrz jak staje, głąb' okiem rozmierza,
Uklęka, brzeg wiszaru kopytem pochwyca.

I zawisnął—tam nie patrz, tam spadła źrenica,
Jak w studni Al-Kairu, o dno nie uderza.
I ręką tam nie wskazuj, nie masz u rąk pierza;
I myśli tam nie puszczaj, bo myśl jak kotwica

Z łodzi drobnéj ciśniona w niezmierność głębiny,
Piorunem spadnie, morza do dna nie przewierci.
I łódź s sobą przechyli w otchłanie chaosu.

PIELGRZYM.

Mirzo, a ja spójrzałem! przez świata szczeliny
Tam widziałem—com widział, opowiem po śmierci,
Bo w żyjących języku nie ma na to głosu.

XVI.

Góra Kikineis.

MIRZA.

Spójrzyj w przepaść,—niebiosa leżące na dole,
To jest morze;—śród fali zda się, że ptak-góra,
Piorunem zastrzelony, swe masztowe pióra
Rostoczył kręgiem szerszym niż tęczy półkole,

I wyspą śniegu nakrył błękitne wód pole.
Ta wyspa żeglująca w otchłani,—to chmura!
Z jéj piersi na pół świata spada noc ponura;
Czy widzisz płomienistą wstążkę na jéj czole?

To jest piorun!—Lecz stójmy, otchłanie pod nogą,
Musim wąwóz przesadzić w całym konia pędzie;
Ja skaczę, ty z gotowym biczem i ostrogą,

Gdy zniknę z oczu, patrzaj w owe skał krawędzie:
Jeśli tam pióro błyśnie, to mój kołpak będzie:
Jeżeli nie, już ludziom nie jechać tą drogą.

XVII.

Ruiny zamku w Bałakławie.

Te zamki połamane w zwaliska bez ładu,
Zdobiły cię i strzegły, o niewdzięczny Krymie!
Dzisiaj sterczą na górach, jak czaszki olbrzymie,
W nich gad mieszka lub człowiek podlejszy od gadu.

Szczeblujmy na wieżycę, szukam herbów śladu,
Jest i napis, tu może bohatera imie,
Co było wojsk postrachem, w zapomnieniu drzémie,
Obwinione jak robak liściem winogradu.

Tu Grek dłótował w murach Ateńskie ozdoby,
Stąd Italczyk Mongołom narzucał żelaza;
I Mekkański przybylec nucił pieśń namaza.

Dziś sępy czarném skrzydłem oblatują groby,
Jak w mieście, które całkiem wybije zaraza,
Wiecznie z baszt powiewają chorągwie żałoby.

XVIII.

OSTATNI SONET.

Ajudah.

Lubię poglądać, wsparty na Judahu skale,
Jak spienione bałwany, to w czarne szeregi
Ścisnąwszy się buchają; to jak srebrne śniegi
W miljonowych tęczach kołują wspaniale.

Trącą się o mieliznę, rozbiją na fale,
Jak wojsko wielorybów zalegając brzegi,
Zdobędą ląd w tryumfie, i na powrót, zbiegi,
Miecą za sobą muszle, perły i korale.

Podobnie na twe serce o poeto młody!
Namiętność często groźne wzburza niepogody,
Lecz gdy podniesiesz bardon, ona bez twéj szkody

Ucieka w zapomnienia pogrążyć się toni,
I nieśmiertelne pieśni za sobą uroni,
S których wieki uplotą ozdobę twych skroni.

OBJAŚNIENIA.

OBJAŚNIENIA

DO

Sonetów Krymskich.

I. „Ostrowy burzanu.“ Na Ukrainie i Pobereżu nazywają burzanami wielkie krzaki ziela, które w czasie lata kwiatem okryte nadają przyjemną rozmaitość płaszczyznom.

V. „Diwy.“ Diwy, podług starożytnéj mitologii Persów, złośliwe geniusze, które niegdyś panowały na ziemi, potem wygnane przez aniołów, mieszkają teraz na końcu świata za górą Kaf.

„Na szczycie jaka łuna.“ Wierzchołki Czatyrdahu po zachodzie słońca, skutkiem odbijających się promieni przez czas jakiś zdają się być w ogniu.

„Chylat.“ Suknia honorowa, którą Sułtan obdarza wielkich urzędników państwa.

„Czatyrdah.“ Najwyższa w paśmie gór Krymskich na brzegu południowym, daje się widzieć zdaleka, niemal na 200 werst, z różnych stron, w postaci olbrzymiéj chmury sinawego koloru.

VI. „Bakczesaraj.“ W dolinie otoczonéj ze wszech stron górami leży miasto Bakczesaraj, niegdyś stolica Girajów, Chanów Krymskich.

„Baltazara głoskami.“ „Tejże godziny wyszły palce ręki człowieczéj, które pisały przeciwko świecznikowi na ścianie pałacu królewskiego, a król (Baltazar) widział część ręki, która pisała.“ Proroctwo Danielowe. V. 5, 25, 26, 27, 28.

VII. „Roschodzą się z Dżamidów.“ Mesdżid lub Dżiami, są to zwyczajne meczety. Zewnątrz po rogach świątyni wznoszą się cienkie wystrzelone w niebo wieżyczki, które minaretami, *menare*, zowią; są one w połowie swéj wysokości otoczone

galeryą, *szurfé*, z któréj *miuezzimowie*, czyli oznajmiciele, zwołują lud na modlitwę. To zwoływanie wyśpiewane z galeryi zowie się *izanem*. Pięć razy na dzień, w oznaczonych godzinach daje się słyszeć izan ze wszystkich minaretów, a czysty i donośny głos miuezzimów przyjemnie rozlega się w powietrzokręgu miast muzułmańskich, w których, s powodu nieużywania kołowych pojazdów, szczególniejsza cichość panuje. (Sękowski, Collectanea. T. I. k. 66.)

„W dywanie Eblisa.“ Eblis albo Iblis lub Garazel, jest to Lucyper u Mohametanów.

„Pędem Farysa.“ Farys; rycerz u Arabów Beduinów.

„Grób Potockiej.“ Niedaleko pałacu Chanów wznosi się mogiła, w guście wschodnim zbudowana, z okrągłą kopułą. Jest powieść między pospólstwem w Krymie, że ten pomnik wystawiony był przez Kerym Giraja dla niewolnicy, którą nadzwyczajnie kochał. Niewolnica miała być Polka, z domu Potockich. Autor uczenie i pięknie napisanéj podróży po Krymie, Murawjew-Apostoł, utrzymuje, że powieść ta jest bez zasady, i że grobowiec kryje zwłoki jakiéjś Gruzinki. Nie wiemy na czém opiera swoje mniemanie; bo zarzut, iż Tatarowie w połowie ośmnastego wieku tak łatwo niewolnic z domu Potockich uprowadzać nie mogli, nie jest

dostateczny. Wiadome są ostatnie zaburzenia kozackie na Ukrainie, skąd nie mało ludu uprowadzono i przedano sąsiednim Tatarom. W Polsce liczne są familje szlacheckie imienia Potockich, i wspomniona branka nie koniecznie mogła należeć do możn go domu dziedziców Humania, który najazdom Tatarskim lub rozruchom kozackim mniéj był dostępnym. S powieści gminnéj o grobowcu Bakczesarajskim, poeta Rossyjski Alexander Puszkin z właściwym sobie talentem napisał powieść: „*Fontanna Bakczesarajska.*“

IX. „Mogiły Haremu.“ W roskosznym ogrodzie, wśród wysmukłych topoli i drzew morwowych stoją grobowce z białego marmuru Chanów i Sułtanów, ich żon i krewnych; w pobliskich dwóch budowach leżą trumny zwalone bez ładu; były one niegdyś bogato wybite, dziś stérczą nagie deski i szmaty całunu.

„Nad niemi turban zimny.“ Muzułmanie nad grobami mężczyzn i niewiast stawią kamienne zawoje innego dla obu płci kształtu.

„Dłonią Giaura wyryte imiona.“ *Giaur*, poprawniéj *Kiafir* niewierny. Tak Muzułmanie nazywają chrześcijan.

X. „Bajdary.“ Piękna dolina, przez którą zwykle wjeżdza się na brzeg południowy Krymu.

XI. „Ałuszta.“ Jedno z miejsc najroskoszniejszych Krymu; tam już wiatry północne nigdy nie dochodzą, i podróżny w listopadzie szuka częstokroć chłodu pod cieniem ogromnych orzechów włoskich jeszcze zielonych.

„Rannym szumi namazem niwa.“ *Namaz*, modlitwa Muzułmańska, którą odprawiają siedząc i bijąc pokłony.

„Jak z różańca Chalifów.“ Muzulmanie używają w czasie modłów, różańca, który u znakomitych osób s kosztownych bywa kamieni.

„Rubin i granaty.“ Granatowe i morwowe drzewa, czerwieniejące się roskosznym owocem, są pospolite na całym brzegu południowym Krymu.

XIII. „*Padyszah.*“ Tytuł Sułtana Tureckiego.

„Gabryel.“ Zostawiam imię Gabryela, jako powszechniéj znajome; ale właściwym strażnikiem niebios, podług mitologii wschodniéj, jest Ramek (konstellacya arcturus), jedna z dwóch wielkich gwiazd zwanych *as semekein*.

XIV. „Salhiry Dziewice.“ *Salhir*, rzeka w Krymie, wypływa z podnóża Czatyrdachu.

XV. „*Dżehud-Kale.*“ Miasteczko na wyniosłéj skale; domy na brzegu stojące mają podobieństwo do gniazd jaskółczych: ścieżka, wiodąca na górę, jest przykra i nad przepaścią wisząca. W samém mieście ściany domów łączą się prawie ze zrębem skały; spójrzawszy przez okno, wzrok gubi się w głębi niezmiernéj.

„Tu jeździec końskim nogom swój rozum powierza.“ Koń Krymski w trudnych i niebezpiecznych przeprawach zdaje się posiadać szczególniejszy instynkt ostrożności i pewności. Nim krok postawi, trzymając na powietrzu nogę, szuka kamienia i probuje czy bespiecznie stąpić i ostać się może.

XVI. „*Ptak-Góra.*“ Znajomy z Tysiąca Nocy. Jest to sławny w mitologii perskiéj, po wielekroć od poetów wschodnich opisywany ptak Simurg. „Wielki on, (powiada Ferdoussy w Szach-nameh) jak góra, a mocny jak twierdza, słonia unosi w szponach swoich,“ i daléj: „ujrzawszy rycerzy (Simurg) zerwał się jak chmura ze skały, na któréj mieszka, i

ciągnął przez powietrze jak huragan, rzucając cień na wojska jezdzców. „Obacz *Hammera Geshichte der Redekünste Persiens. Wien.* 1818 p. 65.

„To chmura.“ Z wierzchołka gór wyniesionych nad krainę obłoków, jeżeli spójrzymy na chmury płynące po nad morzem, zdaje się że leżą na wodzie w kształcie wielkich wysp białych. Ciekawy ten fenomen oglądałem s Czatyrdahu.

XVII. „Ruiny zamku w Bałakławie.“ Nad zatoką tego imienia stoją gruzy zamku, zbudowanego niegdyś przez Greków przychodniów z Miletu. Później Genueńczycy wznieśli na tém miejscu twierdzę Cembalo.

WIERSZE RÓŻNE.

WIERSZE RÓŻNE.

HYMN

Na dzień Zwiastowania N. Panny Maryi.

Pokłon przeczystéj rodzicy!
Nad niebiosa twoje skronie,
Gwiazdami twój wieniec płonie,
Jehowie na prawicy.

Ninie, dzień tobie uświęcamy wierni,
Śród twego błyśnij kościoła,
Oto na ziemię złożone czoła,
Oto śród nieméj bojaźnią czerni,
Powstaje prorok i woła:
Uderzam organ twéj chwale,
Lecz z bóstwa idzie godne bóstwa pienie,
Śród twego błyśnij kościoła!
I spuść anielskie wejrzenie!

Duchy me bóstwem zapalę,
Głosu mi otwórz strumienie!

A zagrzmię piersią, jaką Cheruby
Zagrzmią światu na skonanie,
Gdy proch zapadły w wieków otchłanie,
Ze snu nicości wybiją:
Takim grzmotem twoje chluby,
Gdzie piekło, gdzie gwiazdy świecą;
Nieskończoność niech oblecą,
Wieczność przeżyją!

—A któż to wschodzi? wschodzi na Syon dziewica,
Jak ranek z morskiéj kąpieli
I jutrznia Maryi lica;
Śnieży się obłok, słońce z ukosa
Smugiem złota po nim strzeli;
Taka na śniegu co szaty bieli,
Powiewnego jasność włosa.

Pojrzał Jehowah, i w Niéj upodobał sobie;
Pękły niebios zwierciadła,
Biała gołąbka spadła,
I nad Syonem w równi trzyma skrzydła obie,
I srebrzystéj pierzem tęczy,
Niebianki skronie uwięczy.

Grom, błyskawica!
Stań się, stało;
Matką dziewica,
Bóg ciało.

ŻEGLARZ.

O morze zjawisk! skąd ta noc i słota!
Była jutrznia i cisza gdym był bliski brzegu!
Dziś jakie fale, jaki wicher miota!
Nie można płynąć, cofnąć niepodobna biegu!
A więc porzucić korab' żywota?

Szczęśliwy czyjéj przewodniczą łodzi
Cnota i Piękność, niebieskie siostrzyce!
Gdy się noc zgęszcza, wzmagają powodzi,
Ta puhar daje, ta odsłania lice,
Tamtéj widok oświeca, a téj nektar słodzi.

Szczęśliwy kto i saméj ulubował Cnocie,
Dopłynie kędy sławy góruje opoka,
Balsam go rzymski ukrzepi w ochocie;
Ale jeżeli Piękność nie zwróci nań oka,
Dopłynie we krwi i w pocie.

A komu Piękność całe pokaże oblicze,
Potém śród drogi zdradliwa odlata,
Nadziei s sobą mary unosząc zwodnicze;
Ach jakaż późniéj czczość w obszarach świata!
Już niedość krzepią i Cnoty słodycze.

Zamiast Piękności niebieskiego wschodu,
Walczyć z ustawną burzą, jęczeć pośród cienia,
Zamiast serc czułych, trącać o pierś z lodu,
Zamiast jéj rączek, chwytać za ręce s kamienia
I długo śród takiego nie ustać zawodu?

Zawód tak trudny! zakończyć tak snadnie!
Nie będziem dłużéj ćmieni, więcéj kołatani,
Lecz wszystkoż z nami w tych falach przepadnie?
Czyli kto raz wrzucony do bytu otchłani,
Nie zdoła z niéj wyleciéć, ani zginąć na dnie?

Co żyje, niknie—tak na mnie świat woła,
Za cóż głos ten wewnętrznéj wiary nie wyziębi,
Że gwiazda ducha zagasnąć nie zdoła,
I raz rzucona krąży po niezmiernéj głębi,
Póki czas wieczne toczyć będzie koła.

Któż to krzyknął od lądu? jakie słychać żale?
Wyż to o bracia moi, przyjaciele moi,
Dotąd stoicie na nadbrzeżnéj skale?
I tak się oko wasze znudzenia nie boi,
Że aż dotąd patrzycie na mnie i me fale?

Jeśli się rzucę kędy rospacz ciska,
Będą łzy na szaleństwo, na niewdzięczność skarga,
Bo wam mniéj widne te czarne chmurzyska,
Nie słychać zdala wichru co tu liny targa,
Grom co tu bije, dla was tylko błyska.

I razem ze mną pod strzałami gromu,
Co czuję, inni uczuć chcieliby daremnie!
Sąd nasz, prócz Boga, nie dany nikomu.
Chcąc mnie sądzić, nie ze mną trzeba być, lecz we [mnie.
— Ja płynę daléj, wy idźcie do domu.

Roku 1821 Kwietnia 17.

WARCABY

DO FRANCISZKA.

Franciszku, dosyć prawne rostrząsać xięgarnie,
Niech je pył zasłużony choć na czas ogarnie;
Rzuć słabości i niecnót przeglądać obrazy,
W naturze ziemskiéj pilnie wszystkie liczyć skazy.
Zbyt to są dla ułomnych smutne widowiska,
Serce z nich nic nie czerpa, choć rozum coś zyska.
Inna jest żyć bez zbrodni, inna poznać zbrodnie,
Często i prawodawca niebył s prawem zgodnie.
Lokryjczyk wbrew statutom, które sam uchwala,
Ojcowskie karał oko za grzechy synala.
I ten, co zakon wyrył na głazach dwunastu,
Zgwałcenia jego pierwszy daje przykład miastu.

Ale po cóż umarłe mam wołać przykłady?
Silniejszém jest natura mojéj wsparciem rady.
Choć prawo siedzi w mieście, prawość na wsi mieszka
Nie marmur, lecz zielona wiedzie do niéj ścieszka.
Myśmy ze wsi nie mędrsi, może lepsi wyśli,
Bieżmy tam: kto się bawi, ten o złém nie myśli.

A jeśli niedojrzałéj wiosny słotna pora,
Lub skwar nas w domu zamknie, albo chłód wieczora
Czyż to piękną zabawkę wynaleźć zabroni?
Niechaj się czasem umysł i do gry nakłoni.
Nie do téj, gdzie aż północ oczekując nudnie,
Dręczę ciało, a wdzięcznie myśli nie zatrudnię.
Tak zwykle gmin się tylko bawi mało warty,
Kręcąc skazówki, kości miotając, lub karty;
Kruszec jest grania celem, graczów wabi żądza,
Podłość walczy o zyski, ślepy los przysądza.

Ale czyj duch wznioślejszy, pojętność nie słaba,
Takim lepiéj rozmyślna przystoi Warcaba.
Z nadkatajskich wzięliśmy tę zabawę granic,
Przez nię w zbrojne rzemiosło wprawiał się Sułta-
[nic[1]).

---

[1]) Warcaby równie jak szachy dla nauki monarchów wschodnich wynalezione.

Jak naciérać, jakiemi wycofać się biegi,
Pouczał się kościane hetmaniąc szeregi,
Lub do miejsca stosując różnych zdatność osób,
S trudnéj gry brał trudniejszy królowania sposób.
Dziś nie koronna głowa, ni mieczny zabierca,
Ale Warcabę czułe ulubiły serca.
Hucznych znikając zabaw, nie łakome zysku,
Dzionek na towarzyskiém skracają igrzysku.
Precz od nich z ulicznego wydobyty steku,
Obyczajem i twarzą nieznany człowieku;
Dobrańsza tylko para wychodzi do szranek,
Przyjaciel s przyjacielem, s kochanką kochanek.

Franciszku, sercem czuły, a zimny z urzędu,
Nie znasz miłości, nie masz dla Warcaby względu,
Pozwól, niech tobie gry téj prawidła wymienię,
Bo tamtéj jedno kiedyś nauczy spojrzenie.

O Wido! gdybym dostał twój pędzel bogaty,
Wido, tak biegle w polskie przestrojony szaty,[1])
Zdarz, niech twojego torem idąc wynalasku,
Opisom mym udzielę powabu i blasku.

---

[1]) Szachy Poety włoskiego *Wida*, wzorowie tłumaczone p. Jana *Kochanowskiego*.

Niech stąd Warcaba świéżéj nabędzie zacności,
Niech chwalonym przez ciebie Szachom nie zazdro-
[ści,
A mnie niech wdzięcznie czyta ten dla kogo piszę,
Niech cierpliwie słuchają mili towarzysze.

Wiedzcie tedy, iż gra ta jest bojów obrazem;
Trzeba miejsca, chcąc wojska przeciwne zwieść ra-
[zem.
A więc naprzód dla Warcab szranki przybierz świe-
[tnie,
Niech je siedem dróg równych z obu stron rozetnie;
Potém czarne i białe strugaj czworościany,
I w miejscach opisanych rozsadź na przemiany.
Kiedy się plac ogrodzi, skreśli i wymierzy,
Nie zaniedbaj do walek przywołać rycerzy.
Dwunastu ma ich jedna, tyleż druga strona;
Że pieszo walczą, pieszków niech noszą imiona.
By omyłek w wojennym tłumie uniknęli,
Tamci czarny strój mają, ci są całkiem bieli;
A chociaż różni, szaty w różnym noszą wzorze,
Przecież stają na czarnym z obu stron kolorze.
Pułk chce się z pułkiem zetrzeć, trupem usłać pole,
Albo żywym broń wydrzeć i zaprzeć w niewolę.
Każdy na czoło jednym postępując krokiem,
Nieprzyjaciela swego pilném śledzi okiem;

Patrzy czy który rycerz zapędzony w biegu,
Nie wymknie się choć na krok ze swego szeregu;
A skoro s tyłu za nim próżny plac odkryje,
Wskoczy nagle i utnie zuchwalcowi szyję.
Czy wygrana ucieszy, czy pośród pogromu,
Cofnąć stopy pod karą niewolno nikomu,
Iść naprzód, walczyć, gonić za nieprzyjacielem,
Wedrzeć się do obozu jest głównym gry celem.
Kto pierwszy umiał zdobyć przeciwników szranki,
Ozdobi się laurowym wieńcem z rąk kochanki;
I jako błędni niegdyś czynili rycerze,
Do boju idąc, damę na koń s sobą bierze;
Co wprzódy stąpał pieszo, dziś po całym szlaku,
Wprzód i w tył, w lewo, w prawo hasa na rumaku;
Jeśli mu jaki śmiałek waży się zajść w oczy,
Dopędzi go, zabije i nazad uskoczy.
Tak ów Karol trwożliwy już umykał s tronu
Przed nachodem powstańców i wojsk Albionu,
Ale jak tylko dostał pomoc Orleanki,[1])
Potłumił i Angliki i buntowne Franki.

Odpieraj więc jak możesz i kładź wszędzie tamy
Ażeby twój przeciwnik nie mógł zdobyć damy.
Jeśli jéj i sam z obcych wziąć nie zechcesz szyków,
I własną mocą w boju zgnębisz przeciwników;

[1]) Jeanne d'Arc.

Wtenczas dla nich prócz straty największa sromota,
Według praw, tracą sławę i paść muszą *kota*.
Częstokroć wódz, w swéj sile zaufany zbytnie,
Nie chce rycerki, myśląc, iż sam wszystkich wytnie,
A tymczasem przeciwnik, mając pomoc w damie,
Wypędzi go z obozu, doścignie i złamie;
Już wódz chwieje się ranny, miecz upuszcza z dłoni,
Kochanka nad nim żadnéj łeski nie uroni:
Tak, co wprzódy zwycięstwa karmił się otuchą,
Umiera, a co gorsza umiera na *sucho*.
Pary więc szukaj gwałtem, lub przez chytre środki.
W parze miłe zwycięstwo, w parze i zgon słodki.
Choć przegrasz, mniejszą będzie daleko przegrana,
Jeżeli grób twój łzami odwilży kochana.

Masz tedy prawa wojny; krótkoć je podaję.
Różnych jeszcze narodów znaj różne zwyczaje.
Sarmata, ufność w saméj kładący odwadze,
Woła na cię przed bojem: „zwalczę lecz nie zdradzę!“
Stąd piersią w pierś uderza, w tył razów nie ciska,
Choćby kark nieprzyjazny nadstawiał się zbliska.
Dama jego podskoków wyprawiać niezdolna,
Równym jak mąż jéj krokiem postępuje zwolna;
Ten tylko u rycerskiéj wzgląd zyskawszy młodzi,
Że się jéj s krwawych bojów ujść bez hańby godzi.
Hiszpan śmiało uderza na miecze i spiże,
S czoła walczy, lecz okiem i tam i sam strzyże;

Często skradać się lubi śród gwaru, śród pyłu,
I zdradliwie przebija nieprzyjaciół s tyłu;
Stąd w takich bojach nie raz za cięciem bułata,
Dwóch, czterech, pięciu zgładzić potrafi ze świata.
Gdy zwyciężony padnie, Hiszpan zdarłszy zbroję,
Cofa się, by łup unieść między pułki swoje.
Dama Kastylska w bitwach różnym trybem stawa,
Nie masz w księgach zwyczaju wyraźnego prawa;
Raz chciwa wojennemi ozdobić się łupy,
Staje na bojowisku i obdziera trupy,
Ale kiedy nad niemi pastwi się okrutnie,
Często pieszek podskoczy i dumny łeb utnie.
Jeśli zaś rzuca martwych i daléj ucieka,
Od nieprzyjaznych szyków stawając zdaleka,
Choć jedna tylko walczy, gęste trupy ściele,
Liczniejsi jéj nie mogą zbić nieprzyjaciele.
Francuz staczając walki, naprzód idzie żwawo,
Zabijając, w tył lata i w lewo i w prawo.
Strzelec trafny, nie zważa na damy, na pieszki,
Częstokroć kulą sięgnie aż w sam koniec ścieszki,
I jeśli mu się kogo położyć udało,
Przez całe szranki wpada do obozu śmiało.

Znając wojska, wybieraj jakieć się podoba;
Jednak muszą się na to gracze zgodzić oba.
Po polsku walczą zwykle celniejsi zasługą,
Bój ten wymaga sztuki i ciągnie się długo;

Pod koniec, kiedy damy tłumnie wjadą w szranki,
Bardzo trudno przychodzi ścigać jéjmościanki.
Gra więc Hiszpańska krótsza, podstępna, zajadła,
Wielu dzisiejszym wodzom do smaku przypadła.
Bardziéj niźli do męstwa, do wybiegów zdatni,
Cwiczą się nieprzyjaciół w chytréj łowić matni.
Francuz, że prędko kończy i daleko skacze,
Lubią go tylko młodzi i zuchwali gracze.

Lecz nie dosyć, Franciszku, żeś świadom obrotów
Żeś widział wojska, jeszcześ do bitwy nie gotów.
Czyż ten hetman, kto tylko rąbie, strzela, kole?
Nie; umiéj szyki sprawić, umiéj poznać pole;
I w grze są różne miejsca: wskaże moja rada,
Kiedy je zająć, kiedy strzedz się ich wypada.

Naprzód w prawo jest koniec o podwójnym głazie
Młynek to, port bespieczny w niebespiecznym razie.
Tam broń się, choćby na cię bito bez spoczynku,
Nim ustąpisz, przemoknie krwią droga do młynku.
Jeżeli grasz po polsku, a młynek w twéj właści,
Możesz damy wygodnie bronić od napaści;
Przeciwnie, gdy hiszpanka na placu zostanie,
Stanąwszy w młynkach, łatwe na nią polowanie.
Z lewéj strony głaz jeden w koniec szranków bodzie,
Miejsce to zowią beczką: groźne na przechodzie.

Gdyż jeżeli w niém dama zasiędzie na czaty,
Nabawi pewnie klęski, albo znacznéj straty.

Te są w tyle, inne są s czoła stanowiska,
Kędy na nieprzyjaciół można natrzeć zbliska.
Iż przyległe granicom, nazwane są kątki,
W nich bitwa często krwawe zwykła mieć początki,
W nich się kryje kto słaby, lub ostróżny zbytnie,
I w nich biegły gromiące stawi działobitnie.
Pomnij zrazu je zająć, byś obce rwał skrzydła,
Tak doświadczenie każe, tak walki prawidła.
Środkiem gracz najbieglejszy i najgorszy lézie,
Często jest tam zwycięstwo, ale częstsze rzezie.
Chyba się losem szczęsnym przeciwnik omyli,
Wtenczas możesz mu pieszków w jednéj zrąbać [chwili;
Lecz kiedy w kąty wjedzie, zapęd wojska wstrzyma,
Tak się zaprzesz na środku, iż stąpić gdzie nie ma.

Ale po cóż szeroko przepisy rozwodzę?
Nie przepisy stanowią zwycięstwo, lecz wodze.
Oni początkiem bojów, dają bojom prawa,
Od nich zależy cała w warcabach zabawa.
Nie prędko do potyczki bohater przywabi,
Co się powolnie wlecze jak ów togat Fabi.

Nie śmiejąc ni uciekać, ani stawić czoła,
Wyda rozkazy, znowu wydane odwoła.
To w przód, to w tył pojeżdża, patrzy, głową kręci,
Myśli, w tém co umyślił wypadło s pamięci;
I przegrawszy nareszcie po rozwagach długich,
Pozna, iż sam się znudził, i nie bawił drugich.
Równie śmieszny, kto drobnych obyczajem dzieci,
Bez namysłu, bez celu, oślep w ogień leci;
Biją go jeśli natrze, łowią jeśli zmyka,
Ginie wreszcie nie ciesząc zgonem przeciwnika.
Ten tylko słusznie wielkie gracza imie bierze,
Kto męstwo i rozwagę w jednéj trzyma mierze,
Czyja głowa i ręka z bojem oswojona,
Kto i dobrze umyśli i prędko wykona.
A gdzież są tacy gracze? lecz wieszczy głos słyszę,
Słowom moim udzielą wiary towarzysze;
Franciszek będzie takim, jeśli tylko przyjmie,
Ustawy w przyjacielskim nakreślone rymie.

Lecz za cóż go nie wołam do stolika ze mną,
Z gry objaśniać naukę, może w pismach ciemną?
Gdy mu inni te służby pomniejsze oddadzą,
A jakąż one dla mnie zakazane władzą?
Warcaby niegdyś moja zabawko ustawna,
Za cóżem niewidziany koło was oddawna?

O ty, dla któréj wiecznie tajne me zapały,
Któréj imie pomyśleć staję się za śmiały,

Tobie spokojność moję gdym przegrał w warcaby,
Odtąd już gra ta dla mnie straciła powaby.
Nie dziw, żem toczył zawsze mniéj szczęśliwe boje:
Tyś patrzyła w warcaby, ja w oblicze twoje;
I wiecznie chcąc je widzieć i tracąc na wieki,
Najdroższego oblicza będąc nie daleki,
Miotany od sprzecznego poruszeń natłoku,
Ból w sercu, w licach bladość, ogień miałem w oku;
Alem się nadaremnym nie zdradził zapałem,
Westchnienie zatłumiłem, słówka połykałem.
Bo los wynosząc ciebie między jasne rody,
Z samą nadzieją wieczne przykazał rozwody!
Ustąpię, jęki nawet z głębi nie wypadną!
Lecz pamiętam, bo pamięć nie jest mi podwładną.
Pamiętam dzień ów grania i szczęścia ostatni,
Gdyś mię i pieszki moje wpędziła do matni.
Odtąd na wieki w jednym porzucone szyku,
Brańcy obok zwycięzców tkwią na mym stoliku.
Raz tylko śmiałem ulżyć grą długiéj żałobie,
Lecz więcéj grzechu tego nie pozwolę sobie,
Bo twoja oczywiście sstępująca postać,
Kazała grze poczętéj nietknioną pozostać.

Franciszku, czy litości, czyli doznam wiary,
Czy to bóstwo, czy zmysłu popsutego czary,
Z uniesieniem widzący, a niechętny badać,
Nadludzkie tobie cudo muszę wyspowiadać.

Pomnisz jak przeraźliwych strat odniósłszy rany,
Z jéj obecności, z waszéj pociechy obrany;
Całe dni pustelnicza więziła mię klatka,
Wielu niespanych nocy dotrwałem ostatka.
Raz gdy już świateł lampa konająca skąpi,
Nagle się gęstwa cieniu koło mnie rosstąpi,
Wzrok osłupiał i myśli splątały się tłumnie;
Alić jasny powietrzem anioł spływa ku mnie.
Boże! to jéj twarzyczka, jak poranek blada,
Włos na szyję srebrnemi promykami spada,
Chmurka jéj przezroczysta za sukienkę służy,
Czerwieniejąc u piersi obwiązkami róży;
Widziałem ją, jak ciebie oglądam na jawie,
Widziałem ją w codziennéj obecną postawie,
Tylko mającą bardziéj jasności do koła,
Więcéj boską, bo więcéj piękną być nie zdoła.
Ku stolikowi potém przyśliznęła kroku,
Spotkaliśmy się okiem, cały byłem w oku,
Sercem tak blisko serca i licem do lica,
Szczupła nas rozdzielała tylko warcabnica.
Odtąd już wielokrotnie w przedporanne cienie,
Bóg jest łaskaw podobne ssyłać mi widzenie;
Zawżdy około warcab pobawi się zbliska,
Lecz nie chce, abym graniem zmienił stanowiska:
Snać od bóstwa sprawionych orszaków i błoni,
Dotykać skazitelnéj nie godzi się dłoni.

Tak gra musiała dla mnie wszelki powab zgubić.
Franciszku, jeśli dłużéj chcesz warcaby lubić,
Na spółbliźnich uzyskuj tryumfalny wianek,
Nigdy nie wyzywając do boju niebianek.
Pomnij, że kto ośmielił na Pafią dłonie,
Tydejczyk rychło zbrzydził szeregi i bronie.
A ja, com niegdyś smutki rozweselał cudze,
Teraz smutny was mijam, lub uczeniem nudzę.

NOWY ROK.

1826.

Skonał rok stary; z jego popiołów wykwita
Fenix nowy: już błyszczy w złotéj wschodu bramie;
Świat go cały nadzieją i życzeniem wita.
Czegóż w tym nowym roku żądać masz Adamie?

Może chwilek wesołych?—znam te błyskawice;
Kiedy niebo otworzą i ziemię ozłocą,
Czekamy wniebowzięcia: aż nasze źrenice
Grubszą niżeli przed tém zasępią się nocą.

Może kochania?—znam tę gorączkę młodości;
W platońskie wznosi sfery, przed rajskie obrazy:

Aż silnych i wesołych strąci w ból i mdłości,
S siódmego nieba w stepy między zimne głazy.

Chorowałem, marzyłem, latałem i spadam;
Marzyłem boską różę: bliski jéj zerwania
Zbudziłem się, sen zniknął, róży nie posiadam;
Kolce w piersiach zostały.—Nie żądam kochania.—

Może przyjaźni?—któżby nie pragnął przyjaźni?
Z bogiń, które na ziemi młodość umie tworzyć,
Wszakże tę najpiękniejszą córkę wyobraźni,
Najpierwszą zwykła rodzić i ostatnią morzyć!

O! przyjaciele, ileż jesteście szczęśliwi!
Jako w palmie Armidy wszyscy żyjąc społem;
Jedna zaklęta dusza całe drzewo żywi,
Choć każdy listek zda się oddzielnym żywiołem.

Ale kiedy po drzewie grad burzliwy chłośnie,
Lub je żądło owadów jadowitych drażni,
Jakże każda gałązka dręczy się nieznośnie
Za siebie i za drugie!—Nie żądam przyjaźni.

I czegóż więc w tym nowym roku będę żądał?
Samotnego ustronia, dębowéj pościeli,
Skądbym już ani blasku słońca nie oglądał,
Ni śmiechu nieprzyjaciół, ni łez przyjacieli.

Tam do końca, a nawet i po końcu świata,
Chciałbym we śnie, s którego nic mię nie obudzi,
Marzyć jakem przemarzył moje młode lata,
Kochać świat, sprzyjać światu, zdaleka od ludzi.

DO

JOACHIMA LELEWELA.[1])

Bellorum causas, et vitia, et modos
Ludumque Fortunae, gravesque
Principum amicitias, et arma....

Periculosae plenum opus aleae
Tractas, et incedis per ignes
Suppositos cineri doloso.
HORAT. L. II. C. 1.

O długo modłom naszym będący na celu
Znowuż do nas koronny znidziesz LELEWELU!
I znowu cię obstąpią pobratymcze tłumy,
Abyś naprawiał serca, objaśniał rozumy.
Nie ten co wielkość całą gruntuje w dowcipie,
Rad tylko, że swe imie szeroko rozsypie,
I że barki xięgarzom swemi pismy zgarbi:
Nie taki ziomków serca na wieczność zaskarbi;

---

[1]) Z okoliczności rozpoczęcia kursu Historyi Powszechnéj w Uniwersytecie Wileńskim d. 6 Stycznia 1822 r.

Ale kto i wyższością sławy innych zaćmi,
I sercem spółrodaka żyje między braćmi.
Lelewelu, w oboim jak ci zrównać blasku?
Szczęśliwyś i w przyjaciół i w prawd wynalazku.
Oto nad wiek młodziana przerosłeś nie wiele,
Tobie mędrszemu siwe zajrzą Matuzele;
Imie twoje wybiegło za Chrobrego szranki,
Między Teutońskie sędzie i bystrzejsze Franki;
A jak mocno w Litewskiém uwielbianyś gronie,
Publicznie usta nasze wyznają i dłonie.

Już długo z sal uczonych wracało na sucho,
Łakome a przez ciebie znarowione ucho;
Zacznij słynąć cudami dla uczniów natłoku,
Coś je tylekroć sprawił w onegdajszym roku,
Gdy twojém czarodziejskich użyciem sposobów
Greckie i Rzymian cienie ruszałeś s pod grobów.
Wstają zmartwych, przechodzą na prawdy zwier-
Od czoła ich Plutona przyłbica opadła [1]) [ciadła,
I żelazne na piersiach łamią się pokrycia,
W których myśli i chęci taili za życia.
Oto mędrzec Fedona [2]), to Persów zabierca:
Patrzym w bezdenność myśli, w labirynt ich serca.
Tam iskra światła, ówdzie nasiona potęgi,
Gdy je zdarzeń pomyślnych wzmaga oddech tęgi,

[1]) Szyszak Plutona sprawiał niewidomymi tych, którzy go nosili.
[2]) Plato i Alexander Wielki.

Iskra łunę roznieca, z nasionek wylęga
Olbrzym, dosięgający brzegów ziemiokręga.
Tak dzielne gieniusze panują nad światem;
Teraźniejszość upada przed ich majestatem,
Stworzenia, które kiedyś wyda przyszłość mętna,
Niosą kolor ich blasku, lub ich razów piętna.
Ale równa jest wielkość, czy to światu władać,
Czy skutki wielkiéj władzy nad światem wybadać.

Nie raz miasto w podziemną rozpadlinę gruchnie,
Słońce kirem zachodzi, woda płomień buchnie;
Nadarzeń się takowych mnogie żyją świadki,
Przecież ich źródła dociec umie arcy rzadki;
A na podobnéj liczbie jeszcze gorzéj zbywa,
Coby różnego wątek spajając ogniwa,
Potrafili wybadać za rozsądku wodzą:
Jak się s przyczyny wspólnéj różne skutki rodzą,
Jak podziemny wypadek morzem zakołata,
I niebieskiego sprawi zaburzenie świata.

Z mniejszości postępujmy ustawnie do góry,
Z martwéj przejdźmy w krainę żyjącéj natury;
Kędy ludzkość jest światem, żywiołami duchy,
Jak śledzić przyczyn, związać następów łańcuchy?
Tu zaćmi nieskończona różność widowiska,
Tu po obcych świadectwach droga myśli śliska,

A bóstwo Prawdy, skąpiąc nagiego promienia,
Pełni swojéj nie raczy ukazać s pod cienia.
Bo jéj trudno dostrzeże, choć kto oczy wlepi;
Od dzieciństwa jesteśmy długo na nię ślepi.
Skoro zaczniem przezierać, że niedosyć bystrze,
Podejmują się obcy nam usłużyć mistrze;
I szkła swojéj roboty wsadzają na oko,
Przez które widać szerzéj i więcéj głęboko:
Ale jaką im barwę dał mistrz wynalasku,
W takim wszystkie przedmioty okazują blasku.
Stąd cudze malowidła, własne wzroku skazy,
Omyłką na zewnętrzne przenosim obrazy.
Człowieku, sługo wieczny! bo nie tylko zmysły
Ale i sądy twoje od drugich zawisły.
Pierś dziecinną ojcowskie napełniają czucia,
Gdyś młody, uciskają zwyczajów okucia.
Nie raz myślisz, że zdanie urodziłeś s siebie,
A ono jest wyssane w macierzystym chlebie;
Albo niém nauczyciel poił ucho twoje,
Zawżdy część własnéj duszy mieszając w napoje;
A tak gdzie się obrócisz, s każdéj wydasz stopy,
Żeś z nad Niemna, żeś Polak, mieszkaniec Europy.

A słońce Prawdy, Wschodu nie zna i Zachodu,
Równie chętne każdego plemionom narodu,
I dzień lubiące każdéj rozszerzać ojczyznie,
Wszystkie ziemie i ludy poczyta za bliźnie.

Stąd kto się w przenajświętszych licach jéj zacieka
Musi sobie zostawić czystą treść człowieka,
Zedrzeć wszystko, co obcéj winien jest przysłudze,
Własności okoliczne i posagi cudze.

Ku takim pracom niebo dziejopisa woła.
Odważają się liczni, ale któż wydoła?
Tylko sam, komu rzadkim nadało się cudem,
Złączyć natchnienie boskie z ziemianina trudem,
Nad burzę namiętności, interesu sieci,
Z pomroków ducha czasu nad gwiazdy wyleci;
Uważa skąd dla ludów przyszła ryknie burza,
Albo się pod otchłanie przeszłości zanurza.
Grzebiąc zapadłe wieków odległych ciemnoty,
Wykopuje z nich prawdy kruszec szczerozłoty.
LELEWELU! rzetelną każdy chlubę wyzna,
Że ciebie takim polska wydała ojczyzna.
Na świętym dziejopisa jaśniejąc urzędzie,
Wskazujesz nam co było, co jest i co będzie.

Pierwszy towarzyskiego widzim obraz stanu,
Od łożyska Eufratu po wieże Libanu.
Na równiach niedzielonych żadnemi przegrody:
Tam naprzód w wielkie ciało zrosły się narody;
Zaraz na karku onych ciemiężcy usiedli,
Miasta wałem, a ludy łańcuchem obwiedli.

Owdzie między wysepki i morskie rękawy
Drobny Greczyn urządzał pospolite sprawy,
Ruchem do mirmidońskich podobny zwierzątek [1])
Od których słusznie mniemał wyciągać początek.
W cudzych osiada miastach, lecz je sam bogaci,
Przychodnim bogom swojskie nadaje postaci;
Dla nieznanych cór nieba pierwszy w jego rodzie
Wystawiono Piękności kościół i Swobodzie.
Tych natchnieniem Helenin gdy piersi zagrzewał,
Walczył, rosprawiał, kochał, nauczał i śpiewał.

Lecz już medańska szabla okrąża do koła,
Bałwanowi wschodniemu świat uchylił czoła;
Trzaskiem samowładnego napędzona bicza
Wali się od Kaukazu zgraja niewolnicza.
Xerxes ludy podeptał, miasta porozwalał,
Morza flotą zahaczył, lądy tłumem zalał;
Wtém z małéj chmurki greckiéj gdy pioruny padną,
Rosprysnęły się tłumy, floty poszły na dno.

Zgubnego Europejczyk umknąwszy rozgromu,
Poszedł Azyanina nękać w jego domu;
A na perskie wezgłowia upuściwszy skronie,
Drzémał i na bok rzucił ordzewiałe bronie.

---

[1]) Mirmidowie według mitologii powstali z mrówek.

Tak swobodnie sennego zabrali w łańcuchy,
Wilcze Romula plemie, Italskie pastuchy;
Kłótliwi i przez własne wyuczeni zwady,
Jak gwałtem, lub chytrością wyniszczać sąsiady,
Ustawni napastnicy, we chwilach pokoju
Ramiona do nowego krzepili rozboju;
Albo darli się s sobą, wtenczas tylko w zgodzie,
Kiedy społem o cudzéj przemyślali szkodzie.
Lecz skoro zapaśnikom przeciwnych nie stało,
Z otyłości próżniackiéj coraz słabnie ciało.
Rzym pastwi się nad światem, a tyran nad Rzymem,
Świat Rzymski obumarły staje się olbrzymem.

Któż w nieżyjących zwłokach nowy duch roznieci?
Wy ogniste s pod lodów skandynawskich dzieci.
Oto Senior pełnym odziany kirasem,
Niosąc kopiją w toku, różaniec za pasem;
Pobożności oddany, kochance i chwale,
Pod dach gotycki ściąga na ucztę wassale.
Damy wskazują wieńce, bardy w lutnie dzwonią,
Młodzież kopije kruszy, albo w pierścień gonią.
Czulsze serce niż u nas biło im s pod stali,
Oni najpierwsi z niebios Miłość przywołali,
Serdeczną, i za dawnych niecenioną wieków,
U duchownych Hebreów i cielesnych Greków.

Oni kiedy praw słaba chwieje się budowa,
Krzepili ją łańcuchem rycerskiego słowa.
Aby naprawić krzywdy [1]), piękne zyskać względy,
Ważyli się na puszcze i zamorskie błędy,
Nowe herby z odległych przynoszac turniei,
Lub krwią kupując palmę męczeńską w Judei.
Tymczasem na ich zamkach zasiadły opaty:
Xiądz cisnął się do celi, a mniszka za kraty;
Na wystrzał bulli s tronów spadały korony,
Rzym powtórnemi ziemię opasał ramiony.
Aż zadały pułkowe orężników władze
Śmierć domowym rozruchom i obcéj przewadze.

U ludów, gdzie społeczny gmach na pismach
Panów i sług powinność objaśniły karty. [wsparty,
Takie na Albiońskiém spisano ostrowie,
I takie Jagiellony dali nam królowie.
Lecz w innostronnych krajach naczelników stopa,
Buntujące się panki zniżyła do chłopa.
Hiszpańczyk daléj zrobił; od brzegów Gadesu
Doścignął aż do światów nieznajomych kresu;
Tam co rok s flotą chodzi, nowe skarby kopie,
I żelazami całéj pogroził Europie.

---

[1]) *Redresser les torts*, hasło Palladynów.

Naprzeciw chęciom jego inne pany dążą,
Odcinają się mieczem i przymierza wiążą.
Natenczas sztuka stanu, w tajniach urodzona,
Rosciągnęła szeroko polipu ramiona:
Kto chcesz zyskać, lub swoje posiadać bespiecznie,
Oko miéj zawżdy czujne, broń dobytą wiecznie.
Stąd wzajemna nieufność, ustawiczne czaty,
Walki, częste nabytki i prędkie utraty.
Wszystkie ludy i ziemie, za swe mając spadki,
Rozdawano, jak przedaż, wiano, albo datki;
Nieprzyjaciołmi często bywali obrońce,
Albo dla okrągłości cudze rwali końce.

Taką w całéj Europie szły koleją sprawy,
Nim dojrzały w wulkanach nadsekwańskich lawy;
Tam zadawniony ucisk, ponawiane skargi,
Wieczne państwa świętego z doczesném zatargi,
Wyskoki głów myślących, zapały młodzików,
Duma panów, roskutych wściekłość niewolników;
A jak ziemia ciężarna sprzecznemi nasiony,
S potworném niegdyś cielskiem rodziła Pytony,
Tak s pomąconych chęci i myśli natłoku,
Rewolucyjny Gallów wylągłeś się smoku!
Darmo go przemoc złamie i w piasek zagrzebie,
Posiane kły mścicieli odradzają s siebie.

Kłótliwa wschodzi zgraja; w jednych chęć urasta
Platoniczne po ziemi odbudować miasta;
Drudzy skarbce do nowéj znosili budowy,
Żeby z nich potém własne poczynić obłowy.
Gdy przeciwników szyję zgięli albo zsiekli,
Poszli cudzą przelewać, własną krwią ociekli.
Z gminowładnego wzleciał ptak cesarski gniazda,
I krwawa legionów zabłysnęła gwiazda;
A choć teraz skruszone olbrzymy zachodnie,
Jeszcze na ziemię krew ich może działać płodnie.

Gdzież jestem Lelewelu! jaka chęć uniosła,
Opiewać morza, których nietknęły me wiosła?
Poziomy płazik, orléj nabrawszy ochoty,
Uczone myśleń twoich naśladować loty!
Wyręczaj mię, bo w polskiém dziejopisów kole
Wyniosły jesteś! stanąć mający na czole.
Ty, co nie dozwoliłeś tylu xięgom kłamać,
S samego kłamstwa prawdę umiejąc wyłamać,
Znasz lepiéj trudne twojéj nauki ogromy,
Słodkości jéj owoców sam lepiéj świadomy;
Głosem, którym okrzyki i przyklaski wzniecisz,
Powiedz, jak tam zaszedłeś, skąd tak rano świecisz?
Na wierzchy, gdzie parnaska trzyma cię opoka;
Zwabiaj niższych łagodnym twego blaskiem oka

Nie jedne już zyskałeś z godniejszych rąk wieńce,
Nie gardź tym, jaki wdzięczni składają młodzieńce.
I daruj, jeśli będziem chwalić się po świątu,
Że od ciebie wzięliśmy na ten wieniec kwiatu.

WIERSZ

DO IMIONNIKA

LUDWIKI MACKIEWICZOWNĖJ.[1]

Nieznajoméj, dalekiéj, nieznany, daleki,
Kiedy nas jeszcze daléj losy chcą rozegnać,
Posyłam by cię razem poznać i pożegnać,
Dwa wyrazy: „Witam cię!“ „Bądź zdrowa na wieki!“

Tak wędrowiec zbłąkany w alpiejskim parowie,
Piosnką chce nudnéj drodze przyczynić wesela:

[1]) Napisany na prośbę jéj narzeczonego, Ignacego *Chodźki*, dnia 24 października 1824 r., w dzień wyjazdu autora z Litwy.

A kiedy nie ma komu śpiéwać serce wdowie,
Spiéwa piosnkę kochance swego przyjaciela:
Lecz nim piosnkę przypędzą echa ku jéj stronie,
Może już podróżnego wieczny śniég pochłonie.

DO M...

Precz z moich oczu!... posłucham od razu,
Precz z mego serca!... i serce posłucha,
Precz z méj pamięci!... nietego roskazu
Moja i twoja pamięć nie posłucha.

Jak cień tém dłuższy gdy padnie z daleka,
Tém szerzéj koło żałobne rostoczy...
Tak moja postać, im daléj ucieka,
Tém grubszym kirem twą pamięć pomroczy.

Na każdém miejscu i o każdéj dobie,
Gdziem s tobą płakał, gdziem się s tobą bawił,
Wszędzie i zawsze będę ja przy tobie,
Bom wszędzie cząstkę méj duszy zostawił.

Czy zadumana w samotnéj komorze,
Do arfy zbliżysz nieumyślną rękę,
Przypomnisz sobie: właśnie o téj porze
Śpiewałam jemu tę samą piosenkę.

Czy grając w szachy, gdy pierwszemi ściegi
Śmiertelna złowi króla twego matnia;
Pomyślisz sobie: tak stały szeregi,
Gdy się skończyła nasza gra ostatnia.

Czy to na balu, w chwilach odpoczynku
Siędziesz, nim muzyk tańce zapowiedział;
Obaczysz próżne miejsce przy kominku,
Pomyślisz sobie: on tam ze mną siedział.

Czy xiążkę weźmiesz, gdzie smutnym wyrokiem
Stargane ujrzysz kochanków nadzieje:
Złożywszy xiążkę z westchnieniem głębokiém
Pomyślisz sobie: ach! to nasze dzieje....

A jeśli autor po zawiłéj probie,
Parę miłosną naostatek złączył,
Zagasisz świecę i pomyślisz sobie:
Czemu nasz romans tak się nie zakończył!..

Wtém błyskawica nocna zamigoce:
Sucha w ogrodzie zaszeleszczy grusza,

I puszczyk z jękiem w okno załopoce...
Pomyślisz sobie: że to moja dusza.

Tak w każdém miejscu i o każdéj dobie,
Gdziem s tobą płakał, gdziem się s tobą bawił,
Wszędzie i zawsze będę ja przy tobie,
Bom wszędzie cząstkę méj duszy zostawił.

PANICZ I DZIEWCZYNA.[1]

I.

W gaiku zielonym
Dziewcze rwie jagody;
Na koniku wronym
Jedzie panicz młody.

I grzecznie się skłoni,
I s konia zeskoczy:
Dziewczę się zapłoni,
Na dół spuści oczy.

[1]) Piérwsza część tego wiersza jest pióra p. Antoniego Edwarda *Odyńca*, a dwie drugie Adama *Mickiewicza*.

„Dziewczyno kochana!
Dziś na te dąbrowy
S kolegami z rana
Przybyłem na łowy:

„I trafić nie mogę
Gdzie leży miasteczko.
Wskaż proszę mi drogę
Piękna pastereczko.

„Czy prędko już z lasu
Ta ścieszka wywiedzie?“
—„Jeszcze pan zawczasu
Do domu zajedzie.

„Na polu wnet drzewo
Koło drzewa brzoski,
Stąd droga na lewo,
Tam około wioski.

„W górę przez zarostek,
W prawo po nad rzeczką.
Tam młynek i mostek,
I widać miasteczko.“

Panicz podziękował,
Czule rączkę ścisnął;

W usta pocałował,
Na konika świsnął;

Siadł, ostrogą spina,
Nie widać młodego,
Westchnęła dziewczyna:
Ja nie wiem dla czego.

II.

W gaiku zielonym
Dziewcze rwie jagody;
Na koniku wronym
Jedzie panicz młody.

I woła z daleka:
„Pokaż inną drogę;
Za wioską jest rzeka,
Przejechać nie mogę;

„Ni mostu żadnego,
Ni brodu wytropić.
Chciałażbyś młodego
Chłopczyka utopić?

—„Tą jedź pan drożyną,
Na prawo kurhanu.“
—„Bóg zapłać, dziewczyno.“
—„Dziękuję wać panu.“

W las poszła drożyna,
Niewidać młodego;
Westchnęła dziewczyna,
Oj! wiem ja dla czego.

III.

W gaiku zielonym
Dziewcze rwie jagody;
Na koniku wronym
Jedzie panicz młody.

I zawoła znowu:
„Dziewczyno, dla Boga!
Wjechałem do rowu:
Jakaż twoja droga?

„Nie jeździł w te ślaki
Nikt z dawnego czasu;

Chyba wieśniak jaki
Po drzewo do lasu.

„Poluję dzień cały,
Koniam nie popasał;
Jeździec zadyszały,
Konik się zahasał.

„Siędę i s ponika
Pragnienie ugaszę;
Odkiełznam konika,
I puszczę na paszę.“

I grzecznie się skłoni,
I s konia zeskoczy;
Dziewczę się zapłoni
Na dół spuści oczy.

Ten milczy, ta wzdycha;
Po niedługiéj chwili,
Ten głośno, ta s cicha,
Coś s sobą mówili.

Lecz że wietrzyk dmuchał,
W tę stronę dąbrowy,
Przetom niedosłuchał
Panicza rozmowy.

Lecz z oczu i z miny
Tom pewnie wyczytał,
Że więcéj dziewczyny
O drogę nie pytał.

W IMIONNIKU K. R.

Różnym losem rzuceni na świata powodzie,
Spotykamy się s sobą, jak dwie różne łodzie!
Twoja barwą nowotną i pancerzem lśniąca,
Bisiorem wiatry chwyta, nurt piersią rostrąca;

Moja na woli burzy i morskich straszydeł,
Wyrzucona bez steru, ledwo z resztą skrzydeł!
Gdy jéj owad tajemny na wskróś piersi porze,
Gdy gwiazdy chmurą zaszły: kompas ciskam w mo-
[rze.
Rozminiem się! i kiedyż w jedną pójdziem drogę?
Ty mnie szukać nie będziesz, ja ciebie nie mogę.

CHÓR STRZELCÓW.[1])

Śród opok i jarów,
I klonów i głogów,
Przy dźwięku ogarów,
I rusznic i rogów;

Na koniu, co w czwale,
Sokoli ma lot,
I z bronią, co w strzale
Huczniejsza nad grzmot:

Dalejże, dalejże, s tropu w trop, s tropu w trop,
Dalejże, dalejże, s tropu w trop, s tropu w trop,
Hop, hop!

[1]) Podług muzyki z Opery Webera: Wolny Strzelec.

Wesoły jak dziecko,
Jak zbójca krwi chciwy,
Odważnie, zdradziecko,
Bój zaczął myśliwy.

Czy palnie na smugi,
Czy w górę do chmur,
Tam płyną krwi strugi,
Stąd leci grad piór.

Dalejże, dalejże, s tropu w trop, s tropu w trop,
Dalejże, dalejże, s tropu w trop, s tropu w trop,
Hop, hop!

Kto żubra wywiedzie
Z ostępu za rogi?
Kto kudły niedźwiedzie
Podesłał pod nogi?

Héj lasy i niwy
Ozwijcie się w chór!...
Zatrąbił myśliwy,
Król lasów i gór.

Dalejże, dalejże, s tropu w trop, s tropu w trop,
Dalejże, dalejże, s tropu w trop, s tropu w trop,
Hop, hop!

Czyj dowcip gnał rojem
Lataczów do sideł?
Kto wstępnym wziął bojem
Sztandary z ich skrzydeł?

Héj wiatry, w burzliwy
Ozwijcie się chór!
Wystrzelił myśliwy,
Król wiatrów i chmur.

Dalejże, dalejże, s tropu w trop, s tropu w trop,
Dalejże, dalejże, s tropu w trop, s tropu w trop,
Hop, hop!

EUTHANASIA.[1])

Prędzéj, czy późniéj, gdy mię czas owionie
Snem nieprzespanym, w którym się nic nie śni,
O niepamięci! wtenczas chłodne skronie,
Weź pod twą schronę do grobowéj cieśni.

Nie proszę ręki druha ni dziedzica,
Aby łzy otrzeć, lub grabić zostałość,
Lub żeby z włosem popsutym dziewica
Żałować przyszła lub udawać żałość.

Po co najęte płaczków korowody?—
Samemu wstąpić pozwólcie do dołu:

[1]) Naśladowane z Lorda *Byrona*.

Nie chciałbym chmurzyć niczyjéj pogody,
I brać wesela kochanemu czołu.

Przecież miłości, jeśli w twojéj sile,
Poskromić jęki, marnym żalom sprostać,
Ty sama osłódź rosstania się chwilę,
Mnie, co odchodzę, i téj co ma zostać.

Marylo moja, kiedy przeszłe bole
Z ostatnim puszczę w niepamięć oddechem,
Niech boski pokój widzę na twem czole,
A w bólach na cię patrzałbym z uśmiechem.

Lecz oko martwe zrazi wzrok niebieski,
Przed bladém licem zbledną twe powaby:
Uronisz łeskę, człowiek dla téj łeski
Jak żyjąc słabiał, tak i umrze słaby.

A więc bez żalu i pobożnéj prośby,
Samotny będę w ostatniéj godzinie?
Dla nieszczęśliwych śmierć mało ma groźby,
Ból jeszcze zmniejszy i prędko przeminie.

Lecz umrzeć, odejść, kędy tyle gości
Rusza przedemną, kędy reszta ruszy:
Przepadać w nicość, jak pierwéj z nicości
Wszedłem dla życia, żyłem dla kątuszy...

Gdyś wiek przeminął, wstrzymaj się u ścieku,
Ostatniém powróć na przeszłość obliczem:
Zlicz dni szczęśliwe, a wyznasz człowieku,
Czemkolwiek byłeś, że lepiéj być niczem.

TOASTY.

Coby było wśród zakresu
Na który ludzie rzuceni,
Bez światła, ciepła, magnesu,
I elektrycznych promieni?

Coby było? zgadnąć łatwo:
Ciemno, zimno, chaos czyste.
Witaj więc słoneczna dziatwo,
Wiwat światło promieniste!

Lecz cóż po światła iskierce,
Gdy wszystko do kola skrzepło,

Zimny świat i zimne serce,
Ciepła trzeba. WIWAT ciepło!

Pełnych światła i zapału,
Często silny wiatr rozniesie;
By ciało zbliżyć ku ciału
Jest magnes. WIWAT magnesie!

Tak gdy zrośniem w okrąg wielki,
Przez magnesowaną styczność,
Wówczas z lejdejskiéj butelki,
Palniem: WIWAT elektryczność!..

Kowno 1822 r.

GODZINA.

ELEGIA.

Przed godziną źrenicy nie zdjąwszy z zegarów,
Chciałaś naglić oczyma skazówek pochopy,
I słuchem natężonym pośród miejskich gwarów,
Rospoznawałaś zdala łoskot mojéj stopy;
Dzień miał jedną godzinę, — w któréj, wspomnieć [miło,
Że nie u mnie jednego serce żywiéj biło.
Ja w tę godzinę wieczną wpleciony katuszą,
Jak Ixion wkoło niéj krążyłem z mą duszą.
Nim nadeszła, dzień cały ja na nią czekałem;
Gdy minęła, dzień cały o niéj rozmyślałem,
Bawiąc się z mnóstwem drobnych lecz miłych pa- [miątek;

Jakie było przyjęcie? rozmowy początek?
Jak się czasem przykremu dało wymknąć słowu,
Po niém niezgoda, po niéj milsza zgoda znowu.
Smuciłem się—ty z oczu powody wyśledzasz,
Przychodziłem s prośbami—ty jednę uprzedzasz,
Drugich wymówić nie dasz; na jutro odkładam,
I znowu jutro nie śmiem; czasem gniewny wpadam,
Rozbrajasz mnie uśmiechem, a gdym w gniewie [przebrał,
Gniewałaś się, jam znowu przebaczenia żebrał...
Ach! każde słowo twoje, wszystkie twe spojrzenia,
Pieszczoty i nadzieje i wspólne cierpienia,
Wszystko to pamięć wiernie malowane trzyma!
Przeprowadzam ten obraz przed duszy oczyma,
Jak sknera, gdy mu skarbiec udało się schwycić,
Patrzy i schnie, i oczu nie może nasycić.

Tą godziną jam przeszłość z mą przyszłością łą- [czył,
Od niéj milsze dni zaczął i na niéj zakończył;
Ona w zbrukaném paśmie mojego żywota,
Zabłysnęła mi jedna, jedna nitka złota.
Jam się do niéj jak prządek skrzydlaty uczepił,
Snuł ją wkoło i w niéj się na wieki zasklepił.

Słońce wbiegło w tę samą nieba okolicę,
Godzina uderzyła! gdzież są jéj źrenice?

Gdzie myśli?—Ona teraz w czułéj pieści dłoni
Cudzą rękę, niewierna! i do cudzéj skroni
Usta ciśnie; i łza jéj na cudzą twarz spada,
I serce biciom cudzéj piersi odpowiada:
Dziś możeby téj nowéj pary nie rozdzielił
Piorun, któryby we mnie przed progiem wystrzelił!

Samotności wzgardzona! o téjże godzinie
Niegdyś cię porzuciłem, wracam w twą świątynię,
Jak do piastunki dziécię ze łzami powróci,
Obłąkane na chwilę ponętą łakoci.
Daruj! ponęta szczęścia zawżdy nazbyt silna,
Zbyt trudno się przekonać, że zawżdy omylna.
Może jeszcze ten ogień niegodny zatłumię,
Wszak jest nadzieja w czasie i milczącéj dumie.

Lecz nadzieje dalekie! dziś pogoda nęci,
W polach, w niebie, na falach szukać niepamięci.
Czas przechadzki, dla czegóż me odejście zwlekam?
Za każdém drzwi ruszeniem jéj posłańca czekam,
Niekiedy rąk jéj zdradne charaktery czytam,
Niekiedy mój zegarek bez potrzeby chwytam.
Raz porwałem się z miejsca; stanąłem u progu;
Ach! była to godzina dawna;—moc nałogu.

Jak ten, co mu śmierć lubą wydarła osobę,
Mimo dotkliwą boleść i długą żałobę,

Zabłąkawszy się w myślach—niestety! błąd luby
Na chwilę, mgnienie oka, zapomni swéj zguby,
Bieży, i tak się mocno złudzeniem omami,
Że już progi przestąpił—i zalał się łzami.

NIEPEWNOŚĆ.

Gdy cię nie widzę, nie wzdycham, nie płaczę;
Nie tracę zmysłów, kiedy cię zobaczę;
Jednakże, gdy cię długo nie oglądam,
Czegoś mi braknie, kogoś widzieć żądam,
I tęskniąc, sobie zadaję pytanie:
Czy to jest przyjaźń? czy to jest kochanie?

Gdy z oczu znikniesz, nie mogę ni razu
W myśli twojego odnowić obrazu;
Jednakże nie raz czuję mimo chęci,
Że on jest zawsze blisko méj pamięci.
I znowu sobie powtarzam pytanie:
Czy to jest przyjaźń? czy to jest kochanie?

Cierpiałem nieraz, nie myślałem wcale,
Abym przed tobą szedł wylewać żale;
Idąc bez celu, nie pilnując drogi,
Sam nie pojmuję jak w twe zajdę progi;
I wchodząc sobie zadaję pytanie:
Co tu mię wiodło? przyjaźń czy kochanie?

Dla twego zdrowia życiabym nie skąpił,
Po twą spokojność do piekiełbym zstąpił,
Choć śmiałéj żądzy nie ma w sercu mojém,
Bym był dla ciebie zdrowiem i pokojem.
I znowu sobie powtarzam pytanie:
Czy to jest przyjaźń? czy to jest kochanie?

Kiedy położysz rękę na me dłonie,
Luba mię jakaś spokojność owionie,
Zda się, że lekkim snem zakończę życie;
Lecz mnie przebudza żywsze serca bicie,
Które mi głośno zadaje pytanie:
Czy to jest przyjaźń? czyli też kochanie?

Kiedym dla ciebie tę piosenkę składał,
Wieszczy duch memi ustami nie władał;
Pełen zdziwienia, sam się nie postrzegłem,
Skąd wziąłem myśli, jak na rymy wbiegłem;
I zapisałem na końcu pytanie:
Co mię natchnęło? przyjaźń czy kochanie?

POŻEGNANIE

CHILD HAROLDA

Z LORDA BYRONA.

I.

Bywaj mi zdrowy kraju kochany!
Już w mglistéj nikniesz powłoce,
Świsnęły wiatry, szumią bałwany,
I morskie ptastwo świergoce.
Daléj za słońcem! gdzie jasną głowę
W zachodnie pogrąża piany.
Tymczasem słońce bywaj mi zdrowe,
Bywaj zdrów kraju kochany!

II.

Za kilka godzin różane zorze
Promieńmi błyśnie jasnemi,
Obaczę niebo, obaczę morze,
Lecz nie obaczę méj ziemi.
Zamek, na którym brzmiało wesele,
Wieczna żałoba pokryje;
Na wałach dzikie porośnie ziele,
U wrót pies wierny zawyje.

III.

Pójdź tu mój paziu! paziu mój mały,
Co znaczą te łzy i żale?
Czyli cię wichrów zdąsanych szały,
Czy morskie lękają fale?
Rozwesel oko, rozjaśnij czoło!
W dobrym okręcie, w pogodę—
Lotny nasz sokół nie tak wesoło
Jak my polecim przez wodę.

IV.

„Niech fala szumi, niech wicher głuszy!
Niedbam, pogoda czy słota,
Te łzy wyciska z głębi méj duszy
Nie bojaźń ale tęsknota.

Bo tam mój stary ojciec zostanie,
Tam matka została droga,
Tam wszyscy moi, prócz ciebie, Panie,
Prócz ciebie tylko—i Boga.

V.

„Ojciec spokojnie mię błogosławił,
Nie płacze ani narzeka;
Lecz matka, którąm we łzach zostawił,
Z jakąż tęsknotą nas czeka?“
—Dość, dość, mój paziu! te łzy dziecinne
Źrenicy twojéj przystoją,
Gdybym miał równie serce niewinne,
Widziałbyś we łzach i moją.

VI.

Pójdź tu, mój giermku! giermku mój młody!
Skąd ci ta bladość na twarzy?
Czy rozhukanéj lękasz się wody,
Czyli francuskich korsarzy?
—„O nie, Haroldzie! niedbam o życie,
Niedbam o losów igrzyska,
Alem zostawił żonę i dziécię,
To mi łzy gorzkie wyciska.“

VII.

„Żona na końcu twojego sioła
W zielonéj mieszka dąbrowie;
Gdy dziecię s płaczem ojca zawoła,
Cóż mu nieszczęsna odpowie?“
—Dość, dość mój giermku! słuszna twa żałość;
Ja choć jéj ganić nie mogę,
Mniejszą mam czułość, czy większą stałość,
Śmiejąc się puszczam się w drogę.

VIII.

Kochanki, żony płacz mię nie wzruszy;
Bo nim zabłyśnie poranek,
Z błękitnych oczu te łzy osuszy
Nowy mąż, nowy kochanek.
Nie żal mnie ziemi gdziem młodość strawił,
Nie straszne podróże wodne;
Żałuję tylko, żem nie zostawił,
Nic, coby było łez godne.

IX.

Teraz po świecie błądzę szerokim
I pędzę życie tułacze.
Czegóż mam płakać? za kim i po kim?
Kiedy nikt po mnie nie płacze.

Pies chyba tylko zawyje z rana,
Nim obcą karmiony ręką,
Kiedyś swojego dawnego pana
Wściekłą powita paszczęką.

X.

Już okręt piersią kraje głębinę,
I żagle na wiatr rozwinął!
Niedbam ku jakim brzegom popłynę,
Bylebym nazad nie płynął.
Gdy mię twe jasne znudzą kryształy
Ogromna, modra płaszczyzno,
Powitam lasy, pustynie, skały,
Bądź zdrowa, luba ojczyzno!

SEN.

Chociaż zmuszona będziesz mnie porzucić,
Jeżeli serca nie zmienisz w kochaniu,
Rzucając nawet nie chciéj mnie zasmucić,
I rozstając się nie mów o rozstaniu!

Przed smutném jutrem niech jeszcze z wieczora,
Ostatnia spłynie na pieszczotach chwilka:
A kiedy przyjdzie rozstania się pora,
Wtenczas trucizny daj mi kropel kilka.

Do ust twych usta przycisnę, powieki
Zamykać nie chcę gdy mię śmierć zamroczy:
Niechaj roskosznie usypiam na wieki
Całując lica, patrząc w twoje oczy.

A po dniach wielu, czy po latach wielu,
Kiedy mi każą mogiłę porzucić,
Wspomnisz o twoim sennym przyjacielu,
I zstąpisz z niebios aby go ocucić.

Znowu mię złożysz na twém łonie białém
Znowu mię ramię kochane otoczy,
Zbudzę się, myśląc że chwilkę drzemałem,
Całując lica, patrząc w twoje oczy.

Odessa 1825.

SPIS PRZEDMIOTÓW.

W TOMIE PIERWSZYM.

	Str.
Przedmowa	I
Do Czytelnika, o Krytykach i Recenzentach Warszawskich	XXXVI
Objaśnienie niektórych wyrazów	LXXIII

BALLADY I ROMANSE.

Pierwiosnek	3
Romantyczność	6
Świteź, Ballada	10
Świtezianka, Ballada	20
Rybka, Ballada	28
Powrót Taty, Ballada	35
Kurhanek Marylli, Romans	40
Do przyjaciół, posyłając im Balladę „To lubię“	46
To Lubię, Ballada	49

Str.
Rękawiczka, Powiastka (s Szyllera)..... 56
Pani Twardowska, Ballada..... 59
Tukaj, albo próby przyjaźni, Ballada we czterech częściach. 66
Lilie, Ballada..... 79
Dudarz, Ballada..... 94
Czaty, Ballada ukraińska..... 104
Ucieczka, Ballada..... 107
Renegat, Ballada Turecka..... 116
Trzech Budrysów, Ballada Litewska..... 119

SONETY.

I. Przypomnienie..... 125
II. Do Laury..... —
III. 126
IV. 127
V. Widzenie się w gaju..... 128
VI. ..... —
VII. Ranek i wieczór..... 129
VIII. S Petrarki..... 130
IX. Do Niemna..... 131
X. Strzelec..... 132
XI. Błogosławieństwo s Petrarki..... —
XII. Rezygnacya..... 133
XIII. Do * * *..... 134
XIV. 135
XV. 136
XVI. Dzieńdobry..... —
XVII. Dobranoc..... 137
XVIII. Dobrywieczór..... 138
XIX. Do D. D. Wizyta..... 139
XX. Do Wizytujących..... 140
XXI. Pożegnanie, do D. D..... 141
XXII. Danaidy..... 142
XXIII. Exkuza..... —

SONETY KRYMSKIE;

		Str.
I.	Stepy Akermańskie	149
II.	Cisza morska	—
III.	Żegluga	150
IV.	Burza	151
V.	Widok gór ze Stepów Kozłowa	152
VI.	Bakczesaraj	153
VII.	Bakczesaraj w nocy	154
VIII.	Grób Potockiéj	—
IX.	Mogiły Haremu	155
X.	Bajdary	156
XI.	Ałuszta w dzień	157
XII.	Ałuszta w nocy	158
XIII.	Czatyrdah	—
XVI.	Pielgrzym	159
XV.	Droga nad przepaścią w Dżehud Kalc	160
XVI.	Góra Kikineis	161
XVII.	Ruiny Zamku w Bałakławie	162
XVIII.	Ostatni Sonet, Ajudah	—
Objaśnienia do Sonetów Krymskich		167

WIERSZE RÓŻNE.

Hymn na dzień Zwiastowania N. Maryi Panny	177
Żeglarz	180
Warcaby do Franciszka	183
Nowy Rok 1826	196
Do Joachima Lelewela	199
Wiersz do Imionnika Ludwiki Mackiewiczownéj	210
Do M	212
Panicz i Dziewczyna	215
W Imionniku K. R.	221
Chór Strzelców	222
Euthanasia	225
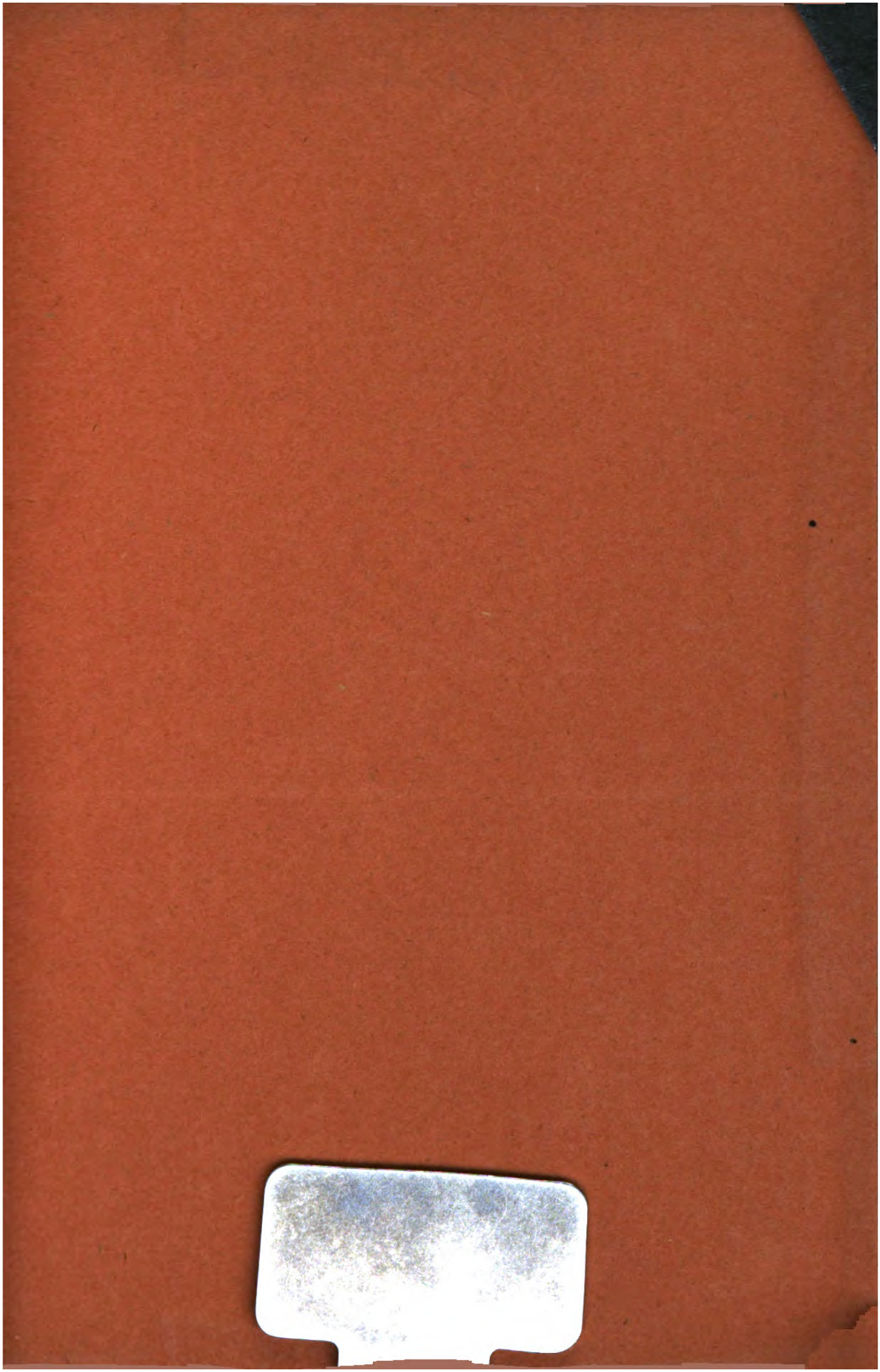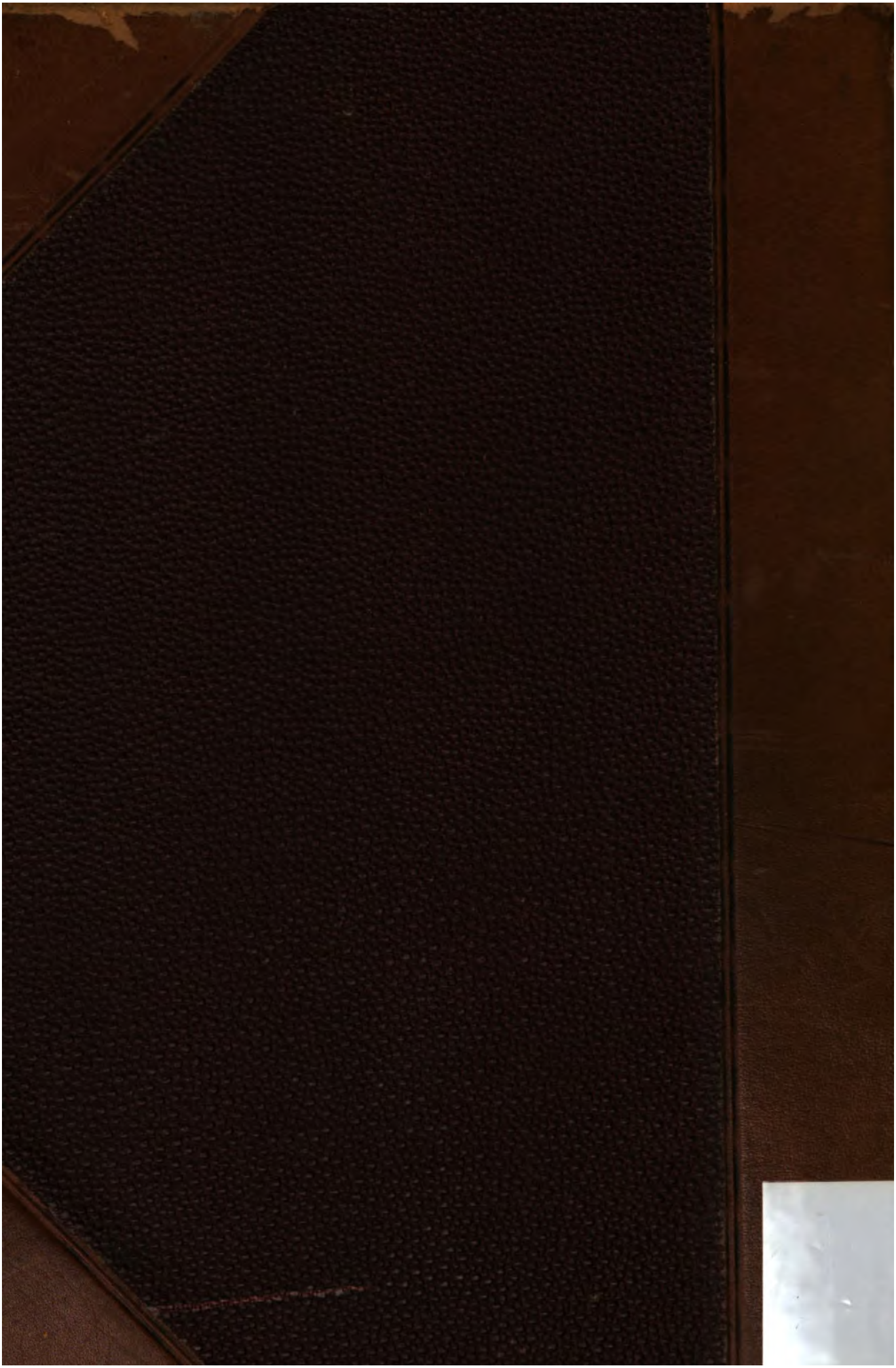
Toasty..... 228
Godzina, Elegia..... 230
Niepewność..... 234
Pożegnanie Child Harolda z Lorda Byrona..... 236
Sen..... 241